

OMEGA

Jacques Lafaye

KONKWISTADORZY

Pw^a

Jacques Lafaye urodził się w Paryżu w 1930 r. W 1954 r. uzyskał stopień naukowy. W 1958 r. był wykładowcą w Instytucie poświęconym sprawom Ameryki Łacińskiej, a w 1959 r. asystentem na Sorbonie.

W 1960 r. wyjechał w misji naukowej do Meksyku. W 1962 r. był asystentem naukowym w C.N.R.S., w 1963 r. został członkiem Biura Stowarzyszenia Amerykanistów.

Opublikował wiele artykułów o Ameryce przedkolumbijskiej i kolonialnej w czasopiśmie instytucji naukowych europejskich i amerykańskich.

Interесujący szkic historyczny o socjologicznych aspektach podboju Ameryki Środkowej przez Europejczyków w XV i XVI w. Autor zrywa zarówno z „czarną legendą” o roli konkwistadorów jak i apologetyczną wersją cywilizacyjnej misji Europejczyków. Szczególnie dużo uwagi poświęca kształtowaniu się nowego społeczeństwa na podbitych terenach, w oparciu o tradycje lokalne i iberyjskie.

Współczesna Biblioteka Naukowa

Omega

Komitet Redakcyjny:

**Jerzy Baumritter, Jerzy W. Borejsza
Marcin Czerwiński, Alicja Dyczek
Ryszard Herczyński, Krzysztof Murawski
Krzysztof Pomian, Ignacy Sachs
Jan W. Stefczyk, Ignacy Wald
Tadeusz Zabłudowski**

Jacques Lafaye

Konkwistadorzy

Warszawa 1966

Państwowe Wydawnictwo Naukowe

Tytuł oryginału franc.

Les Conquistades

Jacques Lafleur

Éditions du Seuil — Le Temps qui Court
Copyright 1964 by Éditions du Seuil

Tłumaczyła: Eligia Bąkowska

Okladkę projektował: Tadeusz Pietrzyk

Printed in Poland

4H.SZ.until.E.of.TI

Państwowe Wydawnictwo Naukowe — Warszawa 1966

Redaktor: Teresa Hrankowska

Redaktor techniczny: Antoni Maślarz

Wydanie I. Nakład 23 730+270 egz.

Ark. wyd. 8,25. Ark. druk. 10²/₁₆

Papier ilustr. kl. V, 77×95, 70 g

Oddano do składania w lutym 1966

Podpisano do druku w kwietniu 1966

Druk ukończono w maju 1966

Zam. 167/66. T-010. Cena w subskrypcji zł 10.—

Drukarnia Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie

1

Narodziny Nowego Świata

„Tyle starych ras, tyle narodów wytraconych, tyle milionów ludu podbitych mieczem, najpiękniejsza i najbogatsza część świata spustoszona dla handlu perłami i pieprzem? Handlarskie to zwycięstwo...” *

„Jam jest Cortés...

Jam dał Hiszpanii tryumfu palmy,
Plon zwycięstw moich wspaniałych,
Monarsze dałem ziemie bez kresu,
A Stwórcy — dusz nowych bez liku”... **

Te dwa tak sprzeczne z sobą sądy o konkwistadorach celowo zaczerpnęliśmy z dzieł dwóch wybitnych twórców współczesnych — czy też prawie współczesnych — epoce podboju Ameryki. Doskonale streszczają one istotę dyskusji, jaka natychmiast rozpętała się w Europie, a jednocześnie trafnie charakteryzują przesadę i zaciętrzewienie, jakimi grzeszyli zarówno zwolennicy, jak i przeciwnicy konkwistadorów. Jeszcze dzisiaj temat ten wywołuje ożywione spory wśród historyków. Głoszone przez jednych peany na cześć Podboju i rzucane przez drugich klątwy na tych, którzy go dokonali, naznaczyły piętnem upartej niejasności ten jedyny w swoim rodzaju epizod w historii ludzkości. Jak wszelkie ludzkie zamierzenia,

* Montaigne *Próby*, Warszawa 1957.

** Lope de Vega *Arkadia*.

podbój kontynentu amerykańskiego przez Hiszpanów swoje blaski i cienie. Jedni, oślepieni światłem szerokiej wiary, pogodzili się z otaczającymi go ciemnościami; inni, np. Ojciec Las Casas, oświeceni tym samym nadprzyrodzonym światłem, ujrzeli jedynie nieprzenikniony cień panujący wokół podboju. Dzisiaj z łatwością możemy laicyzować przesłanki tego sporu, aby lepiej zrozumieć jego aktualność. Czy cele podboju: głoszenie poganom Słowa Bożego, inaczej mówiąc: ucywilizowanie dzikich (jak będzie się mówiło w XIX w.), czy te idealne cele usprawiedliwiają środki, jakie stosowali zdobywcy — a więc grabież, rzezie, tortury, a wreszcie deportacje i roboty przymusowe — najpierw w stosunku do Indian, a potem w bardzo niedługim czasie — do Afrykańczyków? Ale szerzenie wiary i potrzeby Świętego Cesarstwa, zagrożonego wówczas przez Turków, były, jak utrzymują oskarżyciele podboju, tylko parawanem, za którym kryły się prawdziwe cele przedsięwzięcia: eksploatacja kolonialna, interesy ekonomiczne i zaborcza polityka Karola V. Istotnie, podboje Hiszpanów w Ameryce doprowadziły do utworzenia pierwszego wielkiego imperium kolonialnego czasów nowożytnych. Anglicy i Francuzi staną w przyszłości wobec podobnych zagadnień w Afryce i Azji i nie raz będą korzystać z doświadczeń swoich poprzedników. Pomimo głębokich różnic pomiędzy tymi dwoma epokami, różnic wpływających z dzielącego je czasu, konkwistadorzy stanowią pierwszy w naszych dziejach przykład „gorączki złota”; przeżyli te same złudzenia, co potem pionierzy na Alasce i te same rozczarowania; i jedni, i drudzy często wracali uboźsi niż w chwili wyruszenia, o ile wcześniej nie dosięgła ich śmierć. Właśnie konkwistadorzy zapoczątkowali na kontynencie amerykańskim owo życie pionierów pod stałą groźbą napadu Indian, życie na Dzikim Zachodzie z jego atmosferą niebezpiecznych przygód, z jego surowością, a przede wszystkim z jego głównym aktorem: człowiekiem na koniu. Lecz dzieje konkwistadorów, ukazujące nam prawdziwy charakter kolonizacji w ogóle, pozwalają nam również głębiej uchwycić (od jej początków, dawniejszych niż się zwykło twierdzić) ewolucję, która miała się zakończyć, w trzy stu-

lecia później, wyzwoleniem politycznym Ameryki Łacińskiej. Konkwistadorzy i ich potomkowie byli założycielami pierwszego europejskiego społeczeństwa kolonialnego, w którym proporcja Kreolów była względnie duża, a segregacja rasowa wystarczająco silna, aby wyłoniły się klasyczne odtąd zagadnienia, jakie w całej ich ostrości ukazała nam dekolonizacja. Konkwistadorzy utworzyli kastę rządzącą, która przekształciła się i wzbogaciła dopływem ludzi z Europy, i przez trzy wieki kolonizacji władali społeczeństwem bardzo zróżnicowanym, w którym Indianie stanowili warstwę najniższą, zaś *castas* (dosłownie „rasy”) — różne warstwy pośrednie. Hiszpanie amerykańscy (*Espanoles americanos*) czyli Kreole (*criollos*), zwani tak w przeciwieństwie do Hiszpanów z Hiszpanii, mieli poczucie swojej odrębności i łączącej ich wspólnej amerykańskiej ojczyzny. Dumie ich dorównywała zresztą pogarda, z jaką odnosili się do nich ich rodacy z Półwyspu, którzy nazywali ich *Indianos*, w odróżnieniu od *Indios* (tzn. Indian). Kreole natomiast darzyli świeżo przybyłych do Ameryki Hiszpanów mianem „niebieskich” (*bozal*, wyraz początkowo stosowany do niewolników porwanych z wybrzeży Gwinyi i jeszcze nie nadających się do prac niewolniczych). W Meksyku nowo przybyłych Hiszpanów nazywano *gachupines* (słowo pochodzące zapewne z języka nahuatl), a w Peru *chape-tones*. Okrzyk „Śmierć gachupinom!” był jednym z haseł dziewiętnastowiecznych wojen o niepodległość, a nawet je przeżył.

Będziemy mówić o konkwistadorach po prostu jako o ludziach w określonej sytuacji historycznej, a nie jako o nadludziach lub istotach niższych. Sądzymy, że Czytelnik chętniej pójdzie za nami wąską ścieżką, która prowadzi pomiędzy granicami apologii i hagiografii a czarną legendą podboju, którą wspaniale przedstawiają freski Diego Rivery. Konkwistadorzy jako ludzie czynu swojej epoki różnią się od nas zasadniczo. Oni pierwsi zaczęli wchodzić na górę, której szczytem miała być kolonizacja świata przez Europę, my zaś, na przeciwnym biegunie, stanowimy pokolenie dekolonizatorów. Konkwistadorzy zapoczątkowali czasy nowożytne, my zaś zamykamy tę



Ryc. 1. Ameryka Południowa

epokę, aby wejść w okres, który w dziedzinie techniki będzie erą atomową, a politycznie może wiekiem Trzeciego Świata. Dlatego właśnie, że możemy uważać czasy

owożytne za okres miniony, wskazane jest uważne spojrzenie wstecz, które pozwoli nam objąć je z należytej perspektywy. Czerwona zorza ery kolonialnej wstaje nad brzegami Amazonki, której sama nazwa doskonale wyraża niejasność, jaka otacza podboje europejskie i tych, którzy ich dokonali, konkwistadorów, to znaczy: zdobywców. Wyraz konkwistador w języku francuskim zawdzięcza swój blask czy też dźwięk wyrazowi *or* (złoto), rymuje się ze słowem *matador*, oraz *Cid Campeador* i oczywiście: *torreador*. Konkwistador z racji samego już brzmienia, które stroi go w fałszywy blask Hiszpanii operetkowej, nie jest już człowiekiem w danej sytuacji historycznej, lecz jedną z wielu hiszpańskich legend, bohaterem zbiorowym obok bohaterów indywidualnych, jak *Cyd*, *Don Juan*, a także niektórzy protagoniści podboju, jak *Hernan Cortés*. Toteż my posługiwać się będziemy wyrazem *Zdobycwca*, ale piśnianym dużą literą, aby nie było żadnej wątpliwości, o jakich zdobywcach mowa, podobnie jak czytając o *Filozofach*, wszyscy wiemy, że chodzi o filozofów XVIII w. *Zdobycwcy* to zdobywcy Ameryki, którzy uczynili ją hiszpańską w XVI w.

Nie można bowiem w sposób zgodny z duchem historii opowiedzieć dziejów *Zdobycwców*, jeżeli uprzednio nie zedrze się z nich zasłon legendy, zarówno czarnej, jak bohaterskiej. Uwolnić konkwistadorów od ich wspaniałego imienia, to sprowadzić ich z mitycznych wyżyn, na które wywindował ich romantyzm europejski, na trzęsawiska historii, gdzie toczyło się ich życie. Zburzmy łuki tryumfalne, jakie wzniosła im — w wierszu i prozie — Hiszpania cesarska, ostrożnie traktujmy oskarżenia historyków angielskich i hugonockich; zbadajmy sprawę pozwalając mówić świadkom, tzn. samym *Zdobycwcom*, cytując ich relacje, i surowym sędziom, jakimi byli dla nich „*zdobycwcy duchowi*”, tzn. misjonarze. Stronniczość jednych i drugich nie pozostawia żadnych wątpliwości, ma jednak tę wartość, że wprowadza nas w obcy świat duchowy *Zdobycwców*. Jedynie bowiem z ich punktu widzenia patrząc możemy ich zrozumieć i tylko wedle zasad moralności, jaką się rządzą, mamy prawo sądzić ich postępowanie. Kto piętnowałby *Fryne* za jej bezwstyd

w imię moralności wiktoriańskiej, zbyt łatwe miałyby zadanie; błędem również byłoby rzucanie klątwy w imię współczesnego nam procesu dekolonizacji na pierwsze gwałty kolonializmu albo potępianie wypraw krzyżowych w imię katolicyzmu nie uznającego przemocy; podbój Ameryki, jakiego dokonali Hiszpanie w XVI w., był przede wszystkim świętą wojną, ściślej mówiąc: kontynuacją tej długiej wyprawy krzyżowej, jaką było odebranie Półwyspu Iberyjskiego muzułmanom. Zdobywcy bliscy nam są jako ludzie, zdolni cierpieć i żywić nadzieje, dokonywać czynów podłych lub wzniosłych, ale system wartości, którym rządziła się ich epoka, jest starszy od humanitarnego ducha XVIII w., a także od racjonalizmu kartezjańskiego, materializmu historycznego, od Freuda, Gandhiego i (co również nie jest bez znaczenia) od Pasteura. Inaczej mówiąc, Zdobywcy są antypodami współczesnych nam ludzi żyjących według etyki złożonej, która powstała z pierwiastków wyżej wspomnianych, a także innych, wyrosłych prawie bez wyjątku dopiero na ruinach etyki panującej w Hiszpanii w czasie, gdy Zdobywcy przygotowywali się do Podboju.

Ich epoka to niemal dokładnie okres panowania Karola V (Karola I w Hiszpanii). Jakkolwiek zawsze wymienia się 1492 r., w którym Kolumb po raz pierwszy dotarł do Antylów, jako datę odkrycia Ameryki, trzeba tu poczynić pewne zastrzeżenia.

Po pierwsze, Kolumb sądził, że dotarł do Japonii (zwanej wówczas *Cipangu*) i nie domyślał się istnienia jakiegoś kontynentu pomiędzy Antylami i Azją (Chinami, które, jego zdaniem, leżały blisko), kontynentu, który wkrótce (w przeciwieństwie do wysp) zaczęto nazywać Lądem Stałym, a następnie (od imienia Amerigo Vespuciego, żeglarza florenckiego) — Ameryką. Po wtóre, rekonesansy Kolumba, który miał za zadanie przede wszystkim handel, przyniosły istotną kolonizację Wysp dopiero po jego trzeciej wyprawie i osiedleniu się na Hispanioli (San Domingo) gubernatora Nicolasa de Ovando w 1502 r. Podbój Ameryki kontynentalnej rozpoczął się naprawdę dopiero sześć lat później — po klęskach takich niefortunnych przedsięwzięć, jak wyprawa Juana Ponce Leona



Ryc. 2. Rycerz Nowego Świata, Krzysztof Kolumb, ląduje na Santo Domingo

na Florydę i Francisca Hernandeza de Cordovy na Jukatan, mimo że Vasco Nuñez de Balboa przewędrował Przesmyk już w 1513 r. Odkrycie Przesmyku przez Balboę, uwieńczone słynną sceną, kiedy to Zdobywca wpro-

wadził konia w fale Morza Południowego (Ocean Spokojny) i wziął w posiadanie w imieniu Władców Katolickich, w gruncie rzeczy doprowadziło do kolonizacji obszaru nazywanego Lądem Stałym (był to bowiem pierwszy zbadany obszar kontynentu), gdzie w następnym roku zarząd powierzono Pedrariasowi Davili. Kolonizacja ta nie przekroczyła górzystych i trudnych do przebycia okolic Przesmyku, który później nazwano Panamskim. Pierwszą wielką zdobyczą kontynentalną będzie Meksyk podbity przez Hernana Cortesa w 1519 r. — właśnie wtedy gdy Karol I zasiadł na tronie Hiszpanii. W następnym dziesięcioleciu sam Cortés i jego podkomendni badają resztę obszaru, który stanie się potem Meksykiem; Cortés i Gil Gonzales de Avila posuwają się na południe (Las Hibueras), Alvarado zaś w kierunku Gwatemali. Vázquez de Ayllón odkrywa okolice Panuco. Díaz de Solís w 1516 r. odkrył Rio de la Plata („rzekę srebrną” o wiele obiecującej nazwie), ale dopiero w 1541 r. Alvar Núñez Cabeza de Vaca dotarł do Paragwaju.

Tymczasem dokonuje się drugi wielki podbój na kontynencie. W 1525 r. Francisco Pizarro i Diego de Almagro wyruszają, wysłani przez gubernatora Pedrarias Davilę, aby odkryć obszar, który potem od jednej ze swoich rzek otrzyma nazwę Peru, a który Inkowie nazywali Tawantinsuyu. Dopiero po trzech wyprawach wkroczenie Hiszpanów do Cuzco w 1533 r. usankcjonuje ich władzę w kraju. Cesarstwo Inków, któremu nadano nazwę Peru, obejmowało dzisiejsze Peru, część Chile północnego, Boliwię i Ekwador. Stąd Orellana wyrusza na zbadanie biegu rzeki, która wówczas nosiła jego imię, a którą potem ochrzczono Amazonką, ponieważ on twierdził, że płynie ona przez kraj Amazonek. Pedro de Valdivia zdobywa Chile, ale jest to podbój krótkotrwały; wybucha długa wojna, słynna dzięki poematowi Ercilli *La Araucana* (1569 r.), który jest prawdziwą *Iliadą* amerykańską. Jednocześnie Pánfilo de Narvaez, a raczej paru ludzi ocalonych z jego wyprawy na Florydę, przebywa część dzisiejszego terytorium Stanów Zjednoczonych, od wschodu na zachód, od zatoki Tampa do Teksasu, następnie zaś, w 1538 r., wkracza do Meksyku. Jeden z podwładnych

Pizarra, Hernando de Soto, wzbogacony w Peru przy podziale skarbów Atahualpy, organizuje nową wyprawę na Florydę, o której Inka Garcilaso opowiada w swojej pięknej książce, zatytułowanej *Florida* (1605 r.). Tak więc podbój Ameryki przypadł głównie na lata 1510—1545, na panowanie Karola I w Hiszpanii, który jako cesarz nosi imię Karola V (1519—1556). Kiedy Karol V abdykuje w 1556 r., problemy amerykańskie rozważa się już niemal wyłącznie pod kątem prawnym, a nie geograficznym albo wojskowym; jedyny wyjątek, bardzo zresztą ważny, stanowi wojna w Araukanii.

Błyskawiczne tempo podbojów i krótki okres czasu, w którym ich dokonano, upoważniają nas do mówienia o pokoleniu Zdobywców, co uzasadnić można wieloma argumentami. Najstarsi ze Zdobywców np. Balboa, urodzili się ok. 1475 r., ostatni z nich umierają ok. 1580 r. np. Bernal Díaz del Castillo, kronikarz walk w Meksyku. Prawie wszyscy znaleźli się w Indiach w bardzo młodym wieku — często pomiędzy piętnastym a dwudziestym rokiem życia; Cortés np. w dziewiętnastym. Podboju, a raczej podbojów, dokonali ludzie, z których najstarsi liczyli około czterdziestu lat. Nastąpiło coś podobnego do wyroju pszczoł: ludzie gromadnie wyruszają z Sewilli i na Antylach odbywają rodzaj przeszkolenia kolonialnego, stamtąd udają się na kontynent; gdy tylko dowódca wyprawy zdobył jakieś terytorium, natychmiast jego podwładni pragną na własne konto badać nowe okolice. Szkolenie tych ludzi jest zawsze jednakowe, oparte na metodach empirycznych, jednakowe są też ich cele: złoto i sława. Przeważnie ubodzy, często młodsi synowie drobnej rycerskiej szlachty, która po oswobodzeniu Półwyspu Iberyjskiego była gotowa stanąć do nowych walk, szukali w podbojach amerykańskich kariery, jakiej ojczyzna nie mogła im już zapewnić. Wszyscy jednak dają się wciągnąć w grę i omamić mirażom, wszyscy wierzą i w wyspę Amazonek, i w Źródło Młodości. Należy też pamiętać, że dręczyło ich pragnienie wiedzy, które uważa się zwykle za jeden z charakterystycznych rysów epoki; najpiękniejszym tego przykładem jest zapewne sam Cortés, kiedy osamotniony we wrogim Meksyku wysłał grupę

badaczy na stoki dymiącego Popocatepetlu, aby obserwowali zjawiska sięjące trwogę wśród Indian. Ale przede wszystkim w Zdobywcach żyje średniowieczna Hiszpania, która za główny swój cel uważa krucjatę przeciwko Islamowi, Hiszpania z jej instytucjami miejskimi i przywilejami indywidualnymi. Jako wasale Karola V wiedzą, że jego polityka wielkości wymaga ogromnych zasobów materialnych; podobnie jak cesarz, i oni potrzebują cennych metali, dzielają też jego dumę zdobywcy. Jako poddanym Świętego Cesarstwa wspólna im jest wiara wojująca, a nawet „wojskowa”, która stanowi podłoże ich świadomości narodowej, ale którą u najwybitniejszych spośród nich podważają prądy Odnowy. Od pierwszej chwili podbojowi wojskowemu towarzyszy podbój duchowy, prowadzony przez elitę i straż przednią ówczesnego Kościoła, tzn. zakony żebrzące. Okres podbojów przypada na długi pontyfikat Pawła III Farnese (1533—1549), papieża-erazmianina. Jako najdalej wysunięty punkt polityki hiszpańskiej w jej zenicie, jako awangarda zdobywczej Europy w zaraniu kapitalizmu, Zdobywcy dali się ponieść rzece historii i oni sprawili, że wystąpiła z brzegów. Zbrojne ramię Świętego Cesarstwa Rzymskiego, głosiciele eschatologicznej wiary w przyjście Królestwa, a w każdym razie Nowego Kościoła powołanego do zajęcia miejsca Kościoła Rzymskiego — któremu od wewnątrz zagrażała herezja luterńska, będąca następstwem jego dekadencji, a z zewnątrz, aż do bram Wiednia i Neapolu, niebezpieczeństwo tureckie — Zdobywcy żywili głębokie przekonanie, że mają odegrać rolę opatrnościową. Dopiero dziś, z perspektywy czasu, możemy stwierdzić, że nadali oni decydujący kierunek losom Europy osłabionej schizmą protestancką, przez kryzys struktur feudalnych i rycerskiej moralności, ponoszonej przez prądy duchowe wywołujące nieraz gwałtowne wstrząsy, zagrożonej w swoim życiu ekonomicznym przez postępy Turków na Bliskim Wschodzie i na Morzu Śródziemnym. Wtargnięcie prawdziwie nowego świata w zamknięty system — tak z punktu widzenia antropologicznego, jak kosmograficznego — Europy średniowiecznej miało nadać jej życiu ekonomicznemu i duchowemu

życielami Nowego, który tak ważną rolę odgrywa w świecie, w którym żyjemy. Ameryka nie jest już dziś Nowym Światem, ale od starości broni ją właśnie duch pionierski, duch Zdobywców. Toteż i w naszej epoce konkwistadorzy bardziej zasługują na krytyczne badania pozbawione nienawiści i pobłażania niż na czarną legendę lub heroiczną apoteozę.

2

Ameryka przed podbojem

Mówiąc o podboju Ameryki, patrzymy z fałszywej perspektywy historycznej i popełniamy anachronizm. W rzeczywistości bowiem były to liczne podboje w okolicach bardzo od siebie oddalonych, które pomału okazały się częściami olbrzymiej całości geograficznej, obejmującej ogromny kontynent i wyspy. Zdarzyło się również, że większości tych podbojów dokonano mniej więcej w ramach prawnych, jakie im wyznaczyła monarchia hiszpańska. Ale ten czynnik jedności uznamy za bardzo kruchy, gdy przypomnimy sobie, że monarchia hiszpańska sama istniała dopiero od niedawna (od 1479 r.), dzięki małżeństwu Ferdynanda Aragońskiego z Izabelą Kastylską. Te fakty i ta polityka matrymonialna upewnia nas, że tkwimy jeszcze w średniowieczu, gdy Krzysztof Kolumb odkrywa nie Amerykę, lecz Nowy Świat. Nie można więc żadną miarą mówić o podboju Ameryki przez Hiszpanię, ponieważ Hiszpania dopiero się rodziła, Ameryka zaś miała się narodzić z podboju. Zresztą monarchia hiszpańska nie występowała jako potęga zdobywczą: wyprawy organizowali na własne konto ludzie prywatni i prosili władców Aragonii i Kastylii o gwarancję prawną, która miała odróżniać Zdobywców od zwykłych piratów. Większość „odkrywców”, jak ich przeważnie później nazywano, pochodziła z Półwyspu Iberyjskiego, ale najznakomitszy z nich, Kolumb, urodził się w Genui; byli wśród nich również Grecy, Francuzi, Niemcy itd. Dopiero łącz-

nie wszystkie te podboje, czyli wyprawy (*entradas*), które werbowały żołnierzy różnych narodowości, ale których późniejszą kolonizację przeprowadziły Hiszpania albo Portugalia (raczej była to kolonizacja niż podbój), nadały Nowemu Światu, który nazywano również Indiami, jedność polityczną. Ameryka narodziła się pod znakiem sprzeczności i nieporozumień. Nazwa, jaką przez długi czas jej nadawano, Indie, utwierdziła jeszcze omyłkę Kolumba, który wyruszywszy na poszukiwanie Indii Wschodnich na zachód i upoważniony do tej misji, nie chciał uznać, że ma przed sobą nowy świat. Kolumb więc był odkrywcą mimo woli. Cóż obchodziły go wyspy zamieszkałe przez dzikich! Powierzono mu misję ekonomiczną, zresztą bardzo doniosłą: jechał po korzenie (towar luksusowy, używany w aptekarstwie i w kuchni), wprost do krajów, które je produkowały, drogą morską krótszą niż wokół Przylądka Dobrej Nadziei, która wobec przerwania szlaków karawanowych z Azji (po zdobyciu Konstantynopola przez Turków) stała się jedyną. Miraż bogactw Wschodu musiał przesłaniać odkrycie Ameryki, a przynajmniej przeszkadzać rozwijaniu się mitu o Nowym Świecie — aż do chwili, gdy wielkie zdobycze kontynentalne Cortesa w Meksyku i Pizarra w Peru uświęciły z kolei legendę bajecznego Zachodu. Mimo to w dalszym ciągu nazywano tubylców, po hiszpańsku, *Indios*, a Europejczyków osiadłych w Nowym Świecie — *Indianos*. Geografowie, np. Waldseemüller, bardzo wczesnie wprowadzili nazwę „ziemia Ameryk” na cześć florenckiego żeglarza Amerigo Vespucciego, który pierwszy zbadał całe wybrzeże wschodnie Ameryki Południowej. Ale owa nazwa nie była wolna od pewnej intencji politycznej — przypomnijmy sobie choćby proces, jaki Korona hiszpańska wytoczyła Admirałowi (Kolumb zawsze jest tak nazywany w ówczesnych dokumentach) i jego spadkobiercom, chcąc pozbawić ich przywilejów przyznanych im lekkomyślnie przez kapitulację w Santé Fe jeszcze wtedy, gdy o Nowym Świecie nic nie wiadzano. Niemniej, w XVI i XVII w. nazwą Indie prawie zawsze oznaczano to, co my dzisiaj nazywamy Ameryką. Tak więc kolonizacja hiszpańsko-portugalska, nadając No-

wemu Światu jedność religijną, administracyjną, częściowo językową, a zwłaszcza polityczną, zrodziła Amerykę jako pewną geograficznie określoną przestrzeń, jako całość świadomą siebie samej — i przede wszystkim odrębną w świadomości Europejczyków, jednym słowem, jako rzeczywistość geopolityczną. Jedność duchowa Zdobyców przetrwa — i przetrworzy się — w jedności duchowej Kreolów, którym ich kraj będzie się wydawał „Rajem zachodnim”, według słów meksykańskiego erudyty z XVII w., Don Carlosa de Siguenzy y Góngory.

Wtedy tylko będziemy mieć właściwe pojęcie o Zdobycach, gdy wymazując jakby dzielące nas od nich cztery stulecia, spróbujemy wyobrazić sobie tę Amerykę, jaką oni odkryli i podbili, i jaka ich podbiła, o czym świadczy wyrażenie „Raj zachodni” i inne podobne określenia. Czym była Ameryka przed Ameryką, a raczej Indie przed Indianami, Nowy Świat nie znający jeszcze swej nowej przyszłości?

Indianie oczywiście nie wiedzieli, że są Indianami, zanim nie oznajmił im tego Podbój i nie narzucił wspólnej samowiedzy. Podbój Nowego Świata jest podwójnym spotkaniem: po pierwsze, między ludźmi należącymi do bardzo różnych cywilizacji, a po drugie, między tym, czym Indianie byli nie wiedząc o tym, a tym, co Zdobycy myśleli o Indiach na podstawie relacji podróżników o Wschodzie, legend starożytności grecko-rzymskiej i prorocत्व Starego Testamentu. Wielkim zubożeniem sprawy podboju byłoby sprowadzanie go do rozmiarów fantastycznego wyczynu sportowego i wielkiej ekspedycji wojskowej, czym zresztą był również. Podbój Ameryki był cudownym prądem odnowienia wiedzy w dziedzinie kosmografii i sztuki żeglarskiej, nauk przyrodniczych i ich zastosowania w farmaceutyce oraz rolnictwie, a także w zakresie antropologii i jej wpływu na filozofię i politykę. Podbój był wybuchem inwencji epickiej, mitologicznej — o czym świadczy np. szukanie Eldorado i Źródła Młodości — a także wyobraźni praktycznej, która umożliwiła przystosowanie ludzi i ich broni do nowych warunków klimatycznych, fizycznych i militarnych. Ale przede wszystkim odkrycie Indii stało się w odczu-

ciu ludzi ówczesnych ważnym punktem w duchowym rozwoju historii ludzkości jako ostatni etap przed przyjściem Królestwa Bożego, które miało się ziścić właśnie w Indiach, pod postacią nowego Kościoła katolickiego.

Duch mesjanistyczny przenikał również gminy protestanckie, jak wiadomo, we Francji admirał Coligny myślał o Nowej Francji jako o ziemi obiecanej dla protestantów. Również Żydzi europejscy byli pewni, że odnajdą „Żydów ukrytych”, o których mówili Prorocy i których wkrótce zidentyfikowano z pewnymi ludami w Ekwadorze; ich odnalezienie się uchodziło za zapowiedź połączenia się pokoleń Izraela i przyjścia Mesjasza, syna Dawidowego. Nic więc dziwnego, że kronikarz Indii, Francisco Lopez de Gómara, w takich słowach zwraca się do Karola V w przedmowie do swojej pracy *Historia general de las Indias* (1551 r.): „Najpotężniejszy Monarcho! Największym zdarzeniem od stworzenia świata, wyjąwszy wcielenie i śmierć jego Stwórcy, jest odkrycie Indii; dlatego nazywa się je Nowym Światem”. Któż nie dostrzegłby religijnej głębi tych słów, ich znaczenia eschatologicznego! Stanowią one echo wypowiedzi kapitana Cristobala de Meny (pod którą mogliby się podpisać wszyscy Zdobywcy): „Nie jest to dziełem naszych rąk, gdyż była nas garstka, lecz łaski Bożej, która jest obfita” (1534 r.). Przekonanie, że Bóg wybrał ich sobie za narzędzie, opanowało umysły Zdobywców i dziś stanowi dla nas jedno z wyjaśnień ich czynów.

Jaka była naprawdę ta Ameryka, w której Zdobywcy widzieli nową Ziemię Obiecaną — w sensie zarazem i najbardziej ludzkim i tradycyjnie najbardziej nadprzyrodzonym? Kiedy dziś mówimy o Ameryce, nazwa ta zawiera w sobie i przedstawia dla nas pewną całość; ale nie zapominajmy, że Wenezuela, Kolumbia i Peru — które pod względem obszaru są małymi krajami amerykańskimi — mają każde z osobna powierzchnię mniej więcej dwukrotnie większą od Hiszpanii. Sam tylko Teksas (dawniej należący do Meksyku) jest większy od Francji.

Część kontynentu amerykańskiego zbadana lub zdobyta przez Hiszpanów i Portugalczyków w XVI i XVII w., ale

głównie pomiędzy 1519 a 1545 r., rozciąga się w przybliżeniu pomiędzy 55° szerokości południowej (Ziemia Ognista) a 45° szerokości północnej (dzisiejszy stan Nebraska), a więc zajmuje 100° szerokości. (Przypominamy, że 10° szerokości geograficznej dzieli Paryż od Oslo). Pod nazwą „Ameryka” kryje się skomplikowana całość, która zawiera w sobie wszystkie rodzaje klimatu, od najgorętszego równikowego aż do najmroźniejszego, bliskiego kołu podbiegunowemu. Również flora i fauna amerykańska odznaczają się ogromną różnorodnością, którą zawdzięczają nie tylko różnicom szerokości geograficznej, ale i bardzo różnemu podłożu, sieci rzecznej, wiatrom, wysokości. Ludność tubylcza różni się nieraz bardzo zasadniczo, mimo to jednak mogła stanowić jeden z najsilniejszych czynników jedności.

Tak więc pojęcie Ameryki czy też Nowego Świata opiera się zasadniczo na historii tego kontynentu. Amerykę zrodziło określone zdarzenie historyczne; sprawiło ono, że została odkryta w ciągu paru dziesiątków lat przez ludzi należących do świata, który uważał się za jedyny istniejący. Rozpadł się wówczas zamknięty duchowo i geograficznie świat europejskiego średniowiecza. Geografia ówczesna głosiła, że ziemia jest płaska (był to również punkt wiary — stąd prześladowanie Galileusza, który twierdził, że ziemia jest kulą), wobec czego życie na Antypodach byłoby niemożliwe, tymczasem Indianie amerykańscy mieli być antypodami Europejczyków. Poza tym okolice równika uważano z powodu gorąca za nie zamieszkane. Odkrycie Ameryki i klimat Wenezueli (mała Wenecja) oraz Antyli miały zadać kłam poglądom, które zdołały nabrać mocy dogmatu, dogmatu katolickiego. Wiedza starożytności pogańskiej nie zgadzała się bowiem z prawdą objawioną w Starym i Nowym Testamencie. Zdobywcy zakosztowali Nowego Świata w całej jego nowości. Nie zapominajmy, że ogromne przestrzenie amerykańskie jeszcze dziś imponują Europejczykom. Rodan, jedna z największych rzek starego świata, ma przeciętny przepływ 1700 m³, Amazonka — 150 000 m³; ta różnica pozwala nam domyślić się, jakie zdziwienie ogarniało człowieka przybyłego ze Starego Świata na widok potężnej

rzeki amerykańskiej. Wielkie uprawne pola Europy, np. w Beauce i Nowej Kastylii, zmieściłyby się sześciokrotnie w pampasach argentyńskich. Byłoby więc dziwne, gdyby Nowy Świat nie zrodził cudów, fantastycznych opowieści, gdyby umysły Zdobywców, których oczy pełne były wizji Tropików, nie zostały zapłodnione legendami. Sama już geografia Nowego Świata, nie ustalona aż do XVIII w., rysowała się pod wpływem historii odkryć i podbojów, która z kolei zależna była od celów podboju. Pierwszym celem ekonomicznym wypraw do Nowego Świata było poszukiwanie cennych metali i pereł, później polowanie na niewolników (stanowiących zarazem towar i siłę roboczą). Można stwierdzić, że dynamika podboju, w pewnym sensie kształtująca ówczesną geografję, odpowiada niemal doskonale tym zamierzeniom.

Jest rzeczą naturalną, że pierwsi odkrywcy, ponieważ przybywali ze wschodu, dotarli najpierw do Nowego Świata przez jego archipelag wschodni — Antyle. Już towarzysze Kolumba wypytywali na migi lub przez tłumaczy o krainę złota. Tajnowie odpowiadali: „Tamtędy”, na pewno, aby pozbyć się tak niepożądanych gości; w ten sposób (tocząc uciążliwe walki z Karaibami), stopniowo odkryto i zdobyto całe Antyle, a następnie Przesmyk Panamski. Ameryka, jaka pojawiła się pod piórem swego pierwszego historyka, humanisty Pedro Martyra d'Anghieri w 1516 r., to zasadniczo Morze Antylskie, czyli Morze Północne, i Wyspy, wybrzeża dzisiejszej Wenezueli i Przesmyku Panamskiego (Darien). Ale gdy tylko zbádano jakiś obszar kontynentalny, starano się go opłynąć, ponieważ uważano, że każdy nowo odkryty ląd jest wyspą. Bardzo możliwe, że przynajmniej na początku jednym ze źródeł tego ogólnego przekonania był fakt, iż identyfikowano te obszary z archipelagiem japońskim i Filipinami. Ale równie naturalne było, że natrafiwszy na Antyle, spodziewano się odkryć poza nimi inne wyspy, ponieważ nikt nie podejrzewał istnienia jakiegoś lądu pomiędzy Europą a Dalekim Wschodem. Tak więc Florydę, którą odkryto w 1512 r., uważano za wyspę i nazwano „Wyspą Kwiatową” do okresu, który dziś trudno nam ustalić, ale pewne jest, że aż do końca XVI w.

Z tej wyspiarskiej bazy wyjściowej (Hispaniola, czyli San Domingo, a przede wszystkim Kuba) podbój nie szerzył się na kontynencie drogami najłatwiejszymi pod względem warunków geograficznych, poprzez wielkie doliny Missisipi albo Rio de la Plata, lecz właśnie przez wysoko położone i niedostępne okolice Andów i wyżyny meksykańskie. Paradoks ten wyjaśnić można dwoma przyczynami: groźną siłą Indian z równin i pogonią za złotem. Trzeba było aż czterech prawdziwie morderczych wypraw w latach 1512—1562, aby Hiszpanie umocnili się na Florydzie. Z drugiej strony, fantastyczne wieści o potężnych państwach z wyżyn Kordyliery (o cesarstwie Azteków w Meksyku oraz Inków w Ameryce Południowej) kazały Zdobywcom gardzić okolicami nadmorskimi i atakować miasta położone na poziomie najwyższych szczytów europejskich. Mit o Eldorado był jedną z psychologicznych pobudek tego rodzaju podbojów. Pod wpływem romansów rycerskich szukano takich bajecznych miast, jak Cibola w Teksasie i Miasto Cezarów w południowym Chile. Dopiero po zdobyciu wielkich państw andyjskich najbardziej ambitni Zdobywcy oraz ci, którzy uważali się za pokrzywdzonych przy podziale łupów, wrócili do okolic nisko położonych lub niegościnnych, ażeby tam wykroić sobie posiadłości (nazywano to po prostu „oczyszczaniem terenu”). Na przykład, Orellana, jeden z podwładnych Pizarra w okresie podboju Peru, wyruszył w górę Amazonki i trzymając się jej biegu poszukiwał wyspy Amazonek. Do niezadowolonych Zdobywców Peru należał także Valdivia, rozpoczął więc podbój Chile, co przysporzyło mu gorzkich rozczarowań.

Ale czas już zająć się ludami Nowego Świata, których swoista organizacja i mniej lub więcej wytrwały opór przyczyniły się do nadania podbojowi nieoczekiwanego kierunku.

Indianie — jak nazwano ich przez pomyłkę i bez uwzględnienia dzielących ich różnic, Amerindianie — jak należałoby ich ochrzcić dla odróżnienia od Indian wschodnich, były to plemiona o różnych cechach antropologicznych, ale mające wspólne mongoidalne rysy (zwłaszcza wystające kości policzkowe i brak zarostu). Bardzo nie-

dawno jeszcze sądzono, że nie byli oni naprawdę autochtonami, i stąd powstały różne teorie mające na celu odtworzenie ich wędrówek, jakie z Azji przez Cieśninę Beringa lub z Oceanii przez morze miały zaludnić Nowy Świat — którego nowość w ten sposób byłaby podwójna: historyczna i prehistoryczna. Ameryka byłaby więc w okresie historycznym Nowym Światem dla Europy, a w prehistorycznym — dla Azji, z racji swej pierwotnej ludności. Tymczasem o ile wielkie wędrówki po epoce lodowcowej są prawdopodobne, to istnienie człowieka amerykańskiego, bardzo starożytnego i autochtona, nie ulega żadnej wątpliwości. Wydaje się, że Ameryka przedkolumbijska zawdzięczała pewną jedność etniczną wielkim wędrówkom, żegludze przybrzeżnej i szybkiej komunikacji pieszej, koń bowiem nie był znany — i że zapewne zwracała się ku stronie wschodniej z racji swego nachylenia ku Pacyfikowi oraz dzięki osłonie, jaką tworzyła dla niej Oceania i Wyspa Wielkanocna — jak po podboju zwróci się ku zachodowi. Ale są to tylko hipotezy.

Jest natomiast rzeczą jasną — i wyjaśnia to ważne aspekty Podboju, które inaczej pozostałyby dla nas niezrozumiałe — że poszczególne ludy Nowego Świata osiągnęły wówczas bardzo różny stopień rozwoju. Możemy wprowadzić stwierdzić istnienie prawie identycznych mitów na obszarze od Teksasu po Chile i podobnych metod pracy w regionach bardzo od siebie oddalonych, niemniej prawdą jest, że niektórzy Indianie w XVI w. tkwili jeszcze w epoce neolitu, podczas gdy inni — jeszcze przed X w. — wypracowali sobie kosmografię bardziej postępową od tej, jaką Europejczycy mogli się pochłubić w XVI w. Rozważając rzecz z punktu widzenia geografii, te różne poziomy cywilizacji nie były rozmieszczone przypadkowo, przeciwnie, ukazują się nam jako dzieło długich lat historii, przedkolumbijskiej historii Ameryki obfitującej w wynalazki, wędrówki, wojny i — wiemy o tym dokładniej od paru dziesiątków lat — nieporównane dzieła sztuki. Ameryka nie ukazała Zdobycwcom oblicza jednolitego, lecz aspekty jaskrawo różne; wyrafinowanie godne Wschodu i ludożerstwo najstarszej epoki pogaństwa sąsiadują ze sobą nieoczekiwanie i dla-

tęgo w kronikach Podboju na przemian dochodzą do głosu zachwyty i wstręt.

Spróbujmy sobie wyobrazić jak przedstawił się Nowy Świat pierwszym odkrywcom. Rzućmy okiem na ówczesne mapy, gdzie wyspy wyłaniają się z oceanu zaludnionego przez nimfy i trytony; z jednej z takich wysp wyruszyły pierwsze pirogi Indian na spotkanie karaweli Krzysztofa Kolumba, który tak ich opisał: „Tęgo dnia przybyło na wybrzeże wielu tych ludzi, wszyscy młodzi i wszyscy nader pięknej postawy, nader pięknej rasy (...), oczy bardzo piękne, duże (...). Podjechali ku naszemu statkowi w pirogach (*almadias*), uczynionych z pnia jednego drzewa, przypominających długie barki, ale z jednego kawałka, i ozdobione cudownymi rzezbami, różnymi zależnie od kraju; jedne łodzie były wielkie i mieściły czterdziestu lub czterdziestu pięciu ludzi, inne mniejsze, a trafiały się i takie, które zajmował tylko jeden człowiek”. Było to 13 października 1492 r. Nowy Świat został odkryty przez Europejczyków; uważano, że dotąd trzymany był w ukryciu przez Opatrzność Bożą, która wybrała Kolumba, aby

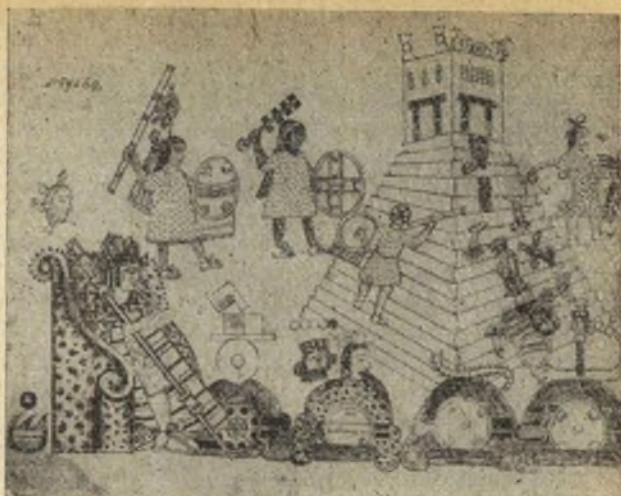


Ryc. 4. „Dobry dzikus” w XV w.

rozdarł okrywającą go zasłonę. Wyrazy hiszpańskie *descubierto* (odkryty) i *encubierto* (dosłownie: zakryty, ukryty) wyrażają trafnie ów rodzaj przewrotu, jakiemu uległ status Ameryki, przewrotu, jaki spowodowała pierwsza wyprawa Kolumba. Przypadek, a raczej kierunek wiatrów i geografia sprawiły, że ludność amerykańska, z jaką zetknął się wtedy Kolumb, należała do usposobionych najbardziej pokojowo. Zacytowany wyżej tekst z dziennika Admirała, trzeba retrospektywnie uznać za narodziny mitu — tak później bujnego u Marmontela i Chateaubrianda — mitu „dobrego dzikusa”. Ów obraz ludności amerykańskiej rzucony na tło podzwrotnikowego krajobrazu odmalowanego pędzlem Gauguina, czyni Kolumba — przez antycypację — pierwszym oskarżycielem wszelkich okrucieństw, jakie popełnił z czasem Zdobywcy na ludności, która jednak nie zawsze przyjmowała ich tak gościnnie. Indianie z wysp Bahama i Hispanioli (San Domingo) byli to jeszcze, w wielkiej liczbie, Tainowie, tzn. Aruakowie z Ameryki Południowej. Ta osiadła ludność rolnicza osiągnęła wysoki poziom cywilizacji artystycznej, jak świadczą przedmioty odnajdowane w Puerto Rico. Ale towarzyszy, których Kolumb zostawił na posterunku w okresie pomiędzy dwoma wyprawami, wnet zaatakował inny odłam ludności antylskiej, Karibowie. Byli oni odgałęzieniem grupy Karib, którą odnajdujemy również w Ameryce Środkowej, zwłaszcza w Gujanach. Zorganizowani w koczownicze klany, ci myśliwi, rybacy, a zwłaszcza wojownicy, zdobyli Antyle — nie zaludniając ich — niedługo przed wyprawami Kolumba i zapanowali nad miłującymi pokój Tainami.

Kontrast zachodzący pomiędzy tymi dwoma odłami ludności indiańskiej na Antylach zawierał w sobie zapowiedź, że stopniowe odkrywanie Nowego Świata będzie jak gdyby na przemian zimnym i gorącym tuszem. Amerykę zaludniali, biorąc ogólnie, koczownicy-myśliwi, groźni wojownicy żyjący w małych jednostkach klanowych przede wszystkim na równinach, oraz osiadli rolnicy, którzy rozporządzali udoskonaloną techniką, mieli dość skomplikowane wierzenia, tworzyli wielkie organizmy polityczne i mieszkali na wysokich płaskowzgó-

rzach andyjskich. Niepowodzenie wypraw na Florydę — na tym obszarze, jaki jej wówczas przypisywano, a więc sięgającym znacznie na zachód od delty Missisipi — było wynikiem wrogości plemion Indian z równin, plemion Creek i Choctaw, które — dodajmy, aby uczynić ich nam bliższymi — były pokrewne Siuksom. Karaibowie zostali pokonani dość szybko, nie tylko dlatego, że było ich mało, lecz i dlatego, że zajmowane przez nich tereny były ważną pozycją strategiczną, zasadniczą dla odkrycia kontynentu i kontroli dróg morskich, a wreszcie dlatego, że brakowało im ogromnego zaplecza, jakie mieli Indianie z równin. Natomiast Araukanie z Chile południowego długo stawiali opór Hiszpanom. I jedni, i drudzy jednak nie potrafili w swej polityce wyjść poza miejscowe sprawy klanów ani też ocenić istotnej siły swego europejskiego przeciwnika. Po każdym lokalnym zwycięstwie Indianom zdawało się, że rozgromili i wytępilli wszystkich Hiszpanów — podobnie sądziły plemiona galijskie o rzymskim najeźdźcy. Ale nieporozumienie było obustronne. Hiszpanie, ledwie zawarli sojusz z jakimś wodzem szczepu albo go pokonali i poczuli się bezpiecznie na jakimś większym terytorium, już musieli odpierać ataki innego szczepu lub bronić się przeciwko zdradzie chwilowych sprzymierzeńców. Dlatego właśnie podboje, wbrew wszelkim oczekiwaniom, były łatwiejsze i trwalsze w wielkich państwach indiańskich. Z chwilą gdy Montezuma został jeńcem Cortesa, Atahualpa zaś — Pizarra, cesarstwo azteckie w Meksyku oraz inkaskie w Ameryce Południowej opierają się Hiszpanom już tylko sporadycznie (ważnym wyjątkiem jest wielka akcja Cuauhtemoca w Meksyku, której kres położyło dopiero wzięcie go do niewoli i opór, jaki w Peru stawiał Titu Cusi). Przyczyną takiego biegu wypadków była zarówno centralizacja polityczna — gdy takie państwo traci swego naczelnika i swoją kastę rządzącą, masa ludności staje się bezwolna — jak i pewien czynnik psychologiczny: uciśnione mniejszości, które użyczyły swojej siły zbrojnej hiszpańskiemu najeźdźcy, przez pewien czas korzystają z owoców zwycięstwa; tak było w Meksyku w przypadku Tlaxcalteków. Poza tym głęboko dotąd zakorzeniona wiara, że



Ryc. 5. Mexico-Tenochtitlan: ofiary z ludzi składane w obecności najwyższego wodza azteckiego Tlatoani (*Codex Azcatitlan*)

Inkowie czy też azteccy Tlatoani są niezwyciężeni, wobec oczywistości ich klęski zmieniała się w uległość i odbierała wszelką chęć buntowania się przeciwko zwycięzcy.

Meksyk był siedliskiem cywilizacji bardzo wysoko rozwiniętych. Olmekowie z wybrzeży Zatoki Meksykańskiej, Majowie z Chiapas i Jukatanu, Toltekowie z Meksyku środkowego, Zapotekowie z Oaxaca reprezentowali podkład ludności i dorobek cywilizacji, której Aztecy w okresie podboju hiszpańskiego dopiero od niedawna byli panami. Aztecy, czyli Mexica, od których wziął nazwę Meksyk, byli ostatnią falą najeźdźców chichimeckich (co w języku nahuatl znaczy „barbarzyńskich”), przybyłych z północy. W dziedzinie sztuki i kultury w stosunku do poprzednich posiadaczy tej ziemi byli tym, czym Rzymianie w stosunku do Greków w chwili podboju: ludem prymitywnym, ale silniejszym militarnie. Sądzymy, że ludność niechętnie znosiła panowanie azteckie i że mniejszości skorzystały z okazji, jaką było zjawienie się Hiszpa-

nów, aby zrzucić tę opiekę. Anachronizmem byłoby mówić tu o zdradzie, ponieważ nie istniała jeszcze świadomość narodowa, co najwyżej świadomość regionalna, którą porównaliśmy z pobudkami, które mogłyby skłonić księcia Burgundii do sprzymierzenia się z jakimś cudzoziemskim władcą przeciwko królowi Francji; Meksyk został zdobyty przez 1200 Hiszpanów i 35 tys. sprzymierzeńców indiańskich. Jeżeli można podziwiać podbój Ameryki jako niezwykły wyczyn, nie należy zapominać, że było to zwycięstwo natury bardziej jeszcze politycznej niż wojskowej. Dotykamy tutaj jednej z głównych przyczyn niepojętego zwycięstwa garstki ludzi nad państwami bogato zalud-



Ryc. 6. Chichen-Itza, świątynia wojowników

nionymi. Państwo cesarza Montezumy było rodzajem federacji, gdzie przewagę w dziedzinie politycznej miało miasto Mexico, a jego bliźniacze miasto Texcoco — w dziedzinie kultury i prawa. Ustrój polityczny, administracja, władze fiskalne i sądownicze pod pewnymi względami zorganizowane były inteligentniej i praktyczniej niż współczesne im analogiczne instytucje na Półwyspie Iberyjskim.

Ujednoczona gospodarka stała na znacznie wyższym poziomie niż w Europie, gdyż umiała zapobiegać głodowi i łagodzić jego skutki. Cuda sztuki starożytnego Meksyku zbyt dobrze są znane, abyśmy mogli poprzestać na wzmiance o nich. Natomiast za mało podkreśla się fakt, że kosmologia i liczenie czasu, farmakopea i chirurgia, botanika i zoologia stały wyżej niż w Starym Świecie w tym samym czasie. Cortés, zraniony podczas bitwy w głowę, uratowany został przez indiańskiego chirurga, który przeprowadził trepanację czaszki w warunkach aseptycznych, nieznanym ówczesnym lekarzom europejskim. Ogród Montezumy był pierwszym ZOO, z jakim zetknęli się Hiszpanie.

Kosmologia i teologia starożytnych Meksykanów osiągnęła wysoki stopień rozwoju, czego dowodem był stołecyzm króla z Texcoco, Nezahualcoyotla. Przypomnijmy również spór, jaki wynikł pomiędzy pierwszymi franciszkanami głoszącymi ewangelię a kapłanami starej religii pogańskiej, który ukazał, oprócz wielkiego poczucia godności tych Indian, wyżyny metafizyczne, do jakich potrafili się wznieść w swoich rozmyślaniach. Dzisiaj, na podstawie starych tekstów w języku nahuatl, wiemy już, że pod panującym powszechnie politeizmem elita kapłańska ukrywała kult boga stwórcy jedyne go i że nie ma żadnej racji, aby nie nazywać go Bogiem.

Ale obok wszystkich tych cech, które czyniły Meksyk krajem zadziwiającym, istniały inne, zdolne uczynić go bezsilnym wobec hiszpańskiego zdobywcy albo też ukazać mu go w niezwykle ujemnym świetle. Meksykanie nie znali pisma alfabetycznego, posługiwali się piktogramami, mało przydatnymi do wyrażania pojęć abstrakcyjnych — stąd wywodziło się znaczenie tradycji ustnej.

W dziedzinie technologii wydawali się zapóźnieni, bo nie stosowali koła — zresztą jedynie ze względów religijnych co powiększało jeszcze *handicap*, jakim był brak konia i innych zwierząt pociągowych. W zakresie militarnym wielką szkodę przynosiła im instytucja „wojny kwiatowej”, która wymagała, aby wziąć nieprzyjaciela żywcem i następnie złożyć go w ofierze bogom. Ofiary z ludzi i ludożerstwo rytualne były wielkim argumentem, jakim wcześniej zaczęto szermować, aby usprawiedliwić okrucieństwa popełniane przez Zdobywców hiszpańskich. Fakt, że Indianie nie znali obróbki żelaza zadecydował o dużej wyższości broni hiszpańskiej. Natomiast pancerze z pikowanej bawełny dawały Indianom większą swobodę ruchu. Ale Europejczycy szybciej przystosowali się do specyficznych warunków tej pierwszej wojny kolonialnej niż Indianie do nowego przeciwnika. Broń palna, bombardy i kusze zapewniały Hiszpanom znaczną przewagę psychologiczną: Meksykańczycy nazywali ich bogami (*teotl*), utożsamiając wybuchy prochu z uderzeniami piorunów. Później — podobnie jak w wypadku, gdy chodziło o konie, również uważane zrazu za bóstwa — oczywiście prawda sama wyszła na jaw. Niemniej początkowy zamęt wszędzie zrobił swoje — działając na korzyść Zdobywców — i niektórzy umieli to wyzyskać. Najważniejszym jednak faktem była zbieżność pomiędzy przekonaniem Hiszpanów, że są narzędziem w ręku Opatrzności a wiarą Indian w przyjście proroka ze wschodu. Ponieważ Europa żyła według kalendarza słonecznego, a stary Meksyk według obliczeń czasu (komputu) opartych na roku wenusjańskim, i ponieważ przyjście Królestwa Bożego poprzedzić miała walka z Antychrystem, a powrót Quezalcoatl miał zapoczątkować nową erę również wśród scenerii przypominającej Apokalipsę, oba systemy „spotkały się” w 1519 r. dla Europy, a w I roku trzeiny dla Meksykanów, którzy święcili wtedy rocznicę narodzin boga Quezalcoatl. I oto w tym roku właśnie wylądowały w Meksyku, przybyłe ze wschodu w pływających domach, istoty dziwne i nadludzkie, Hiszpanie. Cortés umiał wyzyskać przewagę, jaką dawała mu zakorzeniona wśród tubylczych mas wiara, iż jest on wysłańcem starożytnego boga

tolteckiego, który przybył odzyskać swój tron, jak głosiły proroctwa. Ze swojej strony misjonarze hiszpańscy nie omieszkali głosić, że Bóg, posłużwszy się pogańskimi proroctwami Indian, raczył w ten sposób zapowiedzieć i ułatwić cudem dokonany Podbój.

I tutaj tkwi prawdziwy dramat podboju. Hiszpanie, uważając się za narzędzie Opatrzności, wylądowali jak zwycięzcy na brzegu, gdzie tubylcy oczekiwali ich z podaniem się nieubłaganemu losowi. Tylko w ten sposób wyjaśnić można zadziwiającą apatię Montezumy; nawet gdy dowiedział się, kim naprawdę są jego niezwykle goście, nie potrafił zapomnieć o cudach, które poprzedziły ich przybycie, i o zapowiedzi upadku jego państwa, które miało przejść w ręce nieznanych przybyszów ze wschodu. Te same wierzenia odnaleziono u Indian z równin Ameryki Północnej, wśród ludności Ekwadoru, Peru i Paragwaju.

Wspomnieliśmy o Peru, otóż trzeba zaznaczyć, że tak nazywano — niewłaściwie — państwo Inków, czyli Tawantinsuyu. Był to organizm polityczny jeszcze większy niż państwo azteckie w Meksyku. Państwo to zajmowało tzw. (przez nowoczesnych archeologów) obszar andyjski. Inkowie, podobnie jak Aztekowie, byli niedawnymi przybyszami, kastą panującą, która oparła swoje panowanie na ludach Guarani i Ajmarach mieszkających na wysokich płaskowzgórzach, i narzuciła im język keczua (kiczua). Okolice nadmorskie, podobnie jak w Meksyku, wytworzyły tutaj wspaniałe cywilizacje, jak Chimu i Tiahuanaco, których ceramika rywalizuje z ceramiką z Oaxaca w Meksyku. Podobnie jak cesarstwo azteckie — a w odróżnieniu od małych społeczności Indian myśliwych lub rybaków — państwo Inków wspierało się na osiadłej ludności rolniczej. W obu państwach i podobnie jak na Antylach, podstawową uprawą była uprawa kukurydzy. Kakao i bawełna również odgrywały ważną rolę w gospodarce i wymianach — ziarno kakaowca służyło bowiem za drobną jednostkę monetarną, a płaszcze z bawełny lub z piór były zwykłą formą daniny. Z punktu widzenia ekonomii państwo Inków było jeszcze bardziej autokratyczne niż państwo azteckie. Państwo azteckie sta-



Ryc. 7. Machu Picchu, święte miasto

nowiło coś w rodzaju luźnej federacji, natomiast Tawantinsuyu było silnie zcentralizowane, tak że w tym względzie porównywano je (poza tym różniły się we wszystkim) z państwem Filipa II w Hiszpanii. Gigantyczne ruiny stolicy Cuzco i świętego miasta Machu Picchu, gdzie przebywały dziewice poświęcone Słońcu, świadczą, jak genialnymi budowniczymi byli poddani Inków. W chwili gdy Pizarro przybył do Tawantinsuyu, władcą Inków był Atahualpa; organizacja państwa wspierała się na jego świętej osobie oraz na wysokiej arystokracji, która go otaczała i którą Zdobywcy wyróżnili pod koniec jednej z uct, podobnie jak szlachtę meksykańską, zgromadzoną

podczas pogańskiego święta religijnego na dziedzińcu wielkiej świątyni w Mexico, kazał wymordować Alvarado. Inkowie również nie znali koła ani konia, a chociaż dysponowali jednym zwierzęciem pociagowym, lama, transport, podobnie jak na pozostałym obszarze kontynentu amerykańskiego, odbywał się na ludzkim grzbiecie; praktykowano go w formie obowiązkowej pańszczyzny. Kacykowie traktowali lud bardzo surowo, a nawet okrutnie; misjonarze, których prawdomówność nie ulega wątpliwości, opowiadają, że aby zmusić do posłuszeństwa opornego Indianina, wystarczyło (wiele lat po zdobyciu kraju) zagrozić mu oddaniem pod władzę jego byłego kacyka. Ponieważ dobrze wiemy, że *encomenderos* hiszpańscy często traktowali swoich Indian jak bydła robocze, możemy należycie ocenić tę anegdotę. Rygor administracyjny i sądowy w wielkich państwach starej Ameryki w pewnym stopniu zaostrzała jeszcze, że się tak wyrazimy, ogólna



Ryc. 8. Hiszpanie zdobywają Cuzco (Bry, *Podróże do Ameryk*).

atmosfera przesycona metafizyką. Lud żył w trwodze przed ciemnymi siłami. Kapłani służyli bezlitosnym bogom, spragnionym krwi, którym trzeba było składać w ofierze nie tylko wrogów pojmanych w walce, ale także kwiat młodzieży, a nawet nowo narodzone dzieci. Nie możemy tu zapuszczać się w arkana zawitych, wysoko rozwiniętych wierzeń, których najbardziej wypracowane formy zniszczył podbój, a których niższe przejawy, jak zabobony, tabu i praktyki magiczne, oparły się ewangelizacji. Zapamiętajmy tylko, że te z góry określone ramy zbiorowego losu, jakie bogowie wyznaczali wielkim państwu indyjskim, nie przewidywały wolnej woli, która właśnie wtedy była przedmiotem tak żywych sporów w szkołach filozoficznych Starego Świata. Zdaje się nawet, że świadomość indywidualna z trudem odrywała się od wszechświata, gdzie prawa jednostki wynikały przede wszystkim ze sprawowanych funkcji — z prerogatyw, z dóbr materialnych. Kapłani byli wcieleniem boga, któremu służyli, stąd pomieszanie boga Quezalcoatl z wielkim kapłanem tego samego imienia. Wszystkie te przyczyny podkreślane w toku niniejszego, zbyt pośpiesznego i ogólnikowego opisu wielkich państw przedhiszpańskich, pozwolą nam zrozumieć wzajemne zaskoczenie i zdziwienie przeciwników, a także lepiej ocenić słabość świata, który dał się pokonać, zanim jeszcze został pokonany. Istotnie, wojnie eksterminacyjnej Indianie umieli przeciwstawić jedynie wojnę świętą (chwywanie ofiar dla bogów); duchowi wyprawy krzyżowej, jaki ożywiał Hiszpanów — jedynie proroctwa o własnej swojej klęsce, a wierze Zdobywców — porzucenie bogów, którzy ich pierwsi opuścili. Ameryka raczej pozwoliła się ujarzmić, niż się broniła; zjawisko to, zw. w Meksyku *malinchismo*, jest zadziwiające. Podobnie jak Cempoalanie i Tlaxcalanie poddawali się, byle zgubić Azteków — i podobnie jak Indianie woleli kolonistów hiszpańskich od swoich dawnych kacyków, tak też kobiety indiańskie dobrowolnie szły za zwycięzcami porzucając swoich indiańskich małżonków. Najwybitniejszą i najbardziej przydatną z tych sojuszniczek Podboju była córka wygnanego kacyka, ochrzczona przez Hiszpanów Doñą Mariną, przez

Indian nazywana Malinche (deformacja przyrostka wyrażającego szacunek: tzin — Malinatzin); imię to również nadawano Cortesowi, któremu Marina służyła za tłumacza. Stąd wywodzi się termin *malinchismo* używany w naszych czasach na określenie ksenofilii hiszpano-amerykańskiej przejawiającej się zwłaszcza w dziedzinie idei i mody.

Niższość organizacji, uzbrojenia i narzędzi, prymitywne pojęcia nie przeszkadzały Indianom z równin, czy z Gujany, a zwłaszcza Araukanom z Chile i Chichimekom z północnego Meksyku przez całe wieki stawiać czoła osiedlonej tam na stałe władzy hiszpańskiej. W świetle tych faktów wydaje się więc rzeczą pewną, że o ile niewiarygodne zuchwalstwo, niezaprzeczona odwaga i geniusz polityczny Zdobywców częściowo tłumaczą niezwykły charakter podboju Nowego Świata (nie mówiąc o przewadze technicznej), to różnorodne te czynniki nie wyjaśniają jednak faktu historycznego, który do dziś zdumiewa ludzkość. Błyskawiczny podbój był więc przede wszystkim zwycięstwem wiary nad brakiem wiary — oczywiście nie wiary w Boga nad pogańskimi zabobanami — jak zdawało się Zdobywcom, lecz wiary w zwycięstwo nad pogodzeniem się z klęską, a raczej wynikiem czysto przypadkowej zgodności chrześcijańskiego mesjanizmu (który w owej epoce przechodził rozkwit, jakiego nie znał od czasów apostolskich) z prorocत्वami pogańskimi, którym wnet dodano wagi przez śmiałą interpretację prorocत्व Starego Testamentu. Z punktu widzenia chrześcijaństwa podobną zbieżność istotnie można by nazwać opatrznosciową. Tutaj znajdujemy klucz, bez którego epopeja Zdobywców pozostałaby dla nas na zawsze tajemnicą.

3

Zasoby materialne podboju

Nie należy wyobrażać sobie podboju na obraz i podobieństwo wojen kolonialnych XIX w. Nie wysłano przeciwko Indianom żadnej armii państwowej, nie wyprawili się przeciwko nim żaden książę krwi, chociaż w tym samym czasie królowie Portugalii i księżęta domu austriackiego, krewni Karola V, lądowali w Oranie i walczyli z Turkami i Maurami, od Maroka po Budapeszt. Podbój Nowego Świata objawił jego istnienie, ale w chwili gdy walkę podjęto, nie wydawała się ona monarchii hiszpańskiej problemem żywotnym — w przeciwieństwie np. do niebezpieczeństwa tureckiego. Cytowaliśmy już Gomarę, który przypisywał temu zdarzeniu wyjątkową doniosłość, ale jego celem było przede wszystkim przekonanie o tym Karola V. Podbój był dziełem ludzi bez znaczenia, którzy wybili się dzięki zwycięstwu, ale właśnie ich wywyższenie wywołało sprzeciw wśród grandezzy Półwyspu. Monarchia skąpo obdzielała Zdobywców tytułami szlacheckimi — niewielu można wśród nich naliczyć hrabiów i markizów, i względnie mało kawalerów. Tytuły zdobyte w Ameryce traktowano z równą nieufnością, co czyny, za które miały być nagrodą. W Hiszpanii powstała dziwna mieszanina ludowego entuzjazmu (Kolumb, a potem Cortés, wróciwszy z Nowego Świata doznali triumfalnego przyjęcia) i oficjalnej nieufności, która szybko zajęła miejsce początkowego uniesienia (świadczy o tym proces przeciwko Kolumbowi, usunięcie Cortesa

z zajmowanego stanowiska, wojna przeciwko Gonzalowi Pizarro). Podboju dokonali awanturnicy albo szukający przygód ludzie niskiego pochodzenia (*el brazo popular*) pod wodzą drobnej szlachty (*hidalgos* i *caballeros*), toteż Korona traktowała ich jak ubogich krewnych. Wysiłki państwa zmierzały przede wszystkim do unormowania stosunków prawnych i raczej miały zwalczać nadużycia niż zachęcać Zdobywców do działania, czy też stanowić jakąś pomoc. Dla nas, którzy nieraz już widzieliśmy, jak całe zbrojne narody lub przynajmniej cała ich młodzież występowała na widownię wojny kolonialnej, jest rzeczą zadziwiającą, że Zdobywcy z Chile — kiedy Araukanie wygnali ich z połowy kraju — musieli przez dziesiątki lat ponawiać petycje zanim otrzymali wyłącznie finansową pomoc na cele wojny, którą prowadzili własnymi siłami i własnym kosztem.

Podbój, a raczej podboje były bowiem wyprawami prywatnymi. Z punktu widzenia ekonomicznego — a był to



Ryc. 9. Jeden z portów, skąd wyruszano do Indii: San Lúcar de Barrameda

punkt zasadniczy — wyprawy opierały się na umowie pomiędzy kapitanem (tzn. *hidalgiem*) i kupcami albo bankierami (czy też często, *armatorem*). Wykładali oni potrzebne kapitały albo dostarczali statków, żywności, amunicji i tandetnych towarów na wymianę. Kapitan zobowiązywał się dzielić zdobyczą i łupem ze współnikami. Miał dowodzić wyprawą, a przedtem zwerbować ludzi. Załoga dzieliła się na dwie kategorie: tych, którzy mieli konie (*caballeros*) i resztę (*peones*), co w praktyce często oznaczało: na *hidalgów* i resztę. Posiadanie konia i broni palnej (był to ekwipunek nowy, rzadki i kosztowny) z góry już zapewniało ich właścicielowi znaczną przewagę. Koń (nie znany w Nowym Świecie) nagle doszedł do bardzo wysokiej ceny. Monarchia przyczyniła się wprawdzie do zorganizowania wyprawy Kolumba, ale był to precedens bez żadnych następstw. Kiedy podboje już się zaczęły, łup poprzednich wypraw pozwalał pokrywać koszty następnych. We wszystkich wypadkach ryzyko materialne ponosili jedynie ludzie prywatni. Monarchia w tej dziedzinie występowała tylko jako strona biorąca; każdej wyprawie towarzyszył kontroler finansów (*contador*), obowiązany czuwać nad królewską „piątą częścią” (*el quinto del rey*), tzn. piątą częścią łupu, wpływającą do królewskiego skarbcza. Ta instytucja fiskalna przetrwała okres podboju; właśnie ową piątą część złota wytapianego w kolonii i piątą część haraczu składanego przez Indian na ręce ich *encomenderos* przywoziły słynne galeony raz w roku z Indii do Sewilli. Jeszcze dziś istnieje w tym mieście Złota Wieża, gdzie przechowywano daniny Nowego Świata.

Naturalną konsekwencją tej feudalnej organizacji podbojów w Nowym Świecie była wielka swoboda działania, a potem administrowania, jaką cieszyli się Zdobywcy. Podobnie jak Cyd wywalczył sobie Walencję na Maurach, tak oni wykrawywali sobie lenna wśród pogan amerykańskich. Oczekiwali od władcy i seniora nie pomocy, lecz prawnego uznania swoich posiadłości, a w jeszcze większym stopniu ich heraldycznego zatwierdzenia. Ale Hernán Cortés mianowany Marques del Valle (markizem Doliny Oaxaca, jednej z najbogatszych w Meksyku) po-

został wyjątkiem. Gómara, który pod wieloma względami był rzecznikiem roszczeń Zdobywców, napisał, że „podboje w kraju Indian zaczęły się, gdy skończyły się podboje w kraju Maurów, tak że Hiszpanie bez ustanku walczyli przeciwko niewiernym”. Ten apel do Opatrzności jest również apelem do Karola V, aby przyznał Zdobywcom te same przywileje, z jakich korzystali ich przodkowie, którzy zawojowali Półwysep. Analogię sytuacji podkreślano jedynie w celu uzyskania łask (*mercedes*) udzielanych zwykle zdobywcom przez Koronę: *encomienda* (nadanie) ziemi i odpowiedniego do zasług tytułu szlacheckiego. Tą właśnie tradycją można wytłumaczyć liczne indywidualne raporty o epizodach podboju, będące niejako przypomnieniem stanu służby Zdobywców, którzy czekali na order Świętego Jakuba (rodzaj francuskiej Legii Honorowej, ale połączony z dość wysoką pensją) w zamian za ryzyko, na jakie się narażali. Czasem jest to prośba o odszkodowanie w postaci zyskownego i zaszczytnego urzędu, który wyrównałby koszty poniesione przez Zdobywcę w celu zyskania ziemi dla króla. Cortés nie obawia się pod koniec swojej meksykańskiej kariery napisać do Karola V: „Za moje służby, Wasz Katolicki Majestat winien przyznać mi liczne i znaczne łaski, i to nie myśląc o odrobinie, jaką mój puchar może pomieścić, ale mając na uwadze jedynie to, co od Waszej Królewskiej Mości należy się człowiekowi, który służył Jej tak dobrze i tak wiernie, jak ja służyłem”. Gómara, który był kapełanem Cortesa, pisząc swoją *Historia General*, dał syntezę poszczególnych relacji, skutkiem czego dzieło przedstawia się jako jeden długi panegiryk na cześć Zdobywców.

Orientujemy się więc, jaka była atmosfera polityczna podbojów. Na nieszczęście dla Zdobywców — którzy wyruszyli na podbój Nowego Świata, aby zyskać tam wyższą pozycję dzięki bogactwom i zaszczytom (według formuły Cyda, *honra y provecho*, zaszczyt i zysk), jakimi walka z Maurami obdarzyła starsze od nich pokolenie, ale jakich kres rekonkwisty, z chwilą zdobycia Grenady w 1492 r., nie pozwalał im już oczekiwać w samej Hiszpanii — ich nadzieje na sukcesy amerykańskie rozwiały się bardzo wcześnie. Stałe naprężenie pomiędzy Zdobyw-



Ryc. 10. *Honra y provecho* (Honor i zysk)

cam i dworem od początku zgubnie wpływać będzie na atmosferę podboju. W rezultacie dokonało go, jako swego ostatniego wielkiego czynu, rycerstwo i drobna szlachta ożywiona duchem demokratycznym, co wyraża dumne powiedzenie: „Poza królem, nikt”. Ludzie ci, jak widzieliśmy, nie wahają się energicznie wzywać króla, aby wypełnił swoje zobowiązania. Otóż Karol I hiszpański, który wkrótce miał zostać Karolem V w wyniku elekcji na cesarza, nie mógł zapomnieć, że na Półwyspie powitał go bunt szlachty kastylskiej; nazwano to wojną *Comuneros* (Komun — można by powiedzieć, ale w duchu *Frondy*, a nie *Komuny Paryskiej*). Karol V rozgromił *Comunidades* w Kastylii, ale wciąż pragnął narzucić swoją absolutną władzę szlachcie, ujarzmić arystokrację i ograniczyć przywileje drobnej szlachty. Toteż nie bez obawy patrzył na powstające za morzami nowe lenna — na mocy faktu, jeżeli nie prawa — rządzone przez seniorów świeżej daty tym bardziej zazdrosnych o swoją niezależność, że czuli

się twórcami tego kraju. Na przykład, Cortés w Vera Cruz kazał swoim ludziom, grającym w tym wypadku rolę ławników, aby głosowali za nim, bo chciał postawić monarchię przed faktem dokonanym i chęć się tymczasową legalnością. Zobaczmy później, ale jeszcze przed 1550 r., jak Gonzalo Pizarro zabiega, aby uznano go królem Peru i zachowuje się jak władca przywłaszczając sobie przywilej istotnie królewski: nadawanie ziemi i tytułów. Ameryka stała się ucieczką feudałów starej daty, ostatnią widownią czynów dawnego rycerstwa. Nie wiadomo, czy w *Don Kiszocie* więcej jest tęsknoty niż ironii: Cervantes należał do drobnej szlachty rycerskiej i wprawdzie nie odbył kampanii w Indiach, ale został raniony pod Lepanto i na próżno upominał się o nagrodę za służbę. W owym czasie władza królewska umacnia się w całej Europie objawiając dążenie centralistyczne, i łamie opór szlachty, dotąd wszechwładnej. Podbój Ameryki był z punktu widzenia drobnej szlachty hiszpańskiej próbą odbudowy społeczeństwa feudalnego obumierającego na Półwyspie; w Ameryce rozegrała się ostatnia wielka bitwa pomiędzy monarchią a szlachtą. Bronią monarchii było rozdawanie łask (ziemi i tytułów), lojalność większości Zdobywców cofających się przed odstępstwem, poparcie moralne arystokracji hiszpańskiej, która nie uczestniczyła w wyprawie amerykańskiej ani w jej dobrodziejstwach oraz znacznej części kleru Indii (na mocy patronatu, przyznanego monarchii hiszpańskiej nad Kościołem Nowego Świata w 1508 r. przez papieża Juliusza II), a wreszcie działalność urzędników (*licenciados*), których od początku wysyłano w wielkiej liczbie.

Historia XVI w. pełna jest oskarżeń, z jakimi Zdobywcy występują przeciwko niesprawiedliwości królewskiej. Czyż nie zyskali ogromnych obszarów i nie uczynili Karola V „królem Indii i Nowego Świata”, władcą państwa, w którym słońce nigdy nie zachodzi? Czyż nie rozszerzyli świata katolickiego, nie zdobyli dusz dla Boga, a dziesięcin dla Kościoła? Oni to przecież zasilili skarbiec królewski złotem indyjskim i w ten sposób dostarczyli środków na wojny przeciwko Turkom oraz protestanckim książętom niemieckim. A zatem tytuł barona lub hrabiego

byłby słuszną zapłatą; tymczasem monarchia, nie odmawiając otwarcie, prawie nigdy nie udzielała takich łask. Król, nie chcąc pozostawić Zdobywców panami Nowego Świata, wysyłał komisje śledcze (zw. Audiencjami), wicekrólów, sędziów i kontrolerów wszelkiego rodzaju, ażeby ograniczyć ich swobodę działania i odebrać im rządy. Cortés zdobył Meksyk w 1521 r. i zanim jeszcze zdążył utrwalić swoją władzę nad całym krajem, został jej pozbawiony w 1528 r. przez pierwszą komisję śledczą, która wsławiła się swoimi karygodnymi postępками. Trudno więc twierdzić, że wicekrólowie i urzędnicy przybywali, aby na miejsce prawa wojennego wprowadzić sądy cywilne, zapewnić praworządność, gdyż zbyt często zjawiali się tylko po to, aby upomnieć się o swoją część zdobyczy. Wystarczy przeczytać choćby dzieła Las Casasa, aby dowiedzieć się, że członkowie Królewskiej Rady Indyjskiej za pośrednictwem ludzi podstawionych, którzy często byli urzędnikami Korony, również byli właścicielami Indian. Chcąc krótko ująć stosunek Zdobywców do państwa hiszpańskiego, trzeba stwierdzić, że oni ponosili całe ryzyko (w tym również ryzyko oficjalnej niełaski), państwo zaś odnosiło same tylko korzyści.

Ale nie zapominajmy, że to twarde prawo pozostawało w zgodzie ze średniowieczną tradycją hiszpańską. W ówczesnej Hiszpanii, gdzie pieniądza było niewiele, problem finansowania miał stanowić poważną przeszkodę w organizowaniu wypraw odkrywczych i podboju Nowego Świata. Kolumb wypraszał kolejno u różnych władców europejskich okręty i odpowiednie zaopatrzenie, stanowi przykład, jak ówcześni ludzie obdarzeni przedsiębiorczym duchem zebrać musieli u posiadaczy kapitałów. Ci ostatni bowiem nie byli bardziej skorzy do narażania się na ryzyko niż ich dzisiejsi spadkobiercy; a wiadomo, jak niebezpieczna była nawigacja pod koniec XV i na początku XVI w. Trudno zliczyć ówczesne katastrofy morskie; w ówczesnej literaturze roi się od opisów niedoli kupców zrujnowanych na skutek zatonięcia jednego lub wielu okrętów załadowanych tkaninami czy też korzeniami. Ubezpieczenia morskie nie istniały jeszcze. Kapitały można było zainwestować w handel morski jedynie za po-

średnictwem armatorów, którzy dostarczali flotę i w ten sposób ponosili część ryzyka. Czasem w sfinansowaniu pierwszych wypraw do Nowego Świata brali udział również bankierzy; zdarzało się nieraz, że byli to bankierzy i armatorzy w jednej osobie, Genueńczycy i Wenecjanie lub Niemcy z miast hanzeatyckich, jak Welserowie, którym Karol V oddał na pewien czas w dzierżawę kolonizację Wenezueli. Rządziej angażują swoje kapitały w ekspedycje do Indii wielcy obszarnicy hiszpańscy, np. Mendozowie, przeważnie jednak niedostatek gotówki i brak zaufania do przedsięwzięć morskich odstręczały szlachtę kastylską. Warto zauważyć natomiast, że w Katalonii-Aragonii były stare tradycje morskie — przynajmniej na Morzu Śródziemnym, gdzie oczywiście warunki nawigacji były odmienne.

Zarzucenie galery — z wyjątkiem służby przybrzeżnej — na rzecz żaglowców, jak karawela, galeon i nieduże, mało wywrotne statki holenderskie, które pozwalały załadować więcej żywności i wymagały wiosła tylko w wyjątkowych przypadkach, odegrało decydującą rolę w wyprawach transoceanicznych. Główną wadą żegluga z żaglem była zależność od wiatru; dostać się w ciszę morską (*estar en una calma*) znaczyło w języku tej epoki wpaść w nie lada tarapaty: cisza morska stawała się klęską! Toteż marynarze Kolumba bojąc się, że zgubi ich cisza morska, chcieli go zmusić do zawrócenia z drogi, a gdy stawiał opór, o mało nie wrzucili go w morze. Słynny okrzyk: „Ziemia!”, który niejako stworzył Nowy Świat, wyrażał nie radość z odkrycia, lecz nadzieję zdobycia żywności. Wynalezienie busoli i astrolabium (kątnicy), dzięki którym żeglarze mogli obliczać swoje położenie i trzymać się właściwego kierunku nawet podczas niepogody, umożliwiała odbywanie dalekich kursów. Po pierwszych wyprawach Kolumba znano już kierunki wiatrów na Atlantyku; od Wysp Kanaryjskich dążąc ku południowi, statki szukały wiatrów wschodnich, dzięki którym można się było bezpiecznie dostać na Antyle. W drodze powrotnej żegluga była łatwiejsza i szybsza na wysokości brzegów Florydy. Kartografia korzystała z wielkich nawigacji i przygotowywała teren dla następnych:

wydana w Sewilli przez Pedra de Medinę *Arte de navegar* stała się w końcu stulecia pozycją klasyczną w tym rodzaju, możemy zacytować również inne dzieła, np. książkę Martina Cortesa *Breve compendio de la esfera y del arte de navegar*, wydaną w Sewilli w 1556 r. W dalszych częściach będziemy mieli okazję do omówienia roli tego andaluzyjskiego miasta w podbojach i kolonizacji hiszpańskiej w Ameryce. Traktaty żeglarskie i atlasy, np. atlas opublikowany przez Abrahama Orteliusa w Antwerpii w 1570 r., zarejestrowały wyniki wielkich wypraw morskich żeglarzy genueńskich, normandzkich, andaluzyjskich. Zwłaszcza Portugalczycy utorowali drogę wielkim odkryciom; sprawiły to wyprawy Henryka Żeglarza na Gwineę i dokonane przez Bartholomea Diaza odkrycie Przylądka Dobrej Nadziei w 1487 r., tzn. na pięć lat przed pierwszą wyprawą Kolumba na zachód. Pozostając w służbie Hiszpanii, Portugalczyk Magellan odkryje w 1520 r. cieśninę, która nosi jego imię; jeden statek wysłał tam również biskup z Piacenzy. Unia polityczna Hiszpanii i Portugalii w latach 1580—1640 w pełni upoważnia, by mówić o kolonizacji hiszpańskiej, ale inaczej przedstawiała się ta sprawa w decydujących latach podboju. W 1500 r. Alvarez Cabral odkrył Brazylię dla monarchii portugalskiej, chociaż od paru lat podział odkrywanych terytoriów pomiędzy Hiszpanią i Portugalią był regulowany bullami papieża Aleksandra VI (1493 r.) i układem w Tordesillas (1494 r.). Niemniej wschodni brzeg Rio de la Plata (aż do XIX w.!) często bywał przedmiotem sporów pomiędzy Hiszpanami a Portugalczykami, a potem pomiędzy Brazylią a Argentyną, zanim stał się Urugwajem. Te narodowe rywalizacje kompensowano sobie na innej płaszczyźnie, a mianowicie dzięki kosmopolityzmowi wypraw. Kolumb, którego pochodzenie wciąż jeszcze jest sprawą sporną, Sebastián Cabot i Vespucci wyruszali w podróż na rzecz każdego, kto im chciał w tym pomóc. Marynarze i piloci, często narodowości hiszpańskiej, jak Pinzonowie z Palos albo słynny Miruelo, zwracali się z wezwaniem również do innych żeglarzy europejskich. Biegli rzemieślnicy, umiejący np. uszczelniać kadłub statku, najczęściej rekrutowali się spośród Greków (pod

określeniem tym należy rozumieć także Maltańczyków i mieszkańców Bliskiego Wschodu).

Wielu spośród marynarzy ze statków, które krążyły pomiędzy Starym a Nowym Światem, zostało Zdobywcami; a raczej należy powiedzieć, że załogi składały się głównie ze Zdobywców, chwilowo zamienionych w marynarzy; otaczała ich garść prawdziwych ludzi morza: pilotów, sterników, specjalistów żeglugi przybrzeżnej na mieliżnach. Pilot odgrywał ważniejszą rolę niż dzisiaj, był mianowicie oficerem nawigacyjnym, którego właściciel statku darzył pełnym zaufaniem. Za wyprawę odpowiadał kapitan, za nawigację zaś — pilot, i stąd jego ważna rola w wyprawach, które z reguły rozpoczynały się od nawigacji (naprzód transoceanicznej, później na morzu koło Antylów, gdzie często zdarzają się huragany). Doświadczenie wykazało, że nawet wielkie ekspedycje mogły szybko skończyć się katastrofą, jeżeli pilot popełnił omyłkę, i to nie tylko podczas burzy, ale także gdy źle obrał punkt lądowania.

Nawet gdy, począwszy od 1519 r., podboje stały się, przynajmniej na pozór, wyłącznie kontynentalne, nawigacja zachowała swoje wielkie znaczenie. W górzystym kraju o głębokich wąwozach, o różnorodnej rzeźbie, wielkość dostaw żywności i posiłki wojskowe musiano kierować na drogę morską. Morze było więzią pomiędzy Zdobywcami zabłąkanymi na olbrzymim i niegościnnym kontynencie a Hiszpanią; ono było ich prawdziwym zapleczem. Legenda o Cortesie palącym swoje statki znakomicie charakteryzuje tę sytuację. Gorączkowe szukanie cieśnin, które łączyłyby Ocean z Morzem Południowym (Pacyfikiem) przez Rzekę Św. Wawrzyńca, Przesmyk Panamski, albo też pomiędzy Patagonią a Ziemią Ognistą, miało na celu nie tylko przedostanie się na Daleki Wschód, ale także, w coraz większej mierze, przewóz bez przeładunku cennych metali z Peru. Przesmyk Panamski, w którym zamierzano przekopać kanał, z chwilą gdy stwierdzono, że nie ma w nim żadnych szczelin, nabrał wówczas wielkiego znaczenia, o czym świadczyć miały później usiłowania Gonzala Pizarro, który po buncie peruwiańskim w 1544 r. chciał zapewnić sobie nad nim kontrolę. Pań-

stwo hiszpańskie było rodzajem ogromnego archipelagu, w którym nawet obszary kontynentalne uważane były za wyspy, tak było w wypadku Chile i Paragwaju. Wszystkie terytoria amerykańskie w dziedzinie zaopatrzenia, posiłków zbrojnych i administracji zależały od ogromnej instytucji (*Casa de Contratación*) mającej siedzibę w Sewilli; podlegała ona królowi i Królewskiej Radzie Indyjskiej. Ponieważ król i otaczający go ludzie wędrowali z miejsca na miejsce i mieli mnóstwo nie cierpiących zwłoki spraw w Europie, *Casa de Contratación* była jedyną instytucją stałą i wszechmocną, która administrowała Nowym Światem, kontrolowała powrót i wyruszanie flot, organizowała emigrację, zawieszala ludzi w ich funkcjach i cofała zarządzenia. Obowiązkowym postojem w drodze pomiędzy Hiszpanią a Indiami Zachodnimi były Wyspy Kanaryjskie, których podbój i kolonizacja stała się precedensem; one stanowiły punkt wyjścia, gdy przyszła kolej na Amerykę. Po osiedleniu się Hiszpanów na Filipinach w 1564 r., wytworzy się oś ekonomiczna i strategiczna: Manila—Panama—Hawana—Palma—Sewilla. „Droga korzeni” stoi wreszcie otworem, ale złoto i srebro z Nowego Świata pozbawiły ją w znacznej mierze pierwotnego znaczenia. Przede wszystkim bowiem ważna staje się droga złota peruwiańskiego, jej rozwidlenie w kierunku Callao. Drogę złota tarasuje Przesmyk Panamski, który na północy przebywają karawany wyruszające z Acapulco (port ten podupadł po przekopaniu Przesmyku, dopiero dużo później został odkryty przez turystów).

W okresie podboju odkrywcy podróżowali na małych, pięćdziesięciotonowych żaglowcach, karawelach, ale później, gdy komunikacja morska miała służyć przede wszystkim transportowi towarowemu — zwierzęta, broń, narzędzia, ziarno siewne itd. do Ameryki, a cenne metale do Hiszpanii — zastąpiono je słynnymi galeonami, które były znacznie cięższe i z których największe osiągały sześćset ton (w XVIII w. dojdą do dwóch tysięcy ton). Już w pierwszych wyprawach widzimy pilota rodem z Gór Kantabryjskich, Juana de la Cosa, na pokładzie wielkiego brzuchatego statku (*nao*) „Santa María” z pierw-

szej wyprawy Kolumba. Juan de la Cosa, nim został *piloto mayor* na usługach *Casa de Contratación* w Sewilli, żeglował z florentyńczykiem Amerigo Vespuccim, z Alonssem de Ojedą, dając świadectwo, że marynarkę kastylską reprezentuje przede wszystkim Montana de Santander, co zresztą jest zrozumiałe. Tradycja marynarki kantabryjskiej ważniejsza jest dla Hiszpanii niż aragońsko-katalońska, ściśle śródziemnomorska. Mimo że monopol na utrzymywanie stosunków z Nowym Światem przyznany został Sewilli, Kadyks, Moguer, Laredo, Santander i Bilbao w znacznej mierze, dzięki swoim marynarzom i statkom, przyczyniły się do odkryć i wypraw zdobywczych. Dodajmy, co również potwierdza ważną rolę ówczesnej marynarki, że małe szybkie żaglowce, brygantyny, transportowano, rozłożone na części, przez Andy i montowano na wielkich jeziorach nizinnych. Cortés zaatakował odizolowane na lagunie Mexico przy pomocy brygantyn, które na swoich plecach przetransportowali ludzie.

Dwojaki, lądowo-morski charakter odkryć i podbojów w Nowym Świecie stanowi jedną z ich cech zasadniczych; nawet na kontynencie, wobec istnienia takich rzek, jak Missisipi, Orinoko, Magdalena, Amazonka, Panuco, Parana itd., a także jezior, jak Titicaca, Zdobywcy musieli parać się żegluga, w przeciwnym bowiem razie groziła im zguba. Improwizowanie małych doków okrętowych, aby zastąpić statki zatopione przez burzę, było zwykłą rzeczą dla tych ludzi otrząskanych z morzem i biegłych w takich rzemiosłach, jak ciesielstwo i rusznikarstwo. Nie jest rzeczą przypadku, że jeden z najwybitniejszych odkrywców Ameryki, Alvar Núñez Cabeza de Vaca, nazwał opowieść o swoich przygodach, poczynawszy od wyprawy na Florydę, której wodzem był Pánfilo de Narvaez, *Naufragios* (1542 r.). Często *entrada* (dosłownie: wtargnięcie) opóźniała się o parę miesięcy, bo czekano na poprawienie się pogody, ale pomimo takich ostrożności, pomiędzy Santiago de Cuba a Florydą zdarzyło się mnóstwo katastrof morskich. Alvar Núñez opowiada nam, jak pozostawiwszy towarzyszy na dwa dni zakotwiczonych w porcie Trinidad, znalazł szalupy wśród drzew, a marynarzy zmasakrowanych wzdłuż wybrzeża o dziesięć mil od portu. Podczas tej

jednej burzy zginęło sześćdziesięciu ludzi i dwadzieścia koni. Następnie wyginać mieli również pozostali, bądź w czasie następnych burz, bądź wymordowani przez Indian, z wyjątkiem czterech — w ich liczbie autora — którzy kolejno byli niewolnikami, kupcami i szamanami, aby wreszcie znaleźć się, w dziewięć lat później, w północnym Meksyku. Wyruszając z San Lucar de Barrameda (a nie z Sewilli) 17 czerwca 1527 r., gubernator Pánfilo de Narváez miał pod rozkazami pięć statków i ok. sześćuset ludzi. Na San Domingo opuszcza go stu pięćdziesięciu ludzi, znęconych obietnicami, jakie poczyniono im na miejscu. Pánfilo de Narváez kupuje mimo to jeszcze jeden statek. Następnie, w Santiago de Cuba, „uzupełnia załogę, broń i liczbę koni”. W następstwie strat, jakie wyrządziła mu burza w porcie Trinidad, kupuje brygantynę i wreszcie wyrusza na Florydę mając ze sobą czterystu ludzi i osiemdziesiąt koni, załadowanych na cztery statki i brygantynę. Również z Kuby zabiera pilota, który twierdzi, że zna doskonale wybrzeża Florydy i który nosi imię słynne w dziejach sztuki żeglarskiej; nazywa się Miruelo, jak jego stryj. Otóż pilot Miruelo znał południowe wybrzeże przyszłych Stanów Zjednoczonych z opowiadań stryja, a nie z opisów geograficznych; zapewniał, że doprowadzi wyprawę do zacisznego portu koło ujścia rzeki Panuco (w dzisiejszym Meksyku), który on sytuaował na wschód od delty Missisipi. Była to fatalna omyłka; niski i nie osłonięty brzeg zdawał statki na łaskę burz. Narváez opuścił San Lúcar de Barrameda 17 czerwca 1527 r., a dopiero 12 kwietnia następnego roku ujrzał brzegi Florydy, po długich miesiącach przybrzeżnej żeglugi wokół Antyli, która pozwoliła mu poczynić przygotowania i uzupełnić szeregi. Fakty te świadczą, że Hispaniola i Kuba odgrywały ważną rolę jako etap na drodze do Nowego Świata, gdyż można tam było kupić broń, konie, statki, zwerbować ludzi i zyskać względy władz. Ale w parę miesięcy z ekspedycji Narváeza nie zostało ani śladu.

Niepowodzenia prześladowające Narvaeza i jego tragiczny koniec są znamienne z wielu względów, nie tylko dlatego, że mamy o nich cenną relację, pochodzącą od jednego z czterech ocalonych uczestników wyprawy, który miał

odegrać ważną rolę w Ameryce Południowej. Większość wypraw zdobywczych bowiem znamy z licznych wprawdzie, lecz sprzecznych ze sobą źródeł lub też z opowiadań z drugiej ręki, spisanych na podstawie ustnych relacji, upiększonych przez kronikarzy. Za jedyne miarodajne świadectwo przygody Narvaeza na Florydzie uważa się (i słusznie) relację Alvara Nuñeza, który był „skarbnikiem i starszym alguazilem”, tzn. mniej więcej, intendentem i komisarzem policji. Dostarcza nam on, na samym początku swego opowiadania, wyjaśnień natury prawnej dotyczących małej floty Narvaeza. Narvaez był *adelantado* — gubernatorem kolonii. Miał „władzę i rozkaz Najjaśniejszego Pana (raport skierowany jest do cesarza Karola V), aby zdobył i rządził prowincjami położonymi między Rzeką Palm i przylądkiem Florydy; prowincje te leżą na lądzie stałym”. Dawno minęły czasy, kiedy Ich Katolickie Moście mianowały Kolumba „Admirałem Morza Oceanu i Gubernatorem wszystkich wysp już odkrytych i mogących być odkrytymi” na mocy kapitulacji zawartych w Santa Fé — w podobny sposób Don Kiszot będzie obiecywał kiedyś czarodziejską wyspę Sanszo Pansie. Ponieważ okazało się, że tych wysp jest bardzo dużo, że kontynent jest ogromny, a rywalizacja bezwzględna, główną troską monarchii stało się wkrótce mianowanie *adelantados* na obszarach jak najściślej ograniczonych, żeby uniknąć krwawych starć pomiędzy Hiszpanami, starć, od których roi się w historii podbojów.

Władza *adelantado*, jakkolwiek bardzo rozległa, nie była jednak nieograniczona. Alvar Núñez oprócz skarbnika i starszego alguazila miał przy sobie licznych „oficerów” (tzn. urzędników); byli to: Alonso Enríquez, *contador*, którego obowiązkiem było pobierać jedną piątą łupów i dochodów dla skarbcza królewskiego; Alonso de Solís, *factor* i *veedor* — inspektor finansów z ramienia Jego Królewskiej Mości. Widać z tego, jak wielką wagę przywiązywano do ekonomicznej strony wypraw, skoro aż trzech różnych ludzi piastują funkcję urzędników skarbowych przy *adelantado*. Oviedo pisał: „Ich Królewskie Moście nie angażują prawie nigdy swoich dóbr ani pieniędzy w te odkrycia, lecz jedynie papier stemplowy i łaskawe

słowa". W zakresie sądownictwa *adelantado* był wszechmocny, co tłumaczy surowość niektórych kar i okrucieństwo obrachunków między Zdobywcami — taką cenę płacono się za ducha jedności tych *entradas*. Drugim celem podbojów było nawracanie. Narvaezowi towarzyszył więc zakonnik-franciszkanin w charakterze „komisarza” (tzn. tymczasowego zwierzchnika duchowego); nazywał się Fray Juan Suarez i miał przy sobie jeszcze czterech franciszkanów. W chwili gdy należało powziąć ważną decyzję, czy opuścić statki przed zarzuceniem kotwicy na głębi, Narváez zwoływał swoich „oficerów”, aby zasięgnąć ich rady, i przyłączał się do większości, wbrew opinii Alvara Nuñeza. Wynikł też inny spór, który doprowadził do rozłamu wśród uczestników wyprawy: czy należy zapuścić się w głąb kraju w poszukiwaniu złota, czy też skolonizować obszar przybrzeżny i zająć się uprawą roli? W okresie tej wyprawy na Florydę oficjalnym hasłem było zaludnianie nowych obszarów; państwo popierało tę akcję, aby zahamować pęd naprzód (*descargar la tierra*), który przejawiał się wszędzie po trochu, a który zagrażał bezpieczeństwu nowo przybywających. W Chile np., rozprzestrzenienie się podbojów, rozproszenie się Valdivii i jego towarzyszy będzie trwałą przyczyną bezradności kolonii hiszpańskiej wobec powstań araukańskich. Trzeba pamiętać, że pomiędzy 1509 a 1558 r. zarejestrowano tylko dwadzieścia tysięcy pasażerów udających się do Indii Zachodnich; nawet gdybyśmy przyjęli, że wiele pasażerów i statków krążyło nieoficjalnie, rozproszenie Hiszpanów na ogromnych zdobytych przez nich terenach pozostanie dla nas oczywiste.

A zatem misją Narvaeza było kolonizowanie (*poblar*). Alvar Núñez nie opowiada nam szczegółowo o wszystkich kolonistach, ale wiemy już, kto stanowił trzon ekspedycji; sądząc z nazwisk, są to wyłącznie Hiszpanie. Ale nie są to Hiszpanie byle jacy! Pánfilo de Narvaez był podkomendnym Diego Velazqueza, gubernatora Kuby, ten zaś należał do klienteli Juana Rodrigueza Fonseca, który, wszechwładny za panowania Ferdynanda Katolickiego, odsunięty od rządów za regencji Cisnerosa, znowu powrócił do łask w początkach panowania Karola V. W chwili,

gdy Narváez wyrusza na Florydę, Lope de Conchillos, sekretarz królewski, wycofuje się, ale jego podwładny nazwiskiem Los Cobos zajmuje jego miejsce, tak że klan Fonseca dalej panuje w Indiach Zachodnich. O wyborze Narvaeza zadecydowała jego przynależność do grupy, która w miarę możliwości monopolizuje urzędy państwowe i dochody w Nowym Świecie. Powierzenie zarządu Florydy nie komu innemu, lecz właśnie Narvaezowi, jest aktem politycznym. Pobity sześć lat wcześniej w mało dla siebie zaszczytnych okolicznościach przez Cortesa, Narváez widział, jak jego osobisty wróg, Juan Velazquez de León, zdobył i zaludnił okolice Panuco. Mianowanie Narvaeza gubernatorem Florydy było afrontem dla Cortesa, wroga klanu Fonseca — i zarazem dawało Narvaezowi wspaniałą rekompensatę oraz sposobność do zemsty nad Cortesem. Narváez, równie chciwy i okrutny, jak pompatyczny był popędliwym i lichym politykiem. Jego nieludzkie postępowanie wobec pokojowo usposobionego kacyka Florydy, imieniem Hirrigua, stanie się przyczyną krwawej zemsty, jaką Indianie wywarli na następnej ekspedycji, pod wodzą Hernanda de Soto. W sumie, Narváez nie miał cech potrzebnych do skutecznego przeprowadzania tak trudnej akcji, ale cieszył się wysokimi protekcjami. Z tego względu jest on charakterystycznym przedstawicielem Zdobywców z regionu karaibskiego, których tak surowo napiętnowali Las Casas i Oviedo.

Alvar Núñez, który w hierarchii tej wyprawy zajmował drugie miejsce, pochodził z rodziny kolonizatorów. Był wnukiem Pedro de Very, jednego ze Zdobywców Wysp Kanaryjskich. Matka jego, Teresa Cabeza de Vaca, rodem zapewne ze stanu szlacheckiego, gdyż nazwisko jej poprzedza tytuł doña, pochodziła z Jerez de la Frontera (wiemy, jaki był udział andaluzyjskiej szlachty w eksploataowaniu Ameryki). Ocaliwszy się z klęski na Florydzie, Alvar Núñez został później z kolei mianowany gubernatorem Paragwaju. Był to zwykły *cursus honorum*; Zdobywca zaczynał karierę (jeżeli należał do rodziny dobrze widzianej u dworu) w Indiach jako podwładny któregoś *adelantado*, potem — gdy nabrał doświadczenia — mógł sam z kolei otrzymać odpowiedzialną misję dowód-

cy wyprawy. W przeciwieństwie do Narváeza, Alvar Núñez, gdy został później gubernatorem Paragwaju, umiał wyciągnąć naukę ze swoich doświadczeń amerykańskich.

Inni urzędnicy są nam znani tylko z nazwiska: zauważmy, że z wyjątkiem Alonsa de Solís nie należeli do stanu szlacheckiego. Alvar Núñez wymienia „niejakiego kapitana Pantoja”. Wśród franciszkanów był Fray Juan de Palos, ale owo „de” jest wskazówką, skąd pochodził, a nie partykułą szlachecką. Kapitanowie Dorantes, Peñalosa i Téllez również nie zaliczali się do szlachty. Widzimy, że procent szlachty wśród emigrantów był względnie niski. Alvar Núñez wymienia jeszcze czterech towarzyszy, doskonałych żeglarzy, są to: Portugalczyk Alvaro Fernández, cieśla i marynarz; Mendez; Figueroa rodem z Toledo; Astudillo, rodem z Zafra. Te nazwy geograficzne przekonują nas, że reprezentowane tu były różne prowincje Hiszpanii, co zdaje się potwierdzać lista dwunastu towarzyszy, którzy wyruszyli z Alvarem Nuñezem z wyspy Malhado: Alonso del Castillo, Andrés i Diego Dorantes, Valdivieso, Estrada, Tostado, Chaves, Gutierres — Asturyjczyk — Benítez, Diego de Huelva, a wreszcie Estebanico, „negr”, który był jednym z czterech ocalałych; Alvar powiada, że był to *un negro alarabe*, tzn. Marokańczyk, rodem z Azemmour. Nie był on jedynym nie-Hiszpanem, gdyż w innym miejscu Alvar wspomina o „chrześcijaninie greckim, którego zwano Doroteo Teodoro”, o którym wyżej powiedział, że przygotował smołę do zatykania dziur w kadłubie statków, a skądinąd wiadomo, że specjalistami fabrykacji prochu i smoły byli najczęściej ludzie z Bliskiego Wschodu. Z tych wszystkich względów wyprawa Narvaeza wiele nam mówi o *entradas* Podboju. Równie charakterystyczna jest nieobecność kobiet hiszpańskich. Społeczność zdobywców jest niemal wyłącznie męska; w latach 1509—1533 zanotowano tylko czterysta siedemdziesiąt przejazdów kobiet hiszpańskich do Indii (w tym sto siedemdziesiąt sześć wdów lub panien), czyli średnio ok. dwadzieścia rocznie, w okresie, gdy liczba Zdobywców była najwyższa.

Formalizm prawny, jaki towarzyszył obejmowaniu w posiadanie Florydy przez Narvaeza, objaśnia nas

a *contrario* o nielegalności wielu *entradas*, które często były po prostu konsekwencją zdrady kapitana wyprawy. Narvaez wylądował w zatoce Tampa w Wielki Piątek, a na drugi dzień kazał zatknąć sztandary w imieniu króla, objął kraj w posiadanie, przedstawił dokumenty urzędnikom królewskim i został uznany gubernatorem zgodnie z rozkazami monarchy. Z kolei urzędnicy królewscy przedstawili swoje uprawnienia i gubernator zastosował się do zawartych tam instrukcji. Tak więc, zarząd Florydy — która nie była jeszcze zdobyta ani nawet bliska tego! — utworzony został przy równowadze sił. Ale Narvaezowi brakowało najważniejszego pomocnika, tłumacza, a rola tłumaczy mogła być w *entradas* decydująca, z chwilą bowiem gdy wyprawa znalazła się na lądzie, obejmowali oni jak gdyby funkcję jej pilota. Trzeba więc było podstępem porwać napotykanym Indian i posługiwać się tymi przymusowymi przewodnikami, co oczywiście było bardzo ryzykowne. Florydę zresztą uważano, i słusznie, za jedną z najbardziej niegościnnnych krain. Od chwili gdy odkrył ją w 1512 r. Juan Ponce de León, nieraz nawiedzali ją odkrywcy: Francisco Hernandez de Córdoba



Ryc. 11. Mieszkańcy Florydy śpieszą na przywitanie

..., potem w 1521 r. znowu Ponce de León, kiedy
...wał osadzić tam kolonistów, ale musiał się wy-
... w tragicznych okolicznościach. W 1518 r. Francisco
Garay również zmuszony był opuścić ten ląd wobec
wrogiej postawy Indian. W latach 1539—1542 dotarł tam
Hernando de Soto i zginął przebywając Missisipi. Inka
Garcilaso opowiada w swojej historii, że poległo tam
ponad czterystu chrześcijan (Hiszpanów) — a jest to
liczba wysoka, gdy zestawimy ją z ogólnym stanem ilo-
ściowym wypraw. Nie wszystkie podboje były tak mor-
dercze, jak na Florydzie, ale czasem znowu wojna do-
mowa pomiędzy wczorajszymi Zdobywcami pociągała za
sobą liczne ofiary, jak się to zdarzyło w Paragwaju, gdzie
ścierały się z sobą partie Irali i Alvaro Nuñeza. Najdra-
matyczniejszym przykładem zamieszek wewnętrznych
w Nowym Świecie jest bunt Gonzalo Pizarro w Peru,
w 1547 r. Jednocześnie stanowi on najsakrajniejszą reakcję
społeczeństwa zdobywców na to, co uważało ono za ty-
ranie i niewdzięczność władzy królewskiej. Cieza de León
i Rodrigo Lozano żywo odmalowali nam tego Zdobywcę,
który chciał zostać królem Peru, aby nie podlegać Pra-
wom Indii; prawa te bowiem, chroniąc Indian, utrudniały
handel niewolnikami i używanie ich do przymusowej
pracy w kopalniach złota w Potosi (w dzisiejszej Boliwii),
które już wcześniej stały się powodem zatargu pomiędzy
Francisco Pizarro i Almagro. Rozumiemy — w tej sytua-
cji — wysiłki monarchii, chcącej z góry narzucić podbo-
jom ramy prawne, a także jej nieufność, jaką musiał
przewyciężyć Cortés, zanim, po fakcie, uznano sukcesy
jego buntowniczej wyprawy do Meksyku i potwierdzono
mu jego samozwańczą władzę.

Jaką rolę w tej niespokojnej atmosferze odgrywać
mogli zakonni misjonarze? Należy tutaj wprowadzić roz-
różnienia, do jakich zachęcają nas sami Zdobywcy. Gon-
zalo Pizarro, zbuntowany przeciwko władzy królewskiej,
chce na swoim obszarze tolerować tylko mercedariuszy.
Dominikanie natomiast, w 1511 r. z Fray Antonio de Mon-
tesinos, a wkrótce zwłaszcza z Fray Bartolomé de Las
Casas na czele, występują przeciwko niewolnictwu Indian,
a nawet nie wahają się rzucić ekskomuniki na tych, któ-

rzy uczynili się właścicielami niewolników. Nieprawne lub faktyczne było podstawą społeczeństwa białych; w 1545 r. ponad jedną trzecią imigrantów hiszpańskich stanowili *encomenderos* (tzn. posiadacze oddanych im w opiekę), przeważnie eks-Zdobywców. Ich stanowisko zakonów żebrających wobec pracy i deportacji Indian miało stać się źródłem napięcia wśród społeczeństwa Zdobywców. W rzeczywistości między celem ekonomicznym podboju — szukanie cennych metali a celem demoralizacji Indian. Sprawę komplikowały prawne zabiegi monarchii, gorliwość urzędników w stosowaniu przepisów albo, co zdarzało się częściej, łagodzeniu ich na korzyść spółki, w której sami uczestniczyli przy podziale zysków. Spór pomiędzy Fray Juanem de Zumárragą, biskupem Meksyku i opiekunem Indian a „audiencją”, która uniemożliwiała mu wypełnianie jego obowiązków, jest niewątpliwie jednym z najdrastyczniejszych stadiów tej endemicznej choroby. Innym przykładem jest Las Casas, zmuszony do opuszczenia swojej diecezji w Chiapa, gdy odmówił rozgrzeszenia wszystkim *encomenderos*. Biorąc ogólnie, kler w Indiach wykazał w okresie pierwszych dziesięcioleci wielką surowość moralną (w przeciwieństwie do swojej późniejszej demoralizacji). Las Casas, który przybył na Hiszpanię w orszaku gubernatora Nicolasa de Ovando — bratanka jednego z pierwszych odkrywców, opowiada nam jak zaczął się ów dramat. Wbrew wyraźnym instrukcjom królowej Izabeli, która uznała Indian za wolnych, Ovando przystąpił do pierwszego rozdziału (*repartimiento*) Indian pomiędzy kolonistów (*vecinos*) na wyspie. Ta sprzeczna z prawem praktyka rozszerzyła się następnie na Puerto Rico, Jamajkę i Kubę, a wreszcie na cały kontynent. W ten sposób Antyle zostały w ciągu paru dziesiątków lat niemal doszczętnie wyludnione z Indian i właśnie aby zastąpić ginącą tubylczą siłę roboczą, postanowiono przemocą sprowadzać niewolników z Gwinei. Las Casas, wówczas zwyczajny ksiądz, towarzyszył wyprawie Panfila de Narvaeza do prowincji Camagüey, w charakterze jak gdyby kapelana wojskowego; okrucieństwo Narvaeza (który wtedy sta-



Ryc. 12. Kolonizacja (Lienzo de Tlaxcala)

wiał pierwsze kroki) tak go oburzyło, iż postanowił odtańd poświęcić się obronie Indian.

Fakty te świadczą, że głęboka jedność podboju wypływała z jego szybkości i małej liczby pierwszoplanowych jej aktorów, którzy zaprawiają się do walki na Antylach, a następnie przenoszą się na kontynent. Wszyscy znają się pomiędzy sobą, wiedzą, co o sobie myśleć, i zazwyczaj się nienawidzą. Zdobywcy stanowią środowisko otwarte dla przybyszów, ale ofiarowują im tylko stanowiska podrzędne. Przypominają oni wielką rodzinę, którą dzielą spreczne interesy, ale łączy ją zamięłowanie do przygód, wspólne ambicje i wiara, jak to mieliśmy już nieraz sposobność wykazać. Wielcy wodzowie bez wyjątku należeli do środowiska kolonialnego, bądź z pochodzenia, bądź, i to częściej, z wychowania, i mieli wspólną etykę — etykę pierwszych kolonizatorów, jakich wydała Europa w czasach nowożytnych. Okazuje się, że historia, która nie powtarza się nigdy, zna jednak pewne niewzruszone zasady, bowiem urzędowe instrukcje Filipa II zalecały, aby wyrazy „podbój” i „zdobywcy” zastąpić słowami „pa-



Ryc. 13. Pacyfikacja (*Codex Azcatitlan*)

cyfikacja" i „osadnicy” (*pobladores*), co miało nadać podbojom oblicze bardziej zgodne z wysuwaną na pierwszy plan misją nawracania. Była to już tylko ostatnia faza usiłowań władzy monarchicznej, aby zorganizować podboje w duchu prawa i religii: zmieniać słowa, zamiast ludzi, wydawało się ostatnią ucieczką.

W świecie, w którym podstawą praw była religia, jedynym tytułem Hiszpanów do rządzenia Indiani Zachodnimi były cztery bulle Aleksandra VI wydane w 1493 r. Ogólnie mówiąc, monarchia hiszpańska otrzymała misję nawracania Indian, a w konsekwencji — prawo stosowania wszystkich środków militarnych i politycznych, które ułatwiłyby to zadanie. Tytułem rekompensaty monarchia hiszpańska miała ściągać daninę z tubylców. Większość Indian zbrojnie sprzeciwiła się wkroczeniu Hiszpanów, a zatem i działalności towarzyszących im zakonników. Stąd szybko zrodziło się pojęcie „wojny sprawiedliwej”. Łatwo sobie wyobrazić nadużycia, jakim otwarło ono drogę. Chcąc mieć niewolników, Zdobywcy prowokowali

swoje indiańskie ofiary, aby stawiały opór, bo wtedy mogli je pokonać i „sprawiedliwie” uczynić niewolnikami. Ta sprzeczność pomiędzy podbojem militarnym a zdobywaniem dusz i ewangeliczną dobrocią wcześniej wyszła na jaw. Podjęta przez Las Casasa w La Vera Paz próba nawrócenia Indian przez wysłanie samych misjonarzy miała wykazać, że za gwałty odpowiedzialni są tylko Zdobywcy.

Pedantyczny i formalistyczny duch urzędników królewskich wynalazł osobliwy sposób zwracania się do tubylców na obszarach Nowego Świata, mianowicie urzędowe wezwanie (*requerimiento*). Kiedy Zdobywcy pod bronią stawali twarzą w twarz z Indianami, gotowymi stawić im opór, przybysze dawali znak, że chcą rozpocząć układy. Pisarz odczytywał wezwanie, aby uznali Boga jedynego, Boga chrześcijan, następnie akt darowizny, jakim jego zastępca — papież, oddawał Amerykę Hiszpanom, a wreszcie apel, aby uznali jako suwerena najpotężniejszego władcę na świecie, tzn. króla Kastylli i Leonu. Dokument ów tłumaczono w miarę możliwości na język tubylców i, w wypadku gdy ci go odrzucili (ale tylko w tym razie), Hiszpanie rozpoczynali walkę. Historia nie mówi nam, czy tą metodą ujarzmiono wielu Indian, przekazuje natomiast refleksje pewnego kacyka, który odpowiedział mniej więcej tak: „Dlaczego mielibyśmy opuszczać naszych bogów, których przekazali nam nasi ojcowie i którzy dają nam dobre zbiory? Co do tego wielkiego kapłana, o którym mówicie, musiał chyba się upić, kiedy rozdawał to, co do niego nie należy”. Anegdota powyższa szczególnie podobała się historykom angielskim, a potem w XVIII w. zasilila mit o „dobrym dzikusie”, który pojawił się w dziełach Marmontela i Woltera. Trzeba przyznać tę zasługę wielu Hiszpanom, współczesnym podbojowi, że oni pierwsi wyszydzili ową parodię. Najbardziej znany spośród teologów-prawników sprzyjających Indianom był dominikanin Las Casas, ale jego walka stała się tak zacięta i długa tylko dzięki sprzeciwowi, z jakim się spotkała nie tylko u Zdobywców, lecz także u wielu najznakomitszych prawników i teologów tej epoki.

Ażeby należycie zrozumieć przedmiot sporu, jaki rozpętał się — nie bez ukrytych intencji politycznych — po-

czawszy już od pierwszych wypraw Kolumba, trzeba pamiętać, że dotyczył on samej „natury” Indian. Czy są oni ludźmi? Nie, odpowiadali Zdobywcy, którym wygodnie było traktować ich jako zwierzęta robocze i handlować nimi jak trzodą. Nie, gdyż są występni i wyznają bałwochwalstwo, mówiąc dokładniej, są homoseksualistami (sodomitami jak to wtedy określano) i składają rytualne ofiary z ludzi. A zatem, odpowiadał Las Casas, „jeżeli ci Indianie to zwierzęta, grzechem przeciwko naturze jest utrzymywanie stosunków z ich kobietami, jak to wielu Hiszpanów czyni z wielkim upodobaniem” ...W rzeczywistości argumentu, że Indianie nie są ludźmi, nikt z teologów nie brał serio. Ale w miarę, jak Ameryka okazywała się coraz większa i gęściej zaludniona, problem pochodzenia i pogaństwa jego mieszkańców stawał się bardziej palący. Europa, która tak długo nie wiedziała o istnieniu Nowego Świata, doszła do wniosku, że jest on największą i najliczniej zaludnioną częścią globu ziemskiego; jakże więc pogodzić się z tym, że apostołowie Chrystusa, których obowiązkiem było nawracanie całego świata, zapomnieli o jego największej części? Te wątpliwości oraz szybkie wyludnienie Antyli i Złotej Kastylii, gdzie Pedrarias Davila zdobył sobie smutną sławę okrutnika, miały wywołać w Hiszpanii ożywiony ruch teologiczno-prawny.

Wszyscy uczestnicy sporu, wierni w tym przypadku doktrynie tomistycznej, powoływali się na Arystotelesa, ale każdy pojmował go na swój sposób. Czy darowizna papieska była prawomocna? Czy prawo ludzkie mogło usprawiedliwić wojnę prowadzoną przeciwko Indianom? Czy byli oni, jak to określał Arystoteles, niewolnikami z natury (*a natura*)? Wiele nasuwało się zagadnień, które mogły wystawić na szwank zarówno wieczne zbawienie Zdobywców i króla, jak osobiste interesy pierwszych, oraz polityczne plany drugiego. Dopiero w 1542 r. Las Casas ogłasza *Dwadzieścia racji* przeciwko systemowi oddawania w opiekę (*encomienda*) Indian; starania dominikanina uwieńczone zostały *Nowymi Prawami Indii*, wydanymi w tymże roku, znacznie bardziej korzystnymi dla Indian niż ogłoszone poprzednio, w 1512 r., *Prawa Indii*. Ale stosowanie *Nowych Praw* wywołało prawdziwy bunt

Zdobywców, zwłaszcza w Peru, i spór miał się ciągnąć jeszcze długo. Gdy w 1550 r. urzędowy kronikarz, Juan Ginés de Sepúlveda, opublikował swoje dzieło: *Democrates segundo o De las justas causas de la guerra contra los Indios* (*Demokrata albo o słusznych racjach wojny przeciwko Indianom*), Las Casas uzyskał zwołanie zgromadzenia w Valladolid, gdzie starał się wykazać bezpodstawność tez Sepúlvedy. Dysputa odbywała się w obecności władz. Krótko mówiąc, Sepúlveda twierdził, że skoro zajdzie potrzeba, jest rzeczą zgodną z prawem użycie broni przeciwko tubylcom Nowego Świata, aby ich potem łatwiej nawrócić, ale w praktyce oznaczało to uznanie wojny prewencyjnej i otwarcie drogi wszelkim nadużyciom. Poza tym Sepúlveda przyjmował, za Arystotelesem, istnienie niewolników z urodzenia (*a natura*), a pod tę kategorię można było podciągnąć pod różnymi pretekstami wszystkich Indian z Nowego Świata. Głosił wreszcie mieszany system wolności i niewoli dla Indian, co oczywiście doprowadziłoby do ich całkowitego niewolnictwa. Ale Las Casas nie wykazuje niebezpieczeństw, jakie wynikłyby z wprowadzenia w życie doktryny Sepúlvedy, lecz atakuje wprost jego zasady. W 1532 r. dominikanin napisał traktat *Del unico modo de atraer a todos los pueblos a la verdadera religión*, czyli podręcznik pokojowego nawracania pogan. Raz jeszcze dowodził przeciwnikowi sprzeczności, jaką kryje w sobie głoszenie religii miłości przy jednoczesnym stosowaniu przemocy i zachęcanie do cnoty, gdy samemu popełnia się zbrodnie. Las Casas podkreślał w ten sposób duchowy aspekt bull Aleksandra VI (potwierdzonych przez Pawła III), uznawał je za jedyny tytuł Hiszpanów do głoszenia Ewangelii Indianom, ale nie do wtrącania ich w niewolę. Chrystus, dowodził Las Casas, chciał sprawować nad ludzkością władzę jedynie duchową, a nie karać ją za zbrodnie. Jeżeli Kościół uzurpuje sobie prawo karania Indian za ich grzechy, nadużywa swoich praw. Bulli Aleksandryjskich nie należy interpretować jako aktu doczesnej darowizny; powierzają one Hiszpanii tylko misję duchową. Wojna przeciwko Indianom stałaby się słuszna tylko wówczas, gdyby świadomie popełniali gwałty na kapłanach lub symbolach wiary; ale

ten przypadek zajść nie może. Zresztą są oni najczęściej łagodni; co do tych, którzy utrzymują się z grabieży, wystarczy do nich posłać bezbronných zakonników, aby pozyskać ich dla prawdziwej wiary. W imię tej właśnie doktryny ewangelicznej wielu jezuitów poniosło później śmierć z ręki Indian na równinach Ameryki Północnej; nie można jednak przeczyć, że niektórym dominikanom powiodło się w rejonie karaibskim. Las Casas zwalczał arystotelesowską koncepcję niewolników *a natura*, nadając jej interpretację bardzo restryktywną i, aby ją jeszcze zacieśnić, podkreślał, że Arystoteles był filozofem pogańskim, od którego chrześcijanie nie wszystko mogą przejmować z korzyścią dla siebie. Las Casas zwycięża raz jeszcze, ale tylko w teorii, której nigdy nie wprowadzono w życie; stąd powstało słynne powiedzenie: „Szacunujemy prawa Indii, ale ich nie stosujemy”. W trzy lata później don Vasco de Quiroga, biskup Michoacán, wielki humanista i przyjaciel ludności tubylczej, napisał traktat (który się nie zachował, ale którego treść znamy) pt. *De debellandis Indis* (*O wojnie przeciwko Indianom*), gdzie podejmując problem wojny sprawiedliwej, bronił jej słuszności w imię obowiązku jałmużny dla ciała i dla ducha, który skłania chrześcijan do oświecania bliźnich. Możliwe, że Las Casas działał pod sugestią okrucieństw, jakim napatrzył się na Kubie w początkach stulecia, gdy tymczasem Vasco de Quiroga, biskup w kraju spacyfikowanym, już od wielu dziesiątków lat poprzestawał na stwierdzeniu, że gdyby nie podbój militarny, chrześcijaństwo jeszcze w jego czasach nie mogłoby zapanować w Michoacán. Jakiegokolwiek wyciągnęlibyśmy stąd wniosek, trzeba powiedzieć na chwałę Hiszpanii, że ona właśnie w toku tej pierwszej europejskiej przygody kolonialnej pragnęła znaleźć rozwiązanie zgodne z prawem. Nie mniejsze wysiłki w tej dziedzinie czyniła monarchia, która chciała tchnąć w prawo najwartościowsze myśli tej epoki, poczynawszy od edyktu Izabeli Katolickiej, która w 1500 r. kazała zwrócić wolność wszystkim niewolnikom indiańskim i repatriować tych, których sprowadzono do Hiszpanii, a skończywszy na Nowych Prawach, ogłoszonych przez Karola V.

Osobną uwagę poświęcić należy *Wykładom o Indiach* (*Relectiones de Indis*), jakie w 1539 r. wygłosił w Salamance Vitoria. Są one w pewnym sensie arcydziełem myśli tego ośrodka nauki. Vitoria stworzył w ten sposób prawo nowoczesne. Nie uznawał on mianowicie bull Aleksandra VI; miał po temu słuszne racje, Franciszek I również ich nie uznawał; z drugiej strony, znalezienie innego tytułu prawnego uwolniłoby cesarza od pewnego rodzaju zależności od papieża. Jak wiadomo, cesarska zasada: „Jeden pasterz, jedno stado, jeden miecz”, niezbyt liczyła się z papieżem. Ale Vitoria nie uznawał również powszechnej władzy cesarza (w przeciwieństwie do Nebriji). Przyjmuje on osiem tytułów prawnych panowania hiszpańskiego:

I. *Ius peregrinandi et degendi*, tzn. prawo przejścia i handlu. Była to wielka nowość, ponieważ chodziło o przywrócenie wartości rzymskiemu prawu narodów (*ius gentium*). Hiszpanie mieli prawo zapewnić sobie panowanie nad krajem, jeżeli wzbraniano im przejścia i uniemożliwiano prowadzenie handlu. Jest rzeczą ciekawą, że taka sama była zasada prawa azteckiego, jeszcze przed podbojem hiszpańskim. Meksykanie wysyłali kupców, którzy byli agitatorami i szpiegami, i pod pozorem, że ich źle przyjęto, najeżdżali kraj; był to więc ten sam *casus belli*, którym mieli się posługiwać zdobywcy Nowego Świata (gdzie prawo międzynarodowe istniało od tak dawna!).

II. Drugą zasadą Vitorii było prawo głoszenia ewangelii wszędzie, na mocy słów Ewangelii świętego Marka: *Praedicate Evangelium omni creaturae*. W razie oporu wojna była już usprawiedliwiona. To religijne uzasadnienie panowania hiszpańskiego różniło się bardzo od argumentów zawartych w bullach Aleksandra VI, ponieważ nie wymieniało wyraźnie Hiszpanów, lecz mogło odnosić się do wszystkich katolików. Zauważmy, że Vitoria przeciwstawia się tutaj jednocześnie stanowisku i Sepulvedy, który dopuszczał wojnę prewencyjną, i Las Casasa, który nie uznawał wojny pod żadnym pozorem.

III. Jeżeli książęta barbarzyńcy zmuszają nowo nawróconych, aby powrócili do praktyk bałwochwalczych, jest to również powód do wojny sprawiedliwej.

IV. Jeżeli wielka liczba poddanych jakiegoś pogańskiego księcia nawróci się, papież może odebrać władzę temu księciu i wyznaczyć na jego miejsce księcia chrześcijańskiego (tzn. katolickiego; protestantów zawsze określa się mianem heretyków). Las Casas był innego zdania; według niego, książęta pogańscy tylko wówczas podlegali władzy papieża, gdy się nawrócili.

V. Istnienie w barbarzyńskim państwie praw tyrańskich, szkodliwych dla ludności (ofiary z ludzi, grzechy przeciwko naturze) stanowi podstawę do interwencji i przejęcia władzy przez chrześcijan. Jest to punkt zasadniczy, skoro wiemy, że ofiary z ludzi, a często ludożerstwo rytualne, praktykowano we wszystkich niemal regionach Nowego Świata, oraz że rozpowszechniony tam był homoseksualizm.

VI. Szósty punkt brzmi bardzo nowocześnie; mówi o prawie narodów do samostanowienia. W wypadku gdy, po licznych nawróceniach, większość poddanych jakiegoś barbarzyńskiego księcia pragnęłaby przyjąć poddaństwo króla Hiszpanii, Hiszpanie mieliby prawo interweniować. Nie trzeba wskazywać, jak rozmaicie można było interpretować tę zasadę.

VII. Punkt siódmy nazywano argumentem „sprzymierzeńców i przyjaciół”. Jeżeli książęta barbarzyńscy walczą pomiędzy sobą, Hiszpanie mogą wziąć stronę tych, którzy zostali sprowokowani, i uczestniczyć potem w owocach zwycięstwa. Vitoria, aby uzasadnić swoją tezę, powołuje się na autorytet św. Augustyna. Historia podboju jest historią interwencji hiszpańskich w dynastyczne i wewnętrzne spory Indian.

VIII. Vitoria sam przedstawia ten tytuł prawny jako wątpliwy. Jakkolwiek nie chce on zastosować do Indian arystotelesowskiego pojęcia niewolnika z natury, uznaje ich „niezdolność” (nie do przyjęcia wiary, lecz do decydowania o swoim losie) i głosi konieczność oddawania ich w opiekę (*encomienda*), jak małoletnich, którymi Hiszpanie mieliby rządzić z chrześcijańską miłością, „ku pożytkowi tychże Indian, a nie Hiszpanów”; ale Vitoria sam wyznaje, że ten proceder poważnie zagraża zbawieniu dusz.

Jest rzeczą charakterystyczną, że ten traktat o prawie międzynarodowym (laicki w znacznej części), powraca w końcu do eschatologicznej zasady Las Casasa. Okrucieństwo Podboju i kolonizacja Nowego Świata narażają na wieczne potępienie zarówno katów, jak ich ofiary. Strach przed piekłem był głównym hamulcem — chociaż i on okazał się niezbyt skuteczny! — dla żądzy złota i dla zbrodni, do których ta żądza popychała ludzi; owa groźba piekła materializowała się w pewien sposób w formie ekskomuniki, jaką rzucał Kościół, co jednak nie ukróciło gwałtów, które towarzyszyły Podbojowi.

Usiłowania teologów i prawników, niezależnie od tego, czy poprzedzały podbój militarny, czy szły jego śladem, czy też — najczęściej — towarzyszyły mu, były nieodłączne z nim związane; teolodzy i prawnicy chcieli jednocześnie wtłaczać nową rzeczywistość w stare ramy i szukać nowych kategorii, które pozwoliłyby zaszeregować nie mieszczącą się w nich nowość Indii Zachodnich. Kartografowie, botanicy i antropolodzy zdobyli Amerykę w tym samym czasie, co i żołnierze; wprowadził ich tam Podbój, ale oni kierowali nim za pomocą swoich odkryć, a następnie starali się go, wraz z prawnikami i teologami, zorganizować. Jak *Relecciones de Indis* Vitorii dają początek nowoczesnemu prawu międzynarodowemu, tak *Historia Apologética de Las Indias* pióra Las Casasa rzuca podwaliny antropologii relatywistycznej, która uwzględnia wszystkie formy społeczeństw ludzkich, na długo przed Monteskiuszem i Filozofami; po raz pierwszy pojęcie „barbarzyńcy” zostało zanalizowane ze stanowiska naprawdę humanistycznego, a także w szerokim ujęciu historycznym. Po 1550 r. jezuita Acosta zakwestionuje autorytet starożytnych, właśnie na podstawie doświadczeń w Nowym Świecie.

Wszystkie te zdobycze, i najcenniejsza z nich: bogatsze pojmowanie człowieka i pełniejsze zrozumienie jego dzieł, poszły niestety w zapomnienie; nie myślimy o nich, gdyż obecnie stanowią one część naszego dziedzictwa, immanentne wartości naszego dzisiejszego świata. Zachodzi naprawdę dziwny kontrast pomiędzy ubóstwem środków, jakimi rozporządzali poszczególni ludzie, którzy w nie-

spełna pół wieku odkryli i zdobyli ogromną część konty-
nentu amerykańskiego, pomiędzy dziełem paru tysięcy
chłopów i marynarzy, przeważnie Hiszpanów (z garścią
drobnej szlachty na czele) a wpływem, jaki czyny ich wy-
warły na wszystkie dziedziny wiedzy i na dalszą ewolucję
zarówno Starego, jak Nowego Świata.

4

Wodzowie

Jak zawsze gdy chodzi o wielkie przygody historyczne, z podboju Ameryki przekazano przyszłości głównie barwne, naiwne portrety garstki jego bohaterów, którzy w tamtej epoce zdawali się lepiej od swoich towarzyszy uosabiać te niezwykle zdarzenia. Taki właśnie los przypadł przede wszystkim Cortesowi i Pizarro. Ale romantyczna wizja nie może przesłonić poważnych badań historycznych. Czyny paru ludzi, choćby to były czyny wspaniałe, nie mogą przesądzać o przyszłych losach całej zbiorowości. Decyzje przywódców mają poważne następstwa tylko przy pewnych warunkach technicznych i przy czynnym udziale mniej lub bardziej licznych grup ludzkich. Zdobywcy byli skłóconą z sobą mniejszością, złączoną jednak wspólnymi ideami i bezprzykładną odwagą. Bernal Díaz del Castillo napisał historię kampanii meksykańskiej, ponieważ Gomara w swoim dziele „cały jej honor przypisał jedynie markizowi Hernando Cortesowi”. Niemniej jednak wiadomo, że pewna mała grupa Zdobywców odegrała decydującą rolę w kampaniach podboju. Ponieważ ludzie ci przenosili się z miejsca na miejsce, organizując coraz to nowe *entradas*, widziano ich wszędzie po trosze na terenie Nowego Świata. Znaczenie tych bohaterów jest tym większe, że byli oni zwiadowcami (takie było właściwe znaczenie wyrazu *descubridor*) i jakby wysłannikami swego świata do dziewiczego kontynentu, gdzie nie powstała jeszcze noga Europejczyka. Bo chociaż

wyprawy Wikingów w średniowieczu lądowały w okolicach dzisiejszego Chicago, nie pozostawiły one jednak większych kolonii osiedleńczych ani trwałego panowania. Postępowanie takich wodzów, jak Cortés, Pizarro i Valdivia, od razu stało się przykładem dla innych: wzniciło entuzjazm, wywołało rywalizację, naznaczyło niezatartym piętnem przyszłą cywilizację amerykańską; zrodziła się ona właśnie z zetknięcia Starego Świata, którego Zdobywcy byli (faktycznie lub prawnie) pełnomocnikami, ze Światem Nowym, pokonanym siłą lub podstępem, czy też, jeśli kto woli, bronią i polityką.

Hernán Cortés

Zaden ze Zdobywców nie okazał tyle odwagi żołnierskiej i tyle zmysłu politycznego, co Hernán Cortés; jego pochodzenie, życie i śmiałość poczynił czynią z niego typowego Zdobywcę, a równocześnie wzór bohatera (w wyrażeniu tym nie zawiera się żaden nasz osąd moralny); Cortés był jednym z najzdolniejszych Zdobywców, miał wszystkie wady i zalety wielkich wodzów Podboju. Jego zręczność oraz przypadek — on nazywał je Opatrznością — sprawiły, że odkrył jedno z największych państw starożytnej Ameryki. Jego wola, jego talent przywódcy nigdzie nie przejawily się z taką siłą jak w pierwszym stadium podboju meksykańskiego. Cortés tworzył historię — a nie siedł za nią — o tyle, o ile tylko jest to w ludzkiej mocy, wyprzedził ją i przyspieszył o wiele lat. Rolę jego w zdobyciu kontynentu porównać można z rolą Kolumba w odkryciu wysp. Podbój Meksyku pociągnął za sobą głęboką penetrację Ameryki; gdyby nie Meksyk Cortesa, trzeba by zapewne jeszcze całych dziesiątków lat, aby Peru stało się czymś więcej niż legendarną rzeką. Skarby Axayacatla i Atahualpy dodały bodźca wyprawom zdobywczym i wzmocniły prestiż Karola V — zwłaszcza gdy korsarze francuscy przechwycili pierwsze dary, jakie Cortés posłał swemu władcy. Takie były wyniki śmiałej akcji ambitnego kapitana. Tym, którzy sądzą, że równie dobrze ktoś inny mógłby zdobyć Meksyk, gdyby wylą-

dował w tym kraju zamiast tego Estremadurczyka, można by wskazać wyżej przytoczony przykład Panfilo de Narvaeza, którego wyprawa na Florydę, po klęsce dwóch wcześniejszych, zakończyła się porażką. Pamiętajmy też, że w 1499 r. Alonso de Ojeda i Juan de la Cosa odkryli wybrzeże Wenezueli, ale po tej wyprawie nie zapuszczono się w głąb lądu. W 1511 r. Nicuesa, którego okręt rozbił się na morzu koło Jamajki, dostał się do niewoli w Jukatanie; półwysep ten odkrył (a właściwie rozpoznał) w 1517 r. Francisco Hernández de Córdoba, którego pilotem był Antoni de Alaminos; po kilku utarczkach z Indianami Hiszpanie powrócili jednak na okręty. W następnym roku, 1518, wybrzeże właściwego Meksyku odkrył Juan de Grijalva, który imię swoje nadaje jednej z rzek i następnie odpływa. W wyniku tych rekonesansów (termin ten wydaje się trafniejszy niż „odkrycie”, a przemawia za nim obyczaj hiszpański tej epoki, według którego wyrazów *descubrir* i *descubrimiento* używano po parę razy w odniesieniu do jednego kraju) gubernator Kuby, Diego Velázquez, decyduje się wysłać na własny koszt nową wyprawę na wybrzeża Meksyku, mając na oku cele handlowe, zdobycie cennych metali i, ewentualnie, niewolników. Szukając dowódcy, pomyślał o swoim sekretarzu Hernanie Cortesie, a gdy tego pożałował, było już za późno.

Kimże był więc ów Hernán Cortés, który swoim podbojem miał olśnić Europę, a dwór cesarski — dziełami sztuki meksykańskiej, które Albrecht Dürer porównywał do arcydzieł Benvenuto Celliniego, ów Cortés, który mianowany markizem i pozostawszy pionierem, dumnie przypominał Karolowi V jego powinności?

Kiedy tuż pod nosem gubernatora Diego Velazqueza, w dniu 18 listopada 1518 r., rozwinął żagle z zamiarem dotarcia do brzegów Meksyku, miał zaledwie 33 lata. Ten „młody” kapitan wcale nie był młodszy od wielu innych Zdobywców. Jeśli wierzyć temu, co pisze Francisco Lopez de Gómara, kronikarz Indii, Cortés był szlachcicem „od czterech pokoleń”; ale ponieważ Gómara był kapelanem Zdobywcy, kiedy ów został markizem, i pośrednio uczynił się rzecznikiem jego żądań, a także

heroldem jego czynów, to, co napisał o wczesnych latach swego pana, wydaje się nam podejrzanе. Wedle Gomary, „ojciec jego nazywał się Martin Cortés de Monroy, a matka — Catalina Pizarro Altamirano; oboje byli *hidalgos* i należeli do bardzo starych i czcigodnych rodzin”. Oto pochodzenie stosowne dla człowieka, który chciał zostać wicekrólem Nowej Hiszpanii na wodach Oceanu, będącej jego zdobyczą i jego dziełem, a także spokrewnić się z najznakomitszymi rodzinami Półwyspu Iberyjskiego. Gómara zaznacza, że rodzice bohatera byli ubodzy, ale powszechnie kochani i szanowani; jego matka była kobietą stateczną i religijną, ojciec — pobożny i miłosierny. Dzięki tym właśnie okolicznościom Cortés uznał się godnym wielkiej misji, jaką zmuszony był sobie uzurpować. Chociaż Cervantes napisał potem, w XVII w., że Indie były schronieniem dla różnej hołoty, prawa Indii starały się od początku bronić moralności, a przede wszystkim jedności religijnej Nowego Świata wykluczając (co im się zresztą nie udało) „nowych chrześcijan”, tzn. świeżo nawróconych Żydów, którzy przejąwszy chrzest pod przymusem, podejrzewani byli o judaizm. Nie każdy mógł udać się swobodnie do Nowego Świata: posiadanie szlacheckich i pobożnych rodziców świadczyło o „czystości krwi”, ale prócz tego należało mieć za sobą cztery pokolenia szlachectwa i być „starym chrześcijaninem” (w przeciwstawieniu do „nowych chrześcijan”). Czystość krwi działała dobroczynnie dopiero wraz z honorem; syn szanowanego ojca też miał prawo do szacunku i mógł słuszniej niż inni pretendować do łaski królewskiej. To też wszyscy Zdobywcy podawali się za *hidalgów*, chociażby to nawet miało się z prawdą. Las Casas, który nie żywił zbyt wielkiej sympatii dla Zdobywcy, pisze: „Cortés pochodził z Medellin, był synem koniuszego; znałem go, był to człowiek bardzo ubogi i skromny, chociaż stary chrześcijanin i, jak mówią, *hidalgo*”. Widzimy więc, że Gómara podkreślał szlachectwo i honor rodziców Cortesa, zaś Las Casas — ich ubóstwo i skromność, stawiając pod znakiem zapytania szlachectwo ojca. Natomiast obaj biografowie zgodnie podają jako miejsce urodzenia Cortesa, Medellin w Estremadurze. Fakt to interesujący,

gdyż historycy do ostatnich czasów sądzili, że Estremadurczycy i Andaluzyjczycy odegrali dominującą rolę w podbojach Nowego Świata. Tymczasem, jeśli wierzyć wzmiankom ówczesnych kronikarzy, wśród Zdobywców i imigrantów w XVI w. względną przewagę mieli Hiszpanie z południa. Natomiast rzeczą pewną jest solidarność prowincjonalna. Mówiliśmy już o klanie aragońskim; co do Cortesa, estremadurskie pochodzenie odegrało w jego życiu pewną rolę, jednało mu i wrogów, i przyjaciół; „La Guadalupe”, patronka Meksyku, przywieziona z jednego z kościołów Estremadury, mogłaby świadczyć, gdyby to jeszcze było potrzebne, o sile lokalnych wpływów iberyjskich na kolonizację Nowego Świata. Sądząc z dzieł Gomary, zabobonna pobożność tej epoki musiała zajmować dużo miejsca w życiu Cortesa. Ponieważ był dzieckiem wątłym, śmierć groziła mu wielokrotnie, ale jego mamka, na los szczęścia wybierając wśród apostołów orędownika dla swego pupila, natrafiła na św. Piotra; kazała zanosić do niego modły i odprawiać msze i za jego wstawiennictwem Cortés pozostał przy życiu. Jest to szczególnie anegdotyczny, ale Gómara cytuje go jako uzupełnienie portretu swego bohatera. Podobnie jak Opatrzność zachowała Kolumba do wielkiej misji odkrywcy, tak też Niebo pozwoliło przeżyć śmiertelną chorobę temu dziecięciu, aby uczynić zeń drugiego bohatera Nowego Świata, bohatera, którego franciszkanin Mendieta porówna do Mojżesza. Intencja nie budzi wątpliwości, ale fakt zaliczyć trzeba na poczet legendy. Las Casas wyraźnie stwierdza: „Gómara, ksiądz, który napisał *Historię Cortesa*, który żył u jego boku w Kastylji wówczas, gdy ów został markizem, i który nie widział absolutnie nic na własne oczy, nigdy w Indiach nie był, a napisał tylko to, co sam Cortés mu opowiedział, przytacza na jego korzyść wiele faktów, które na pewno są fałszywe”. Co do dawnego namiestnika wyprawy meksykańskiej, Bernala Diaza del Castillo, dopiero po przeczytaniu Gomary postanowił on napisać swoją *Historię prawdziwą*, aby powiedzieć prawdę o wyprawie, którą stronnictwo potraktował kapelan markiza.

Wydaje się natomiast rzeczą pewną, gdyż świadectwa

Gomary i Las Casasa są w tym punkcie zgodne, że Cortés odbył studia prawnicze w Salamance, a był to wówczas najsłynniejszy z hiszpańskich uniwersytetów. Pierwszy z biografów mówi, że rodzice wysłali Cortesa w wieku lat czternastu, aby studiował gramatykę (tzn. łacinę) u jednego ze stryjów; przebywał tam dwa lata, po czym wrócił do Medellin, „czy to, że miał już dosyć studiów, czy też nie chciał się uczyć lub wreszcie brakło mu pieniędzy”.

Gómara opowiada, co jest bardziej prawdopodobne, że Cortés był młodzieńcem niespokojnym, nawet brutalnym (*amigo de armas*), toteż bardziej nęciła go broń niż toga, kiedy przyszło mu wybierać między możliwościami, jakie otwierały się wówczas przed szlachtą. Miał przed sobą dwie drogi: albo iść wojować do Włoch pod rozkazami Wielkiego Kapitana, albo udać się do Indii z komandorem de Lares, Nicolasem de Ovando, który miał wyruszyć jako gubernator Hispanioli (San Domingo) i który, wedle Gómara, też znał osobiście Cortesa. Młodzieńca (Cortés miał wtedy szesnaście lat) bardziej nęcił Nowy Świat niż Neapol, ale przypadek już miał zdecydować inaczej. Postanowił bowiem wybrać się do Włoch i w tym celu wyjechał do Walencji, ale już w drodze zmienił zamiar, wałęsał się przez cały rok i Gómara daje nam do zrozumienia, że był jednym z licznych *pícaros* hiszpańskich, nieraz wywodzących się z szanownej rodziny, rozsławionych przez literaturę. Po tej eskapadzie wrócił do Medellin, raz jeszcze postanawiając, że wyruszy stamtąd do Indii. Rodzice dali mu błogosławieństwo — podobnie uczyniła matka Łazika z Tormesu! — i trochę pieniędzy. Gomara oczywiście chce nam wmówić, że po takich manowcach prowadziła bohatera Opatrzność, aby wypełniło się jego amerykańskie przeznaczenie. W każdym razie, Cortés w niezbyt świetnych warunkach dostał się na Hispaniolę, „na statku Alonsa Quintero, obywatela z Pálos de Moguer, który żeglował wraz z trzema innymi statkami, wioząc towary”, był więc pasażerem statku towarowego, jak wielu emigrantów, często jadących „na gapę”, młodych i chciwych złota, jak pisze Gómara: „Bardziej pragnął tej podróży niż wyprawy do Neapolu,

gdyż znany był panu Ovando, który mógłby go polecić, a także z przyczyny całego owego złota, jakie przywózono z Indii”.

W społeczeństwie hiszpańskim XVI w. honor, zaszczyty i zysk ściśle się z sobą łączyły. Nie wierząc pesymistycznej formule Queveda: „Pieniądz nadaje godność”, trzeba przyznać, że pieniądz jest godności niezbędny. Pamiętajmy, że w tej epoce majątek to przede wszystkim posiadłości ziemskie i że w Hiszpanii ziemia była nagrodą dla zdobywcy, dla rycerzy rekonkwisty, której dalszym ciągiem był podbój Nowego Świata. Majątek jest więc konsekwencją sławy, następstwem honoru (*la honra*); nie zastępuje sławy, ale jest jej zewnętrzną oznaką i podporą. Człowiek honoru, tzn. dbały o swoją reputację i korzystający z łask królewskich (tytułów i rent), musi wydawać dużo pieniędzy. Młodszy synowie szlacheckich rodów, *hidalgos* bez majątku, którzy udawali się na poszukiwanie złota do Nowego Świata, nie byli balzakowskimi mieszcuchami pragnącymi ciułać, lecz chcieli prowadzić tryb życia odpowiadający godności, jaką odziedziczyli po przodkach albo jaką sami zdobyli czynami wojennymi. Słowa Almagra, który towarzyszył Pizarrowi podczas podboju Peru, że „przeszedł tyle prób i poniósł tak wielkie wydatki, aby zdobyć raczej honor niż dobra”, były na pewno szczerze; honor i zysk (*honra y provecho*) idą z sobą w parze według formuły Cyda, ale Podbój Ameryki miał wykazać, że łatwiej było, mimo wszelkich przeszkód, wzbogacić się niż zdobyć szlachectwo. Cortés, którego ojciec był koniuszym wielce szanownym, ale bardzo ubogim, ukazuje się nam więc zrazu jako przeciętny typ Zdobywcy.

Początki jego pobytu w Nowym Świecie, podobnie jak okoliczności jego podróży, poprzedzone pikarejską włóczęgą, świadczą, że był emigrantem raczej nieciekawym. Dążąc na Hiszpanie, z niecierpliwością rozumiała w tym wieku, podziela złudzenia swoich współziomków. Gómara opowiada, że Ovando bawił w tym czasie poza Santo Domingo, a jeden z jego sekretarzy, niejaki Medina, przyjeżdża nowo przybyłego i radzi mu, aby osiedlił się na wyspie jako rolnik-kolonista; dostanie działkę pod bu-

dowę domu i grunt pod uprawę. Gómara ciągnie dalej: „Cortés, który zamierzał, przybywszy, kopać złoto, wzgardził tą radą”; lecz po powrocie gubernatora, któremu poszedł ucałować ręce i przekazać wiadomości z Estremadury (jeżeli wierzyć Gomarze, który często nadaje Cortesowi znaczenie, którego on wcale nie miał), usłyszał te same rady. Został więc, towarzyszył Diego Velazquezowi w jego operacjach wojennych (nazywało się to *pacificación*) i otrzymał jako nagrodę Indian w *encómienda* oraz funkcję sekretarza rady miejskiej małego, nowo założonego miasta, Azua. Został tam pięć albo sześć lat; później, cierpiąc na jakiś wrzód, nie mógł wziąć udziału w wyprawie Nicuesa do La Veragua.

Jednakże zwrócił widocznie na siebie uwagę Diego Velazqueza, który wysłany przez nowego admirała, Diego Kolumba, na podbój Kuby w 1511 r., zaproponował Cortesowi, żeby uczestniczył w niej jako urzędnik czy pomocnik skarbnika Miguela de Pasamonte i „zarządzał piątą częścią i dobrem królewskim”. Pamiętamy, że Fray Bartolomé de Las Casas, podobnie jak Cortés, przebywał na Hispanioli od 1502 r. w charakterze skromnego osadnika, *encomendero*. Otóż Las Casas pozostawił nam pochlebny portret „skarbnika” Pasamonte. „Król Katolicki... postanowił wysłać człowieka pewnego, szanownego, wielkiej mądrości i bystrego umysłu, doświadczonego i cieszącego się autorytetem Aragończyka, jednego ze swoich starych sług, Miguela de Pasamonte (...). Cieszył się on taką estymą u króla aż do jego śmierci, iż całą niemal organizację i administrację Indii tworzone i prowadzono na podstawie jego raportów i opinii”. Jeżeli nawet część tych pochwał złożymy na karb sentymentalnego przywiązania Las Casasa do pamięci Królów Katolickich, pozostaje fakt, że Miguel de Pasamonte musiał być wymarzoną zwierzchnikiem dla Cortesa — zwłaszcza w dziedzinie finansów i administracji kolonialnej. Relacje o podboju Meksyku świadczą niezbicie, że Cortés znał się do gruntu na tym, co trochę anachronicznie można by nazwać skarbowością kolonialną, a co polegało na egzekwowaniu królewskiej piątej części. Wtajemniczony odtąd w materialne sprawy Nowego Świata,

Cortés osiada w Santiago de Cuba, pierwszym mieście założonym przez Hiszpanów na tej wyspie; on też pierwszy będzie tam właścicielem stada, jak mówi Gómara, hoduje krowy, owce i kłaczki; otrzymawszy w *encomienda* Indian, „używa ich do wydobywania dużej ilości złota i szybko się wzbogaca”. Równocześnie zdobywa uznanie Diego Velazqueza, ale stosunki ich psują się z chwilą, gdy przybywają siostry Joana Juareza, współnika naszego bohatera, a wśród nich Catalina, do której Cortés umizga się, ale z którą ożeni się dopiero pod przymusem i po uwięzieniu go. Tutaj natrafiamy na epizod, co do którego relacje Gomary i Las Casasa są sprzeczne. Według pierwszego, Velázquez podejrzewał Cortesa, że machał palce w spisku, jaki zawiązali przeciwko niemu uczestnicy wyprawy, którzy czuli się pokrzywdzeni przy *repartimientos* Indian, i niesłusznie wtrącił go do więzienia.

Afera ta godnie charakteryzuje zarówno Cortesa, jak ówczesną Hiszpanię, a jeszcze lepiej ówczesną Amerykę. W obawie — pisze Gómara — że wytoczą mu proces posłużwszy się fałszywymi świadkami, Cortés, mimo że trzymano go w kajdanach, zdołał uciec i schronić się w kościele (w Santiago, największym wówczas mieście na Kubie), przy czym nie omieszkiał zabrać szabli i tarczy dowódcy alguazilów! Kościół był miejscem świętym, więc gubernator wpadł we wściekłość, oskarżył straż więzienną, że dała się przekupić, i chciał skłonić Cortesa, aby opuścił schronienie; ten, pomimo wrodzonej nieufności, dał się w końcu pochwycić w czasie, gdy przechadzał się po kościelnym dziedzińcu, aby zaczerpnąć powietrza. Tym razem zamknięto go na dolnym pokładzie statku. Zazwyczaj stanowiło to wstęp do przymusowego powrotu do Hiszpanii i postawienia przed sądem... Cortés raz jeszcze zbiegł w jakiejś szalupie, a przedtem odwiązał inną łódź od najbliższego statku, aby uniemożliwić wszelki pościg. Dał się znieść fali na rzekę i nie mogąc dobić do brzegu, przepłynął wpław, umieściwszy na głowie papiery kompromitujące Velazqueza! Wstąpił do domu po broń i znowu schronił się w kościele. Z tej relacji widzimy, że w Ameryce western zrodził się znacznie wcześniej niż Dziki Zachód.

Cortés poślubił wreszcie Catalinę Juarez, co nie było obojętne Velazquezowi, utrzymywał on bowiem stosunki z jedną z jej siostr, kobietą, wedle Gomary, lekkomyślną. Być może, fakt, iż Cortés powrócił teraz do łask, tłumaczyć należy jakimś nie znanym nam układem w tej matrymonialnej aferze. Las Casas, który czytał dzieło Gomary, pisze, że całe to opowiadanie jest „jednym wielkim kłamstwem”. Dodaje, że Diego Velázquez nie był mściwy i że Cortés zrzęcznie postarał się o przebaczenie, otrzymał Indian w *encomienda* i został „alkadem zwyczajnym” w Santiago de Cuba. Gubernator zgodził się zostać chrzestnym ojcem dziecka, które wtedy urodziło się Cortesowi — „nie wiem, czy miał je ze swoją żoną”, pisze złośliwie Las Casas. Cortés zaprzyjaźnił się z dawnym adiutantem Wielkiego Kapitana, obecnie kontrolerem finansów królewskich na wyspie, Amadorem de Lares. Las Casas posądza tego urzędnika, że zawarł tajny układ z Cortesem, o czym będzie jeszcze mowa. Nie ma wątpliwości, że weteran walk włoskich (w Indiach zjawiało się ich coraz więcej) wprowadzał ze sobą atmosferę okrucieństwa i gwałtów, które zjednały Hiszpanom tak smutną renomę w Królestwie Neapolu, że kronikarz zwracając się do Diego Velazqueza pisał: „Panie, przez długie lata unikaj Włoch!”.

Tymczasem ekspedycje Hernandeza de Cordoby i de Grijalvy odkrywały bogate wnętrze kraju w Meksyku (nie znano wtedy jeszcze jego nazwy) i gubernator Diego Velázquez postanawia zorganizować wyprawę — wedle ówczesnego obyczaju, na własny koszt. Dowództwo zamierza powierzyć jednemu ze swoich ziomków z Cuellar, Baltasarowi Bermudezowi, ale ten postawił warunki, które nie odpowiadały Velazquezowi; gubernator, łatwo wpadający w gniew, odprawił go, swoim zwyczajem dość brutalnie. Wtedy to, zdaniem Las Casasa, Amador de Lares skłonił go, aby powierzyć dowództwo Cortesowi — z którym Lares miał się podzielić dochodami z wyprawy. Ale tutaj musimy oddać głos Gomarze (tzn. samemu markizowi), według którego Baltasar Bermúdez odmówił objęcia dowództwa, ponieważ Velázquez żądał od niego wpłaty udziału w wysokości trzech tys. dukatów; wówczas

zwrócono się do Cortesa, z warunkiem, że weźmie na siebie połowę kosztów, ponieważ „dysponował dwoma tys. złotych *castellanos* do spółki z kupcem Andresem de Duero”, tzn. że był jego cichym współnikiem. Widzimy tutaj, na małą skalę, jak zaczęto wtedy inwestować kapitał handlowy w przedsiębiorstwa kolonialne. Zauważmy, że celem organizatorów wyprawy było nie zaludnianie kraju, gdyż Hernández de Córdoba i Grijalva stwierdzili, że jest on gęsto zamieszkały przez wojowniczych Indian, lecz tylko handel (*rescate*) i w miarę możliwości zakładanie kantorów. Chodziło o typ kolonizacji, którą można by jeszcze porównać z kolonizacją praktykowaną przez Portugalczyków na Dalekim Wschodzie, i którą początkowo miał propagować Kolumb. Ale tymczasem powrócił Grijalva z plonem swojego handlu, co rozbudziło żądę złota w tych, którzy się jeszcze wahali, a wtedy krewniacy gubernatora sami zapragnęli stanąć na czele floty. Velázquez, widząc, że Cortés zadłuża się na wszystkie strony i że gorączkowo przygotowuje się do wyprawy, zląkł się tak gorliwego współnika i posłuchał oszczerców. Chce już tylko odesłać z powrotem, na własny koszt, cztery statki Grijalvy i stara się nakłonić Cortesa, aby zrezygnował z przedsięwzięcia. Ale Cortés nie przestaje rekrutować ludzi i nie chce odstąpić sprawy. Tak przedstawia się wersja Gómary.

Faktem jest, że 18 listopada Cortés wyrusza z sześcioma statkami zabierając trochę ponad trzystu ludzi, a ponieważ nie był należycie zaopatrzony w żywność, rekwiruje mięso przeznaczone dla miasta i wysła jednego ze swoich podwładnych, aby zdobył odpowiednie zapasy na Jamajce. Takie są fakty przedstawione przez Gomarę ze zrozumiałą zwięzłością. Wyjaśnia on, że Diego Velázquez chciał Cortesa zatrzymać, „ale użycie siły wywołałoby bunt i pociągnęło za sobą ofiary w ludziach”. Las Casas, przytaczając ten passus z Gomary, tak go komentuje: „Zastanówcie się tylko, czy Diego Velázquez, będąc gubernatorem i mając cały wymiar sprawiedliwości na wyspie w swoim ręku, uwielbiany przez wszystkich i mający u nich posłuch, z przyczyny zła lub dobra, jakie mógł im wyrządzić, dając im albo odbierając ich kon-

tyngent Indian, czyniąc ich w ten sposób biednymi lub bogatymi, i ciesząc się łaską króla oraz tych, co rządili Kastylią, zastanówcie się, czy naprawdę nie mógł pokrzyżować planów Cortesa, który był nędznym, małym koniuszym, jego sługą, i który nie miałby co do ust włożyć, gdyby Diego Velázquez nie dał mu Indian (których mógł mu odebrać równie dobrze, jak życie, gdyby mu przyszła taka ochota, pod jakimkolwiek pretekstem, chociażby urągającym wszelkiej sprawiedliwości), czy nie mógł mu zabronić odjazdu z flotą, którą zorganizował i jako gubernator królewski, i na własny koszt, nie wywołując buntu i nie zabijając nikogo w mieście, i czy rzeczy wręcz temu przeciwne, które opowiada historyk Gómara, są prawdopodobne". Zapewne trzeba tu wierzyć dominikaninowi, mimo że zaprzecza wersji, jaką Cortés pod koniec życia chciał utrwalić, aby usunąć trochę w cień nędzne początki swojej kariery. Las Casas podaje jeszcze, że gubernator miał błazna, który go przestrzegł: „Rozważcie, panie dobrze, co czynicie, bo pójdziemy zapłować na Cortesa”. Słowa te rozśmieszyły Diego Velázqueza... Krewni mówią mu, tym razem poważnie, aby nie ufał Cortesowi, który jako Estremadurczyk „jest szalbierzem i pyszałkiem, spragnionym zaszczytów...” Las Casas przyklaskuje tej mało pochlebnej charakterystyce, ale dodaje, że jeżeli Cortesowi udało się odpłynąć w nocy z sześcioma statkami, nie mogło się to stać bez współnictwa pięciu kapitanów, którym Diego Velázquez powierzył dowództwo tych statków. Rozpoznajemy w tym sztukę przeciągania na swoją stronę czy też przekupstwa, w której Cortés widocznie już wtedy celował. Nie zapomnijmy, że przebywał piętnaście lat na Antylach, gdzie miał sporo okazji do kształcenia się. Wspominaliśmy też o jego finansowej funkcji przy Miguelu de Pasamonte, starym słudze króla Ferdynanda. Otóż jest faktem sprawdzonym, że Machiavelli, pisząc o pięć lat wcześniej (w 1514 r.) swojego *Księcia*, miał na myśli przede wszystkim władcę Aragonu, zwanego Katolickim; o nim również Florentyńczyk napisał: „Książę ten, jeszcze panujący (ale wolałbym nie wymieniać jego imienia), głosi zawsze tylko pokój i dobrą wiarę. Ale gdyby był wierny jednemu

i drugiej, nieraz już straciłby swoją reputację i swoje państwa". Wolno nam więc chyba twierdzić, że Cortés poza tym, że był chytrym Estremadurczykiem, przesiąkł machiavellizmem u samego źródła, w służbie u człowieka, który był zaufanym Księcia. Zaledwie wypłynął na morze, stara się uzupełnić w bardzo pomysłowy sposób swoje zapasy żywności; poprzednio przekupił dostawcę miasta dając mu złoty łańcuch (darowi towarzyszyły pogróżki, zgodnie z metodami Księcia), teraz chwytą wyladowany chlebem statek, który jadąc z Jamajki, miał zaprowiantować okręg górniczy Xagua (na morzu jeszcze poprzednio zagrabił już inny statek). Podczas krótkiego postoju w Trinidad — innym porcie Kuby, koło przylądka Corrientes — kupuje konie i dalsze zapasy żywności, za które płaci weksłami; wzmacnia załogę niedobitkami wyprawy Grijalvy, porywa Indian i zabiera na pokład. Zawija znowu do San Cristobal (Las Casas pisze, że to miasto leżało wtedy na południowym wybrzeżu Kuby; potem przeniesiono je na wybrzeże północne, dzisiaj jest to Hawana), gdzie przybywają wysłańcy Diego Velazqueza z rozkazem aresztowania Cortesa, ale ten drwi sobie z zasadzek i zachowuje się jak wielki pan, budzący powszechną trwogę, jeżeli już nie szacunek. Las Casas cytuje urywek rozmowy, jaką w Monzón, gdzie bawił dwór, w 1542 r. odbył ze Zdobywcą: „Cortés powiedział mi szydząc, dokładnie te słowa: — Daję słowo, żeglowałem wtedy jak prawdziwy korsarz. Odrzekłem, śmiejąc się również, ale w duchu: — Niech wasze uszy słyszą, co mówią wasze usta". Wedle Las Casasa, Cortés ukradł okręty gubernatorowi, chleb i mięso kupcom, załogę — Grijalvie...

Tak więc Cortés był człowiekiem wyjętym spod prawa (gubernator wezwał go do stawienia się przed sądem, co nie miało wielkiego znaczenia na odległość dwustu mil od Santiago de Cuba), kiedy wyruszył z San Cristobal w połowie lutego 1519 r. zabierając „pięciuset pięćdziesięciu ludzi (wliczając w to wszystkich marynarzy), dwustu albo trzystu Indian z Indiankami, Negrów, których miano za niewolników, i dwanaście lub piętnaście klaczy i ogierów". Cortés miał doskonałego pilota, od-

krywce Jukatanu, byłego pilota Grijalvy, krótko mówiąc, człowieka, który wówczas najlepiej znał wybrzeża Meksyku, Antoniego de Alaminosa. Jak widzieliśmy, niedoświadczony pilot, Miruelo, i brak tłumacza stały się zgubą wyprawy Narvaeza na Florydę. Ale Cortesowi raz jeszcze dopisało szczęście, gdyż od Indian z wyspy Cozumel, spotkanych na morzu koło Jukatanu, udało mu się dowiedzieć o istnieniu różnych rozproszonych w tym rejonie Hiszpanów. Rozumiejąc, jakie usługi mógłby mu oddać tłumacz, wysłał list do swoich ziomków i wydzielił jeden statek, aby ich poszukał. Ta umiejętność gruntownego wykorzystywania każdej szansy jest znamieną dla Cortesa. W ten sposób przyłączył się do wyprawy Jerónimo de Aguilar: „Panie, urodziłem się w Ecija, a zabłąkałem się w sposób następujący: zaciągnąłem się na wojnę w Darién i przeżyłem cierpienia i rozczarowania Diego de Nicuesa i Vasco Nuñez Balboa; towarzyszyłem Valdivii, który małą karawelą przybył na San Domingo, aby zdać raport Admirałowi (...) w 1511 r. ...” Z opowiadania tego raz jeszcze widzimy, że chociaż Zdobywców było niewielu, umieli oni w krótkim okresie czasu pojawiać się w różnych okolicach, np. Valdivia, który najpierw towarzyszył Nicuesie w Darién i Pizarrowi w Peru, potem wybrał się na zdobycie Chile, i jak wkrótce sam Cortés, który po opanowaniu dawnego państwa azteckiego na wyżynach, przejdzie na bagna Hondurasu, a wreszcie jak Hernandez de Córdoba, który bogato obłowiwszy się peruwiańskimi resztkami, postawi wszystko na jedną kartę i zginie na Florydzie. Żądza złota nie wystarcza, aby wyjaśnić to pragnienie wybicia się, zyskania rozgłosu, odkrywania nowych krajów, pragnienie, które nie opuszczało Zdobywców, nawet kiedy już opływali w bogactwa i honory. Podboju dokonywała garść ludzi, których wówczas nie nazywano jeszcze kolonizatorami, byli to Ojeda, Bastidas, Nicuesa, Balboa, Pedrarias, Velázquez, Narváez, Grijalva, H. de Córdoba, bracia Pizarro, Orellana, Valdivia, Mendoza, Irala, Cortés, Alvarado, Rojas, Almagro, Alvar Núñez, Fr. de Garay. Nawet jeżeli sięgniemy poza listę bohaterów, których imiona wiązały się z jakąś częścią kontynentu amerykańskiego, i wyliczymy

takich notabli środowiska Zdobywców, jak Alonso de Toro w Peru, Bernal Díaz de Castillo w Gwatemali, Rodrigo de Quiroga w Chile i wielu innych, rejestr nie będzie zbyt długi. Oczywiście, że błędem byłoby nie doceniać ważnej roli całej siły zbrojnej i tych, którzy zginęli zbyt wcześnie, aby zapisać się w kronikach. Pamiętajmy zwłaszcza, że ich zdobycze i tuż za nimi postępująca kolonizacja byłyby niemożliwe bez ich nieokiełzanej żądzy przygód, a przede wszystkim bez udziału, dobrowolnego lub przymusowego, setek tysięcy Indian, „Indian przyjaciół” (*Indios amigos*) albo „Indian ujarzmionych” (*Indios de paz*). Odegrają oni decydującą rolę w zdobyciu Meksyku przez Cortesa, i dobrze świadczy o jego zmyśle politycznym fakt, że umiał ocenić ten niebezpieczny instrument i zręcznie się nim posługiwać.

Ale przeciwnikiem, który najbardziej niepokoił Hernana Cortesa, był Diego Velázquez; nie bez powodu, ponieważ gubernator wysłał za nim w pościg Narvaeza. Starania Cortesa, aby nadać swojej sytuacji pozory legalności, wskazują, jaką wagę przywiązywano w tym środowisku do form prawnych. Cortés krążył naprzód po Champotón i Tabasco, zasięgał języka u Cempoalteków i otrzymał bogate dary od Montezumy, po czym osądził, że przyszła właściwa chwila, aby zachęcić towarzyszy do skolonizowania (*poblar*) tak obiecującego kraju. Wszyscy przyklasnęli temu zamiarowi. Wówczas kapitan zaproponował, aby mianować ławników, alkadów itd., którzy sprawowałiby władzę tymczasową, zanim król wedle własnej woli zadecyduje o losach miasta; miało ono nosić miano „bogate miasto Vera Cruz” (Prawdziwy Krzyż). „Cortés wziął w posiadanie cały ten kraj, wraz z tym, co miano jeszcze odkryć, w imieniu cesarza Karola, króla Kastylii. Sporządził też inne akty, wymagane w podobnych okolicznościach, a poświadczył je obecny tam Francisco Fernández, pisarz królewski. (...) Następnie Cortés mianował alkadów, *regidores*, radców miejskich, prokuratora, alguazila oraz pisarza i obsadził wszystkie inne urzędy, konieczne, aby skompletować radę miejską, w imieniu cesarza, naturalnego władcy. (...) Wypełniwszy te formalności, Cortés natychmiast dokonał jeszcze jed-

nej, w przytomności tegoż pisarza i nowych alcadów, którymi zostali Alonso Fernández Portocarrero i Francisco de Montejo; aktem tym wyrzekł się, ustąpił i przekazał w ich ręce i do ich dyspozycji, jako urzędników zwyczajnych króla, dowództwo i rangę kapitana oraz odkrywcy, jaką mu byli nadali bracia hieronimici, którzy mieszkają na Wyspie Hiszpańskiej i zarządzają nią w imieniu Jego Królewskiej Mości. Oświadczył również, że nie chce korzystać z pozwolenia, którego udzielił mu Diego Velázquez, gubernator na Kubie z ramienia Admirała Indii, żeby prowadził handel i „odkrywał”, poszukując Juana de Grijalvy, ponieważ żaden z wyżej wymienionych nie miał władzy ani prawa w tym kraju, który on sam i jego towarzysze właśnie odkryli i który zaczęli kolonizować w imieniu króla Kastylii, jako naturalni i lojalni jego wasale; i kazał im przyjąć akt owej deklaracji, oni zaś to uczynili”. W ten sposób opisuje rzecz Gómara, w jakieś trzydzieści lat później; mimo iż prawda jest tutaj nieco spreparowana (wszystko dzieje się niby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, gdy tymczasem Cortés ryzykował głową), intencje Zdobywcy są tym wyraźniejsze. Cortés, który całą swoją władzę otrzymał od Diego Velazqueza i wiedział, że chce on mu ją odebrać, przetwarzał w ten sposób swoją misję kapitana-odkrywcy i kupca w misję kolonizatora nowego kraju, gdzie wszystkie władze istniejące na Antylach były bezsilne. Z chwilą gdy koloniści (*pobladores*) założyli miasto i utworzyli radę miejską, tylko król mógł im wyznaczyć gubernatora. Tymczasem, jako prowizorium, Cortés skłonił swoich towarzyszy, aby uczynili go *alcado mayor* miasta Vera Cruz (miasta równie fikcyjnego, jak jego rada miejska, zorganizowana przez podwładnych Zdobywcy) i *capitán general* Meksyku, o którego obszarze, ludności i siłach zbrojnych nic jeszcze nie było wiadomo. Ciekawie łączy się tutaj przebiegłość prawnicza z amerykańską donkiszoterią. Cortés, którego wraz ze wszystkimi towarzyszami mogły unicestwić liczne zastępy wojowników meksykańskich (jak się to przydarzyło innym Zdobywcom), myślał przede wszystkim o nadaniu swemu przedsięwzięciu podstawy prawnej, chociażby wątpliwej,

o uregulowaniu swego stosunku do monarchii kastylijskiej.

Jego podwładny, Bernal Díaz del Castillo, odtworzył w dosadnych słowach kampanię wyborczą, jaką Cortés (który musiał się liczyć z opozycją stronników Diego Velazqueza, dość licznie reprezentowanych wśród uczestników wyprawy) poprzedził swój mistrzowski, iście makiawelski chwyt: „Powiedziałem już, że krewni i przyjaciele Diego Velazqueza szerzyli zamęt w obozie, aby nam utrudnić dalszą drogę i aby nas skłonić do zawrócenia stąd, z San Juan de Ulloa, na wyspę Kubę. Sądzę, że Cortés przeprowadził już pertraktacje z Alonso Hernandezem Puertocarrero i Pedro de Alvarado oraz jego czterema braćmi: Jorgem, Gonzalem, Gomezem i Juanem, którzy wszyscy nosili nazwisko Alvarado, a także z Christobalem de Olidem, Alonso de Avilą, Juanem de Escalante, Francisco de Lugo, jak to uczynił i ze mną, i innymi rycerzami i kapitanami; mieliśmy go prosić, aby został kapitanem (*capitan general*). Zrozumiał to należycie Francisco de Montejo i Alonso Puertocarrero, i Juan de Escalante i Francisco de Lugo (Lugo i ja byliśmy trochę krewni i pochodziliśmy z tych samych okolic), więc rzekli mi: — Dalejże, panie Bernal Díaz del Castillo, weź broń i chodź z nami na patrol nocny, będziemy towarzyszyć Cortesowi, który ma obejść posterunki. — A gdy znalazłem się z dala od baraku, powiedzieli: — Posłuchajcie panie i zachowajcie w tajemnicy to, co wam w dwóch słowach powiemy, bo rzecz to bardzo ważna; niech wasi towarzysze, którzy są w naszym obozie, tego nie usłyszą, gdyż są to stronnicy Diego Velazqueza. — I oto co mi powiedzieli: — Czy uważacie za słuszne, panie, że Hernán Cortés w ten sposób nas oszukał, głosząc na Kubie, że będzie kolonizować (*poblar*), a teraz dowiedzieliśmy się, że nie ma władzy, aby to czynić, lecz tylko prowadzić handel, i chcą teraz, abyśmy wrócili do Santiago de Cuba ze wszystkim złotem, jakieśmy mieli, i wszyscy będziemy zhańbieni, zaś Diego Velázquez zabierze złoto, jak ostatnim razem? Widzicie, panie, przyjeżdżaliście już trzy razy, wydając swoje mienie, i za dłużyliście się, narażając tak często na szwank wasze

życie z przyczyny wszystkich otrzymanych ran; ogłoszmy to, panie, aby udaremnić ów zamiar powrotu, bo wielu nas jest rycerzy pragnących jak wy, aby ten kraj zasiedlony został w imieniu Jego Królewskiej Mości, i to przez Hernana Cortesa w jego królewskim imieniu, i aby to oznajmić w Kastylii naszemu królowi i panu, o ile to tylko możliwe; przyrzeknijcie więc, panie, oddać swój głos, abyśmy go wszyscy wybrali na kapitana (głównego kapitana), jednomyślnie, gdyż służba Bogu i królowi, naszemu panu, tego wymaga". Bernal Díaz dał się przekonać przemowie tak sugestywnej i tak dla nas pouczającej; istotnie bowiem obnaża ona dążenia i czułe punkty anonimowego Zdobywcy.

Wynagrodzeniem dla niego mogła być tylko kolonizacja, to znaczy podbój, rozdział łupu, *repartimientos* Indian. Tak więc prywatne interesy towarzyszy Cortesa szczęśliwie zgodne były ze służbą Bogu i królowi, których panowanie ziemskie chciano rozszerzyć. Istniała jedna tylko przeszkoda: Cortés, kapitan wyprawy Diego Velazqueza, nie miał mandatu kolonizatora, lecz misję handlową. Prawdziwe zamiary Zdobywcy wychodzą tutaj na jaw, gdy Bernal Díaz przypomina, że Cortés werbował ludzi na Kubie do akcji kolonizacyjnej — mimo że nie miał po temu prawa. „Zdradę” swoją przygotowywał więc już od dawna, ale był dość zręczny, aby to ukrywać, aby udawać, że uległ presji swoich ludzi. Jednakże „krewniacy i przyjaciele Diego Velazqueza, którzy byli znacznie liczniejsi od nas (pisze Bernal Díaz), dowiedzieli się wreszcie o tym i oświadczyli Cortesowi w ostrych słowach, że nie mogą pojąć, dlaczego intrygował, aby zostać w tym kraju, zamiast udać się z raportem do tego, który wysłał go jako kapitana, i że rozgniewa to Diego Velazqueza; chcieli, abyśmy natychmiast wsiedli na statki i aby on przestał potajemnie kaptować żołnierzy, bo nie ma ani zapasów jedła, ani dość ludzi, ani możliwości kolonizowania. Cortés odpowiedział im, nie okazując gniewu, i oświadczył, że ten plan mu odpowiada i że nie postąpi wbrew instrukcjom otrzymanym od Diego Velazqueza; kazał natychmiast ogłosić, że wszyscy wsiadamy jutro rano, każdy na ten statek, na którym

quitlaqualmacaque .



Ryc. 14. *Justicia mayor, capitan general*, Hernán Cortés i jego sojuszniczka La Malinche (Lienzo de Tlaxcala)

przybył”. W ten sposób obrócił na swoją korzyść działania przeciwników, gdyż zaledwie rozkaz powrotu został ogłoszony, jego stronnicy zaprotestowali... spontanicznie i zmusili go do pozostania: „Cortés uległ więc, ale kazał się długo prosić, chociaż niczego bardziej nie pragnął, i ustąpił pod warunkiem, że uczynimy go *justicia mayor* i *capitán general*, a najgorsze ze wszystkiego, to że przyznaliśmy mu piątą część złota, po wpłaceniu jednej piątej dla króla”. Trudno z większą dobroduszością nakreślić bardziej makiawelski portret. Zręczność Cortesa w posługiwaniu się żołnierzami dorównuje tylko sztuce,

z jaką potem postara się, aby jego uzurpatorską władzę uznał król i Rada Indii, gdzie Diego Velázquez miał potężnych przyjaciół. Podbój, jeśli chodzi o kapitana, to przede wszystkim zjednanie sobie ludzi, a później, po zagarnięciu władzy, zdobycie aprobaty dworu, legalności. Między jednym a drugim stadium często przypadał moment pozbycia się rywali; jeśli chodzi o Cortesa, posłużył się w tym celu ekspedycją karną wysłaną z Kuby pod dowództwem Narvaeza; jego talent (okaże go później w stosunku do Velazqueza de Ayllon) polegać będzie na zwyciężaniu bez rozlewu krwi. Cortés, podobnie jak *Książę Machiavellego* umiał być na przemian lwem lub lisem, ale bywał lwem tylko wówczas, gdy już żadną miarą nie mógł postąpić jak lis.

Wojny domowe w Peru

Mamy nadzieję, że w obszernych wywodach poświęconych wewnętrznym dziejom Podboju, udało się nam ukazać siłę więzów, jakie łączyły Zdobywców. W świadomości Zdobywców może bliższy im i ważniejszy niż ujarzmienie Indian (wkrótce już uważanych za łup wojenny, podobnie jak złoto lub perły), był podbój Nowego Świata, widziany jako wewnętrzna sprawa Hiszpanii, gdzie związki osobiste, regulowanie rachunków, opanowanie wojsk przez ich dowódców, zabiegi dyplomatyczne kleru i korupcja urzędników (*licenciados*) odgrywały decydującą rolę. Prowincjonalne konflikty Półwyspu Iberyjskiego tu znajdują stałe echo; jest rzeczą znaną, że chcąc zdyskredytować Cortesa w oczach Diego Velazqueza, jego wrogowie rozpoczynają listę jego wad od tego, że pochodził z Estremadury! Słyszeliśmy również, że Bernal Díaz łatwo daje się pozyskać klanowi Cortesa, bo jest „krajanem” Franciszka de Lugo. Zapewne można by napisać geografię polityczną Nowego Świata, a zwłaszcza wypraw zdobywczych, opierając się na danych o regionalnym pochodzeniu Zdobywców i korygując je w zależności zarówno od sporów rodzinnych (Cortés miał w swoim obozie jednego z bratanków Diego Velazqueza),

jak od przyjaźni i antypatii, zrodzonych w latach kolonialnego stażu na Antylach pomiędzy ludźmi, którzy się tam ze sobą zetknęli. Wartością *Historii* Bernala Diaza jest ukazanie nam losu i ambicji tego swego rodzaju proletariatu wojskowego, który, często przybyły z Włoch, a później z Flandrii, dostarczył Podbojowi żołnierzy (*peones*, czyli piechurów). Wyróżnienie się i wzbogacenie było dla tej kategorii ludzi prawie zawsze iluzoryczne. Kiedy pobrano jedną piątą dla króla, jedną piątą dla kapitana i najcenniejszą część łupu dla jego oficerów, żołnierzom zostawały jedynie okruchy. Bernal Díaz i inni opowiadają, jak żołnierze, którym udało się złowić piękną Indiankę, ukrywali ją, gdy przyszła chwila podziału, bojąc się, że wpadnie w oko któremuś z dowódców, a potem pokazywali ją mówiąc, że z dobrej woli do nich przystała, bo korzystniej dla nich było sprzedać ją dobrze niż pozwolić ją sobie ukraść lub narazić się zwierzchnikowi. *Repartimientos* były stałym źródłem konfliktów i spisków, kończących się zamordowaniem kapitana, albo egzekucją



Ryc. 15. Po rozdziale zdobyczy — porachunki

spiskowców (spiski zawiązywali Zdobywcy, kiedy uznali, że przyznano im za mało Indian). Wojna domowa, jaka rozpętała się w Peru pomiędzy klanem Pizarra a klanem Almagra, powodując trwałe podziały wśród Zdobywców, jest tego najbardziej znanym przykładem. Początkiem była klęska Almagra, który po daremnych próbach zdobycia Chile zmuszony był tam wrócić. Zwyczajny proceder, który polegał na „oczyszczaniu terenu”, ażeby sobie wykroić lenno, nie był tu możliwy z racji zaciętego oporu Mapuczów i Araukanów. To, co można by nazwać „podbojem rabunkowym”, przez analogię do rabunkowej gospodarki, prawdopodobnie zakończyło się właśnie w tym czasie (1536 r.). Tym razem fala Zdobywców musiała się zatrzymać przed murem tubylczych wojowników, a nie na granicy wytyczonej przez naturę. Almagro powrócił więc do Peru z postanowieniem, że będzie się domagał należnej mu obfitej części bogactw zagrabionych Inków, chociaż na mocy układu między Pizarrem i Almagrem, Pizarro zatrzymał Peru, wyrzekł się natomiast Chile, które uchodziło za nowe Eldorado. Zawód, jakiego doznał Almagro, nie wzruszył Pizarra. Almagro opanował Cuzco i kazał się uznać gubernatorem; uwięził Fernanda Pizarro, a potem uwolnił go za wstawiennictwem Diega de Alvarado, który służył za mediatora pomiędzy Francisco Pizarrem i Almagrem. Lecz wkrótce pizarryści łąmą ten nowy układ i oblęgają Cuzco. Odniosłszy zwycięstwo, wywierają krwawą zemstę; Diego de Almagro zostaje stracony, po parodii procesu. Gómara wyciąga morał z tego zdarzenia: „Zwycięstwo (pizarrystów) i uwięzienie Almagra wzbogaciło jednych i zubożyło drugich, takie jest prawo wojenne, a zwłaszcza wojny domowej, ponieważ toczy się ona pomiędzy współobywatelami, sąsiadami i krewnymi”. Walka przybrała teraz postać bezlitosnej wendety. Francisco Pizarro został wkrótce zamordowany przez syna Diega de Almagro (który nosił to samo imię co jego ojciec) i jego stronników. Lecz Almagro młodszy również zginął od sztyletu kapitana Vaca de Castro. Zostawszy w końcu panami Peru, pizarryści nie przestali waśnić się o swoją zdobycz z samą monarchią i w pierwszej fazie (kiedy zbuntowali się przeciwko wprowadzeniu

w życie *Nowych Praw*) zyskali przewagę. Wicekról Blasco Núñez Vela został pokonany i zabity pod Quito. Działo się to w 1544 r. i dopiero w 1548 r. zręczny *licenciado* de la Gasca, przysłany w celu przywrócenia porządku, pobił Gonzalo Pizarra pod Xaquixaguana i skazał na haniebną śmierć. Bilans sporządzony przez Gomarę w jego *Historia general de las Indias*, jest bardzo wymowny: „Ponad stu pięćdziesięciu kapitanów i urzędników straciło życie, jednych zabili Indianie, inni wymordowali się wzajemnie, większość zginęła na szubienicy”.

Ta burzliwa historia rozgrywa się na przestrzeni pierwszych dwudziestu lat istnienia wicekrólestwa Peru, po zdobyciu Cuzco. Jest to przykład podboju nietrwałego; na dwa jego oblicza zwracaliśmy już uwagę. Podbój Indian był jeszcze słabo ugruntowany, jak wykazało powstanie, które zorganizował Manco Capac, nowy Inka, obwarowawszy się w okolicach Vilcalamba w 1537 r. Dopiero w 1572 r. Hiszpanie zdobyli jego państwo i uśmiercili jego następcę, imieniem Tupac Amaru. Jeszcze złudniejsza była władza dowódców nad wojskiem. Wojna pomiędzy pizarrystami i almagrystami odsunęła na dalszy plan walkę przeciwko buntującym się Indianom. Natomiast ważna była rola Indian ujarzmionych lub sprzymierzonych. Prócz siły roboczej dostarczyli oni licznych wojsk pomocniczych obu wojującym z sobą partiom Hiszpanów. Oblężenie Cuzco przez pizarrystów (było to już drugie od zdobycia tego miasta Inków) było właściwie walką pomiędzy Indianami.

Trzecim wreszcie aspektem podboju Peru była zdrada Zdobywców i odzyskanie kraju przez wojska wierne monarchii. Wierność ta była zresztą względna. Liczba zwolenników władzy monarszej wahała się zależnie od losów walki, obietnic amnestii dla odstępców i kar na niepoprawnych buntowników. Ograbieni spadkobiercy i niedobitki klanu Almagra opowiedzieli się po stronie króla raczej z nienawiści do pizarrystów niż z przywiązania do germańskiego króla Karola I, który zdławił bunt szlachty kastylskiej. Podbój Peru, mimo że ukazuje tak różnorodne aspekty, nie stanowi wyjątku. Podobne były konflikty wszystkich podbojów hiszpańskich w Nowym Świe-

cie, w Peru jednak osiągnęły one szczyty gwałtu i przemocy z dwóch zrozumiałych powodów. Pierwszym powodem, politycznym, był dwugłowy system Pizarro-Almagro, jaki istniał w początkach podboju państwa Inków. W tej atmosferze musiało to doprowadzić do zguby jednego z *caudillos*. Zdając sobie z tego sprawę, Pizarro i Almagro postanowili przeprowadzić podział: Peru dla jednego, Chile dla drugiego. Opór tubylców i względne ubóstwo cennych metali w Chile, odkrycie nowych i działających na wyobraźnię bogactw kopalnych w Peru sprawiło, że zrewidowano pierwotny układ. Istniejące już poprzednio napięcie stosunków pomiędzy dwoma wodzami wzrosło wobec nowej stawki i rozgoryczenia Almagra po powrocie z Chile. Każdy z nich, opierając się na licznych klanach rodzinnym i na klienteli (w sensie rzymskim), tak zwanych *paniguados*, stanowił punkt o wielkiej sile przyciągania, biegun społeczny, i cieszył się prestiżem zdolnym pchnąć stronników do walki. Do wojny, jaką prowadziły ze sobą te dwa jednakowo silne klany, miał się wmieszać trzeci partner, Karol V. Z przyczyn politycznych nie mógł on akceptować zdrady, która wkrótce miała się okazać zaraźliwa, a przy tym, jak Pizarro i Almagro, i on był chciwy złota. Obaj Zdobywcy mieli wydatki prywatne, król zaś — ambicje polityczne, a przy tym musiał finansować wojny w Europie: „Żąda się tylko ludzi i złota, gdyż jest to pokarm wszystkich wojen”, napisał trzeźwo kronikarz Gonzáles de Najera. Niektórzy Zdobywcy nabawili się jakiejś niezidentyfikowanej dotąd choroby, skutkiem której żółkła im cera, Gomara czyni więc dowcipną uwagę, iż może to być następstwem nadmiernej miłości do złota. Kopalnie w Potosi były główną przyczyną wojny pomiędzy stronnikami Pizarra a zwolennikami Almagra, a potem między stronnikami Pizarra a monarchią. Indianie w tym dramacie byli najpierw tylko przeszkodą militarną, po czym stali się niezbędną rezerwą siły roboczej, którą niewolnicza praca w kopalniach, *mita*, wyczerpywała w przerażającym tempie.

Wszystkie konflikty Podboju są do siebie podobne, ale mamy tu do czynienia z czymś więcej niż z analogią; wszystkie zagadnienia bowiem łączą się tu z sobą. Ośrod-



Ryc. 16. Stawka, o którą walczono: kopalnie złota w Potosi

kiem geopolityki hiszpańskiego państwa Indii wkrótce stają się kopalnie w Peru. Wynikiem tego był kwitnący handel niewolnikami pomiędzy Chile a Peru, który miał uzupełnić ginącą peruwiańską siłę roboczą. W późniejszych czasach handel i hodowla mulów do transportu przez Andy przyniosła bogactwo obszarowi, który dziś stanowi część Argentyny. Ale ok. 1540 r. była to jeszcze muzyka przyszłości. Gdy rozczarowanie zdobywców Peru popchnęło ich ku Chile, kraj ten szybko nabrał znaczenia strategicznego, zamieszki w Chile zagrażały bowiem pobliskim kopalniom peruwiańskim, które były ważne nie tylko dzięki bogatym pokładom złota, ale bardziej jeszcze dlatego, że Nowy Świat był już w dużej części odkryty. Wszystkie mityczne skarby albo były już znane, albo się ulotniły. *Cabalgadas* (kawalkady, czyli grabieże) nie dawały już takich zysków jak w pierwszym okresie; rozpoczynała się faza eksploatacji kolonialnej, we właściwym tego słowa znaczeniu.

Wśród bogactw indyjskich na pierwsze miejsce wysuwało się Peru, ono więc stało się sercem imperium hiszpańskiego; tutaj mogły się w całości rozegrać jego losy, a wraz z nimi los polityczny Hiszpanii w Europie. Właśnie po to, aby dostać się do peruwiańskiego złota, zbadano bieg Parany, strzeżono Cieśniny Magellana, a wreszcie podjęto walkę przeciwko piratom w Przesmyku Panamskim i na Wyspach Karaibskich oraz zorganizowano słynne konwoje galionów aż do Sewilli. Wszystkie te racje, już sformułowane albo jeszcze potencjalne, nadały wojnom domowym w Peru niezwykle gwałtowny charakter i szczególną doniosłość.

Valdivia

Sąsiednie Chile, które potrafiło zniechęcić nawet samego Almagra, zostało zdobyte, nie na długo zresztą, przez innego kapitana, Valdivię, i aż do ostatnich lat XIX w. miało być widownią buntów Indian. Jest to jedna z niewielu zdobyczy hiszpańskich w Indiach, gdzie opór tubylców stale odgrywał bardzo ważną rolę. Nie można zjawiska tego wyjaśnić ani poczuciem narodowym Indian, ani brakiem zręczności politycznej u Valdivii (jeden z jego przeciwników, pobity, powiedział: „Jest to sprawka albo Valdivii, albo diabła we własnej osobie”). Raczej rozdrobnienie polityczne, koczowniczy tryb życia i tradycje wojny partyzanckiej pozwoliły Araukanom tak skutecznie bronić swego kraju. Innym źródłem słabości kolonii hiszpańskiej w Chile było rozproszenie się Valdivii i jego towarzyszy na długim pasie tego terytorium. Można by sądzić, że pamiętając o niesnaskach w Peru, skąd właśnie przybywali, chcieli uniknąć sąsiedztwa swoich towarzyszy broni. Każdy wykroił sobie ogromne lenno. Pojęcie „oczyszczania terenu” stosowano tutaj z niezwykłą bezwzględnością. Ten rabunkowy podbój stracił w ten sposób na bezpieczeństwie to, co zyskał na rozciągłości. Łatwo sobie wyobrazić, jakie było położenie tych kilku setek, a potem kilku tysięcy ludzi na tak ogromnym obszarze. Oddaleni od siebie, nie ważnili się z sobą zbyt często,

ale nie chcieli nic o sobie wiedzieć i bardzo wcześnie zaczęli odmawiać sobie wzajemnej pomocy w walkach przeciwko Indianom. Najzaciętszy opór stawili w Nowym Świecie Araukanie. Współczesny nam poeta Pablo Neruda opiewał te walki, podczas których mróz, wiatr i moczary skutecznie pomagały w boju wodzom, podobnym do kamieni i drzew, oraz gęstym jak las zastępom indyjskich wojowników. Walki Araukanii już w czasach podboju dostarczyły tematu literaturze: kapitan Alonso de Ercilla w *La Araucana* pierwszy sławił, w formie wierszowanej epepei, bohaterstwo Zdobywców, tym większe, że i Araukanie okazywali niezwykle męstwo.

Almagro wkroczył do Chile z pięciuset trzydziestoma ludźmi (i licznymi Indianami-sprzymierzeńcami). Ale wszyscy ci odważni żołnierze, zatwardziali w walkach Zdobywcy, „mający za sobą ciężkie próby, poznawszy, co to głód i chłód, co to walka z ludźmi ogromnej postawy i nader zręcznymi łucznikami” (pisze Gómara), musieli wrócić do Peru jako niedobitki. Było to w 1536 r. Zatarg, jaki wynikł wówczas (a raczej odżył) pomiędzy Pizarrem i Almagrem i miał doprowadzić do zguby tego drugiego, w pewnym sensie odciągnął Zdobywców od Chile. Właściwa Podbojowi dynamika, która, jak gdyby z lęku przed próżnią, sama siebie nieustannie prześcigała — „dalej, dalej, i jeszcze dalej”, jak głosiła dewiza kapitana Bernardo de Vargas Machuca — miała pchnąć nową wyprawę (*entrada*) do Chile. Można by się dziwić, że po przeciwnościach, jakich doznał Almagro, znaleźli się jeszcze amatorzy, ale zjawisko to powtarzało się wszędzie, m. in. na Florydzie. Urok legendarnych bogactw, szybkie zubożenie rejonów już podbitych, nierówność rozdziału (*repartimientos*) Indian, chęć, aby być pierwszym albo jednym z pierwszych, nieustannie budziły „powołanie” u coraz to nowych zdobywców. Trzeba przyznać, że powołanie to było silnie ugruntowane; Zdobywca tylko wtedy uważał, że wyprawa mu się powiodła, gdy stawał się jednym z głównych jej beneficjentów; dopóki istniał jeszcze w Ameryce zakątek nieujarzmiony, każdy wierzył, że ma pełną szansę, aby nadać mu swoje imię. Widzimy w tym nie tyle, jak pisano, nowoczesny indywidualizm,

ale raczej pozostałość feudalnego sposobu myślenia. Niezadowoleni mieli przed sobą dwie drogi: wyruszyć (*descargar la tierra*) „oczyszczając teren”, ku nowym zdobyczom terytorialnym, albo spiskować na miejscu i obalić dowódcę czy też zażądać od niego nowego podziału (*nuevo repartimiento*) Indian branych w *encomienda*, łupu i władzy. Widzieliśmy, jak Almagro spróbował pierwszej drogi, wkraczając do Chile, a potem, kiedy droga ta okazała się nie do przebycia, obrał inną, zdobywając Cuzco, gdzie rządził krewniak jego niedawnego sprzymierzeńca, Francisco Pizarra. Obie drogi były niebezpieczne; zdaje się, że biorąc rzecz statystycznie, druga z nich częściej prowadziła do śmierci (dowódcy będącego przy władzy albo jego współzawodnika). Fakt ten wzmacnia nasze przekonanie o doniosłości zatargów, jakie wybuchały pomiędzy Hiszpanami podczas wojen Podboju. Valdivia jest dla nas ciekawym przykładem braku równowagi, jaki cechował Zdobywców. Wcale bowiem nie był pokrzywdzony przy *repartimientos* w Peru; Pizarro zrobił go „panem licznych Indian”. Dawny oficer armii hiszpańskiej, która w Księstwie Mediolańskim stawiała opór wojskom Franciszka I, Valdivia przeniósł się następnie do Indii, aby tam próbować szczęścia. Pizarro mianował go komendantem obozu. Ta świetna funkcja czyniła go narzędziem zemsty Pizarra nad Almagrem. W 1540 r. czekała go w Peru przyszłość bogatego i możnego *encomendero*.

Ale Valdivia „pomyślał, że (w Peru) będzie tylko zwyčajnym prywatnym człowiekiem; ponieważ zaś żywił większe ambicje i widział sposób zdobycia tego, czego pragnął, dzięki zobowiązaniom, jakie miał wobec niego Francisco Pizarro, umówił się z nim, że Pizarro wyśle go jako swego kapitana i w swoim imieniu, aby kolonizował (*poblar*) krainę Chile”, jak pisze Góngora Marmolejo. Widzimy więc, że Valdivia starał się o pewnego rodzaju inwestyturę u Pizarra; wiedział, że zapleczem jego będzie Peru, zarówno w sensie zaopatrzenia, jak strony prawnej. Kapitan Mariño de Lobera podaje, że ów pionier „był prawym synem Pedra de Onças de Melo, Portugalczyka bardzo *hidalgo*, i Izabeli Gutierrez de Valdivia, rodem z miasta Campanario w Estremadurze, z wielce

dostojnej rodziny; ożenił się w Salamance z damą nazwiskiem doña Marina Ortiz de Gaete". Kronikarz Chile wyraźnie stara się nakreślić możliwie najszlachetniejszy wizerunek bohatera-założyciela. Żywy jeszcze duch feudalny, stwarzając podstawową więź pomiędzy człowiekiem a jego posiadłością, wymagał, aby wielki kraj miał wielkiego założyciela. Po pierwsze więc, Valdivia nie był bastardem, choć na pewno w Indiach było ich wielu. Jego ojciec był „bardzo hidalgiem”, ów superlativus znaczy zapewne: „bez cienia wątpliwości”, gdyż wątpliwych *hidalgos* wielu kręciło się w Nowym Świecie. Jego matka również była szlachcianką. Valdivia posiada więc wszystkie warunki wstępne, aby stać się w Nowym Świecie señorem, to znaczy człowiekiem, który posiada wasali, do czego w Starym Świecie miał prawo już z samego tytułu urodzenia. Co więcej, poślubił damę, tj. pannę z warstwy szlacheckiej. Ten idealny portret znakomitego kapitana tak natrętnie kładzie nacisk na jego szlacheckie pochodzenie, że budzi nieufność. Inny wielki kronikarz Chile, Góngora Marmolejo, przedstawia nam Valdivię jako człowieka pełnego cennych zalet, „ale dwie rzeczy zaćmiewają wszystkie jego cnoty: czuł wstręt do szlachty i żył zwyczajnie w konkubinacie z jakąś Hiszpanką”... Zmienia to nieco portret nakreślony przez Mariña de Lobera. Byłoby rzeczą niezwykłą, aby stuprocentowy szlachcic tak nie cierpiał szlachty! Wiemy zresztą, że uzurpowanie sobie szlachectwa i jego przywilejów było stałym zjawiskiem w Indiach (tak jak i w Hiszpanii). Valdivia, jak wielu Zdobywców, żonę zostawił w Hiszpanii (porzucił ją już wtedy, gdy wyruszył na wojaczkę do Księstwa Mediolańskiego), ale w odróżnieniu do większości Zdobywców, przywiozł z sobą kochankę. Konkubinat nie był niczym wyjątkowym, ale najczęściej stosunki tego rodzaju łączyły Hiszpanów z Indiankami. Gracz, jak prawie wszyscy jego towarzysze, był graczem nie lada i „gdy został panem, okazywał wielką hojność”; ambicją Zdobywców było bowiem zbić majątek i grać wielkiego pana! I, ciągnie dalej Mariño de Lobera, „pewnego dnia jednym rzutem wygrywa od kapitana Bachicao czternaście tysięcy złotych pesos”, po czym natychmiast mu je zwraca. Za-

dza złota, którą tak słusznie potępiano u Zdobywców, przybierała w ostatniej swojej fazie postać hojności.

Taki był człowiek, który w październiku 1540 r. wkroczył do Chile, „porzucając *encomienda* Indian, która przynosiła mu wielkie dochody”. Towarzyszyło mu „około stu sześćdziesięciu wyborowych żołnierzy, przeważnie konnych”. Przypomnijmy sobie, jakie usługi oddawała konnica w pierwszym okresie Podboju, nie tylko dlatego, że zapewniała Hiszpanom szybkość poruszania się, ale także dzięki temu, że widok koni budził w Indianach wielki lęk. W miarę jak ten mały oddział posuwał się przez południowe prowincje Peru, Valdivia werbował nowych żołnierzy. To również było charakterystyczne dla podbojów w Nowym Świecie. Wokół słynnych kapitanów wytwarzało się coś w rodzaju pola magnetycznego, Valdivia zaś zdobył już sobie rozgłos we Włoszech. Przyjmował w swoje szeregi niedobitki innych wypraw (*entradas*), zakończonych niepowodzeniem. Ludzie, którzy wyszli cało z nieudanej ekspedycji, zwykle zadłużeni, nie mieli innej drogi, jak znowu próbować szczęścia na wielkiej loterii odkryć. W tym wypadku Chile okazało się dla Valdivii tak samo niegościnnie, jak poprzednio dla Almagra: „Indianie walczyli nieustannie z Hiszpanami i nie zostawiali im Indian do pracy; wobec braku tych ostatnich, nasi sami kopali ziemię, siali i spełniali wszystkie prace niezbędne, aby mogli utrzymać się przy życiu” — opowiada Gómara. Ale to, co pisze dalej jest szczególnie charakterystyczne i świadczy, że Zdobywcy, wykarmieni na Biblii i rycerskich romansach, mieli wielką skłonność do złudzeń. „Lecz pomimo wszystkich przeciwności i całej nędzy odkryli wielki szmat kraju wzdłuż wybrzeża i dowiedzieli się o pewnym władcy imieniem Leuchen Golma, panującym na pobliskiej wyspie, na której wznosiła się ogromna świątynia z dwoma tysiącami kapłanów; dowiedzieli się też, że dalej mieszkają Amazonki, których królowa zwie się Guanomilla, co znaczy „złote niebo”, z czego wielu ich wnioskowało, że kraj to być musi nader bogaty”. Na takich to niepewnych informacjach opierali się Zdobywcy zapuszczając się w krainy niedostępne lub wrogie. Przez lat trzynaście Valdivia nie porzuciła

niepewnej zdobyczy, kraju, gdzie miał znaleźć śmierć. Naiwna chciwość i legendarne fantazje splatały się w duszach tych wojowników, którzy przywlekli z sobą z Hiszpanii również klótnie rodzinne i sąsiedzkie. Claude Lévi-Strauss słusznie napisał, że Hiszpanie wyprawiali się nie tyle, aby zyskać nowe, ale raczej sprawdzić stare wierzenia, prorocтва Starego Testamentu i mity greckolacińskie, jak mīt Atlantydy i Amazonek. Z tym dziedzictwem judeo-lacińskim łączyły się mity średniowieczne, np. o państwie księdza Jana, oraz legendy Indian: o Siedmiu Miastach, Eldorado, Źródle Bimini itd. Chrześcijański pierwiastek cudowności dominował oczywiście w umysłach ludzi, którzy uważali się za żołnierzy Chrystusowych. Historyk angielski Robertson napisał w XVIII w. nie bez złośliwości: „Wszyscy awanturnicy hiszpańscy tego stulecia (XVI w.) uważali się za powołanych przez samego Boga do szerzenia wiary chrześcijańskiej; im mniej nadawali się do pełnienia tego posłannictwa z powodu ignorancji i złych obyczajów, z tym większą żarliwością wypełniali swą rzekomą misję”.

Święta wojna, narzucona Hiszpanom od IX w. przez zaborczość narodów islamu, nadała całej walce zbrojnej przeciwko niewiernym charakter religijny obowiązkowy, a nawet stała się najdoskonalszą formą wyznawania wiary w Jezusa Chrystusa, toteż kronikarz Indii, Gonzalo Fernández de Oviedo, tak wyraził ogólne przekonanie: „Któż może wątpić, że proch wystrzelony przeciwko Indianom, jest dla Pana Naszego niby kadzidło?” Czyż w takim klimacie duchowym mogło kogoś dziwić, że samo Niebo pospieszyło na pomoc Valdivii, gdy znalazł się w opresji? Postępował on, nie tylko wobec Indian, ale i w stosunku do własnych towarzyszy, z okrucieństwem godnym zbrodni Cortesa, Pizarra i Pedrariasa. Kiedy spostrzegł, że jego ludzie załamują się i dowiedział się o powstaniu partii skłonnej do powrotu do Peru, kazał aresztować przywódców spisku i powiesić ich w obecności wszystkich, komentując ten akt tyranii w umoralniających przemówieniach przeplątanych pogroźkami. Podobne praktyki były regułą gry, a nawet powodzenia; Kolumb, ponieważ nie chciał się do nich uciec, o mało nie

został przez swoich towarzyszy wrzucony do morza. Ale miecz umaczany we krwi chrześcijan obmywała, że się tak wyrazimy, krew Maurów, Barbarzyńców, niewiernych lub heretyków (luteranów). Ciągłość, jaka istniała pomiędzy *guerra de Moros* (wojną przeciwko Maurom) i *guerras de Indios* (wojnami przeciwko Indianom), była tak oczywista, że Zdobywcy nawet świątynie pogańskie Nowego Świata nazywali moszeami (*mezquitas*). To, co określano wielkim słowem Renesans, ogarnęło w Hiszpanii (jak i w pozostałych krajach Europy) tylko elitę, szczupłą i podejrzaną Inkwizycji. Lud i znaczna część szlachty oraz kleru w XVI w. myślała wciąż jeszcze kategoriami późnego średniowiecza i operowała jego systemem wartości. Reakcja na reformę Lutra, zwana kontrreformą, miała, po śmierci Erazma i papieża Pawła III, zwiększyć jeszcze to opóźnienie w wielu dziedzinach. Z chrześcijaństwa jedno tylko zachował żołnierz Chrystusowy w Indiach: cel strategiczny, a była nim geograficzna ekspansja państwa, w którym katolicyzm uznany był za religię państwową.

Jedynie nazwa była wspólna żołnierzom chrześcijańskim Podboju i żołnierzowi, którego opisał Erazm w *Enchiridion militis christiani*. Ale w czasie gdy Valdivia wojował w Chile, *Doktryna chrześcijańska* Fray Juana de Zumarragi, pierwszego biskupa Mexico, inspirowana przez Erazmiańskie koncepcje wiary odnowionej, służyła za hasło zakonom żebrzącym, które głosiły Ewangelię w Meksyku. Należy bowiem rozróżnić dwie warstwy chrystianizmu w podboju: chrystianizm Zdobywców, wojowniczy i przesądny, oraz chrystianizm misjonarzy, utopijny (*Utopia* Tomasza Morusa ukazała się w 1516 r.) i ewangeliczny. Między przedstawicielami obu kierunków panowało ciągle napięcie, a często dochodziło nawet do otwartej walki. Cudowne interwencje św. Jakuba Apostoła w walkach przeciwko Indianom przyjmowane były z ostrożnym sceptycyzmem albo oburzeniem, które zabarwiała się ironią, przez franciszkanów ze szkoły salamantyjskiej, którzy przybyli do Nowego Świata, aby krzewić wiarę wolną od ciemnoty. Przemiana „św. Jakuba pogromcy Maurów” (*Santiago Matamoros*) w „św. Jakuba

pogromcę Indian" jest oczywiście owocem katolicyzmu skażonego, pseudochrześcijańskiej mitologii, jaką wytworzył sobie lud hiszpański, i raz jeszcze potwierdza wyrosłe w duszach żołnierskich poczucie łączności pomiędzy wojnami z *Moros* a wojnami z *Indios*. Na przykład, Gómara wspomina jednego z kapitanów, któremu spieszo było „gromić Indian”, ponieważ przedtem wojował w Oranii i Algierze z Maurami. Ten sam opiekuńczy Bóg towarzyszył tym samym wojownikom w ich różnych walkach, w Afryce i w Ameryce. Ten sam Bóg, i to specyficznie hiszpański (zresztą kronikarze zawsze nazywają Hiszpanów *los cristianos*, chrześcijanami ... *par excellence*). Indianie, którzy czysto zewnętrznie pojmowali wiarę Hiszpanów, przyglądając się formom ich pobożności, wywnioskowali, że ich najeźdźcy czczą boską parę: św. Jakuba i jego małżonkę, Pannę Marię. Ten właśnie Bóg zrodzony z chrystianizmu miał przyjść z pomocą Valdivii, pomimo jego grzechów. Bo oto podczas walki ze stokrotnie liczniejszym wrogiem, widząc, że jego ludzie zaczęli upadać na duchu, Zdobywca zakrzyknął: „Święty Jakubie! Dalejże na nich!” Jak powiedziałby w tej sytuacji Wiktor Hugo, „Nadzieja zmieniła obóz, wojna zmieniła ducha”. Kronikarz Mariño de Lobera, zdobywca Chile, tak opowiada o tym cudzie: „Kiedy Indianie już mieli odnieść zwycięstwo i obwoływali swój tryumf, oto nagle wszyscy ci barbarzyńcy podają tył i zaczynają pomykać niczym jelenie przez pustą równinę w ogólnej ucieczce, pragnąc ująć temu, który się im nagle ukazał”. Oczywiście wezwano jeńców indiańskich, aby potwierdzili cud; widzieli, jak „przybył z obłoków jakiś chrześcijanin na białym koniu, wywijając mieczem”. „Chrześcijanin” to oczywiście Hiszpan, w stroju hiszpańskiego rycerza Podboju. Zachęcani, aby bliżej opisali owego rycerza, jeńcy oświadczyli, że ten, który spowodował ich rozsypkę, był „człowiekiem znacznie przewyższającym najdzielniejszych nawet obecnych tu rycerzy”. Dzięki tym dociekaniom „chrześcijanie domyślili się, że to chwalebny apostoł św. Jakub przyszedł im z pomocą”. Wówczas Valdivia postąpił zgodnie z duchem epoki: na polach, gdzie rozegrała się bitwa, założył miasto, które nazwał „Święty Ja-

kub" (*Santiago*) i które przez całe wieki miało być stolicą Chile.

O ile pomoc Boża, za pośrednictwem św. Jakuba, w cudowny sposób udzielona została tym, co bronili wiary przeciwko niewiernym, to śmierć Valdivii z rąk tych samych pogan przedstawiano jako karę za jego grzechy. Zdobywca uległ przeważającej liczbie wroga; tę jego ostatnią walkę opíše później Alonso de Ercilla w *La Araucana* z rozmachem epickim godnym pióra Wiktora Hugo w *Waterloo*. Najlepiej jednak sens tego zdarzenia ujmuje, z punktu widzenia ówczesnego człowieka oświeconego, kronikarz Góngora Marmolejo: „Lecz kiedy Sędzia Najwyższy ustali bieg rzeczy, nic go odwrócić nie zdoła, toteż winniśmy pojąć, że chciał On ukarać Valdivię za jego grzechy i za to, że nie ukrywając się żył w konkubinacie z pewną kobietą z Kastylii, dając wszystkim zły przykład”. W tych rozważaniach widzimy ludowy fatalizm, bardzo wówczas rozpowszechniony, i ideę immanentnej sprawiedliwości, bardzo mało chrześcijańskiej, związaną może z odrodzeniem się starożytnego stoicyzmu w ówczesnej Hiszpanii. Nigdy nie dowiemy się dokładnie, w jakich okolicznościach zginął Valdivia; wzięty żywcem, niewątpliwie przed okrutną śmiercią cierpiał hańbę i tortury. Góngora Marmolejo jest najwidoczniej źle usposobiony dla Zdobywcy. Natomiast Mariño de Lobera wprowadza go do Historii, rozumianej w duchu epoki, tzn. utkanej z bohaterskich czynów. Kronikarz ten porównuje rozgromienie drobnego oddziału Valdivii (ok. czterdziestu żołnierzy) do rozbicia armii Cyrusa, króla Persów, gdy ów wyprawił się na Scytów. Opowiada, że Indianie wlewali mu w gardło roztopione złoto, aby ukarać go tym, czym grzeszył, i wspomina analogiczny wypadek z odległej przeszłości, postępek królowej Tomirys, która kazała zamordować Cyrusa na ziemi Massagetów. „Tak oto zginął z rąk tych, których tylekroć ujarzmił, waleczny Valdivia; podobnie zginęli: Cezar, Marek Antoni, Pompejusz, Attyla i inni nadzwyczaj sławni wodzowie...”. Poza tym historycznym galimatiasem, w którym mieszają się z sobą Rzymianie i Barbarzyńcy, ukrywa się pretensja Zdobywców do chwały równej rozgło-

sowi najznakomitszych bohaterów Historii, zwłaszcza historii starożytnej. Gómara nie zawaha się napisać (co w tamtej epoce miało posmak skandalu), że czyny Zdobywców przewyższyły nawet to, czego dokonywali Rzymianie. Co prawda, jeśli Rzymianie mieli prawo nazwać Morze Śródziemne „naszym morzem” (*mare nostrum*), Zdobywcy mogą to samo powiedzieć o Atlantyku! Słynna epopeja Portugalczyka Camõesa pod tytułem *Luzjady* (*Os Lusíadas*) wiązała żeglarzy i zdobywców portugalskich XVI w. z postacią antycznego herosa Lususa, który był towarzyszem Dionizosa. Nie zawędrowaliśmy więc daleko od epoki, kiedy Cezar uważał się za potomka samej bogini Wenus. Camões dowodził, że jego ziomkowie mają odegrać w świecie nowoczesnym taką samą rolę, jak Rzymianie w starożytności; niezbitym na to dowodem były, jego zdaniem, sukcesy takich żeglarzy portugalskich, jak Vasco da Gama, którzy odkrywali nowe części świata. Ukoronowaniem owego mesjanizmu politycznego, równie bujnego w Hiszpanii, jak w Portugalii, był mesjanizm religijny. Toteż opowiadania i prorocтва Starego Testamentu dostarczyły wielu wątków relacjom o walkach Zdobywców. Nowi Rzymianie Nowego Świata na swój sposób wskrzeszają prastare dzieje plemion Izraela, z którymi zetknęli się w szkole. Valdivia, zdając sobie sprawę z tego, że czeka go niechybna śmierć, w obliczu „stu pięćdziesięciu tysięcy Indian” (cyfry u kronikarzy zawsze są wyolbrzymione) pada na kolana przed Wszechmogącym, „jak uczynił król Jozafat, kiedy uderzyli nań Moabici i Ammonici...”. Ale tym razem Niebo go opuściło, jeden z jego indiańskich stajennych, Lautaro, zdradził go, rozbudzając zapal Araukanów, „co zrodziło w sercu Valdivii uczucie podobne temu, jakie ogarnęło Dawida, kiedy zobaczył, iż Achitofel przeszedł do obozu Absaloma” — pisze dalej kapitan Mariño de Lobera.

Warto zauważyć, że zarówno historia pisana prozą, jak wierszowana epopeja podboju Ameryki były dziełami kapitanów, którzy prowadzili walkę z Indianami. Za naszych dni skłonności literackie i rzemiosło wojenne nie tak często chodzą z sobą w parze. W Europie XVI w. władano na przemian piórem i mieczem, gdyż były to

zajęcia godne szlachty. Największy może poeta, jakiego miała Hiszpania, Garcilaso de la Vega, zginął w 1536 r. podczas ataku na twierdzę Muy (koło Fréjus), na czele trzech tys. piechoty. O autorze *Araukanii*, Alonso de Ercilla, opowiadają następującą anegdotę, która rzuca ciekawe światło i na Zdobywców, i na kronikarzy: „Nadeszły listy z Hiszpanii z wieścią, iż księżę don Filip, syn świętej pamięci cesarza Karola V, ukoronowany został na króla Hiszpanii ... i z tej przyczyny urządzano w mieście zabawy; na jedną z nich przybyli zbrojnie rycerze i don Garcia (gubernator Chile) ... I dwaj towarzyszący mu rycerze, jeden imieniem don Alonso de Ercilla i drugi, don Juan de Pineda, posprzeczali się, który ma zająć poczestniejsze miejsce na tym święcie. Od słowa do słowa, poróżnili się tak mocno, że chwycili za miecze, w następstwie czego wszyscy temu przytomni, piesi i konni, dobyli swoich mieczów, aby przywrócić porządek, i na oczach gubernatora czynił się tumult, którego przyczyny ów nie pojmował. A że często w tych królestwach dochodziło do buntów, zdrajcy bowiem szukali podobnych okazji, aby w czyn wprowadzić swoje zamiary, don Garcia przeraził się widokiem tylu mieczy w pogotowiu, lekając się, że to jedna z owych zrad, które zdarzały się w Indiach w takich okolicznościach. Spostrzegłszy, że don Alonso de Ercilla był pierwszym, który pochwycił za miecz, rzucił się na niego i wymierzywszy mu w plecy potężny cios czekaniem, który trzymał w ręku, zrzucił go z konia i rozkazał kapitanowi straży, aby odprowadził go pod dobrą eskortą do więzienia. Z drugiej strony nadbiegł pułkownik don Luis de Toledo i zaaresztował don Juana de Pineda, który schronił się w kościele wjeżdżając tam konno; ale nie zdało się mu na nic, że nie wychylał się poza obręb kościoła, gdyż pułkownik siłą go stamtąd wywlekl i zaprowadził na plac, aby dowiedzieć się, co rozkaże z nim uczynić gubernator. Ponieważ zaś don Garcia powrócił już był do domu, pułkownik pomyślał, że sprawiedliwie będzie wymierzyć obu rycerzom zasłużoną karę, ucinając im głowy”... Nowina doszła na szczęście do uszu gubernatora, który, bardziej umiarkowany, „posłał co koń wyskoczy don Pedra de Portugal,

aby do tego nie dopuścił, dopóki sprawa nie zostanie spokojnie rozważona i nie przeprowadzi się śledztwa"... W ten sposób podbój Chile o mało nie został pozbawiony największego z poematów epickich, jakie zrodził podbój Nowego Świata. Klótnia o pierwszeństwo pomiędzy dwoma szlachciami, jednako dzielnymi w boju i wykształconymi, „przeklęty punkt honoru” (*la negra honrilla*), niepewność sytuacji politycznej, zbyt gorliwy pułkownik, oto splot zdarzeń fatalny, ale częsty w okresie podbojów i w latach, jakie po nich nastąpiły. Mariño de Lobera, który opowiada tę smutną przygodę Ercilli, kończy, sławiąc mądrość gubernatora, gdyż „chwalebny Apostoł św. Ambrożego wzbronil na wiele miesięcy wstępu do kościoła Teodozjuszowi, który pochopnie wydał zbyt surowy wyrok”. Trudno by gorliwiej naśladować starożytnych: Zdobywcy mieli zawsze w pamięci czyny bohaterów *Iliady*, a także Amadisa lub Tirana Białego; starali się pobić starożytnych na ich własnym terenie, jakim był heroizm. Ten Nowy Świat, w którym zastali nieznaną ludzkość, zaludnili legendami, których nauczyli się w Starym Świecie, i w ten sposób oswoiли sobie i przyswoili Amerykę równie skutecznie, jak mieczem.

Valdivia zginął w dniu chwalebego ewangelisty św. Jana, 27 grudnia 1553 r.; wojna w Araukanii dopiero się zaczynała. Zwróćmy uwagę, że oprócz czterdziestu wyborowych żołnierzy-Hiszpanów, broniło go „trzy tysiące Indian-sprzymierzeńców”, co było zwyczajną proporcją w armiach Podboju. Samo istnienie tych tubylczych wojsk posiłkowych, które często odgrywały decydującą rolę (jako kombatanci, ale również jako zwiadowcy, szpiedzy, tłumacze, negocjatorzy), świadczy, że nie był to stosunek zwycięzców do zwyciężonych. Chile stanowi najczystszy przykład podboju militarnego wciąż stojącego pod znakiem zapytania, a widzimy, że nawet tam sprzymierzeńcy indiańscy byli względnie liczni. Zjawisko to wytłumaczyć można ograniczeniem horyzontu politycznego Mapuczów, którzy nie sięgali myślą dalej niż do sąsiedniego plemienia, nie chcieli wznieść się ponad spory lokalne i nie umieli trafnie ocenić sił Hiszpanów. Sytuację tę można porównać ze stosunkiem Galów do armii

Cezara. Bohater, który stał się potem symbolem narodowym, który pokonał Valdivię i szczycił się tym, został w parę lat później wzięty do niewoli przez wicekróla Hurtado de Mendozę i wbity na pal wobec tłumu sterrozykowanych Indian. Caupolicán, podobnie jak Wercyngetoryks, nie miał jasnej idei jedności politycznej swego kraju i niewątpliwie działał pod wpływem uczucia zemsty i spontanicznej chęci obrony rodzinnej ziemi. Hiszpanie, ze swojej strony, przeważnie nie zdawali sobie sprawy z doniosłości podboju, widzieli w nim przede wszystkim wyczyn wojskowy; ale żeby ocenić tę nadarżającą się nową szansę dla ludzkości, brakowało im owej „całościowej wizji”, o której mówił Bergson i która w każdej epoce umie wymierzyć rozdzźwięk pomiędzy możliwościami technicznymi a możliwościami duchowymi. Toteż wszystkie formy stosunków, poza wzajemnym wyniszczaniem się — któremu musieliśmy poświęcić tu miejsce odpowiadające jego obiektywnemu znaczeniu — jakie rozwinęły się pomiędzy Hiszpanami a Indianami, zasługują na naszą uwagę.

5

Ludzie

Oparte czasem na przemocy, której najczęstszym przejawem jest wojna, stosunki osobiste między Hiszpanami a Indiankami stanowią jeden z ważnych aspektów zetknięcia się dwóch światów. Pewna anegdota dobrze to ilustruje. Gdy w 1610 r. gubernator Chile, Merlo de la Fuente, z zawodu prawnik, przybył, aby stłumić jeden z niezliczonych buntów indiańskich, wziął do niewoli czterech kacyków winnych buntu. Czterej naczelnicy, dowiedziawszy się, że skazano ich na śmierć, działając w myśl swoich dotychczasowych doświadczeń, ofiarowali jako okup za swoje życie „sztabę złota i ładną kobietę”. Oczywiście, doktor Merlo de la Fuente z oburzeniem odrzucił propozycję. Postępowanie kacyków z plemienia Mapuczów jasno świadczy, co było przedmiotem najgorętszych pragnień Zdobywców: złoto (mówiliśmy już, jaki czynili z niego użytek) i kobiety. Te dwie żądze nie były jakąś cechą szczególną Zdobywców, ponieważ biorą one górę we wszystkich społeczeństwach, gdzie aspiracje duchowe żywi tylko drobna mniejszość. Pod tym względem Zdobywcy bliżsi są naszej epoce niż, w pewnej mierze, wiekom średnim oraz współczesnym sobie misjonarzom. Nawet miły, stanowiące przecież podporę ideałów, pośredniczyły między pragnieniem a jego realizacją. Amazonki, literacki mit starożytności, zdawały się po raz pierwszy od czasów antycznych przybierać kształt cielesny. Legenda głosiła, że dzikie Amazonki raz na rok, w ustalo-



Ryc. 17. Urok rajskich piękności

nym czasie, tolerowały mężczyzn, i zapewne niejedyn naiwny żołnierz marzył, że wyląduje na ich wyspie w dniu czerwonych kameli... Wyspa nimf, którą opisał w *Luzjadach* Camões i którą Wenus wydobyła z Oceanu na oczach Vasco da Gamy i jego towarzyszy, spokrewniona jest z tymi mirażami. Dzisiejszy mit Tahiti pochodzi również z tej odległej epoki; ani dokładna znajomość geografii, ani zbanalizowanie przez turystykę, ani wielokrotne pogwałcenie tego tropikalnego raju nie zdołały przyćmić naszyjników z kwieciami. Bądźmy więc wyrozumiali dla marzeń Zdobywców. Zależnie od temperamentu lub ostrożności, jedni kronikarze mniej, inni więcej mówią nam o indiańskiej kobiecie. Ortodoksja katolicka zobowiązywała do powściągliwości, ale rzeczywistość była tak jaskrawa, że wiele jej rysów przebiło się przez te zapory. Między innymi, Gómara nie wierzył w Amazonki, i tak wyjaśnił powstanie mitu: „Ludzie z wysp Bahama są bielsi i kształtniejsi niż mieszkańcy Kuby i Haiti,

zwłaszcza kobiety, i dla ich piękności wielu mężczyzn z Łądu Stałego, na przykład z Florydy, Chicory i Jukatanu, przybywa, aby żyć z nimi... I sądzę, że tutaj jest początek wieści, wedle której miały w tej okolicy istnieć Amazonki i źródło wracające młodość starcom". Tak więc czysto helleński mit o Amazonkach nabrał z odkryciem Nowego Świata nowej treści. Ponieważ Amazonki nie istniały, wymyślono je. Dla ludzkości karmionej legendami była to jedynie okazja, aby je wreszcie ujrzeć wcielonymi; Ameryka była dla Zdobywców przede wszystkim „światem, gdzie niemożliwe staje się faktem”, jak powie później Faust Goethego. *Melancholia* Dürera utraciła nagle swą nieruchomość i podskoczyła z uciechy, drzewo prawdy zakwitło na nowo. Nie zrozumiemy szaleńczej wyobraźni Zdobywców ani ich entuzjazmu, jeżeli nie docenimy należycie owej pasji poszukiwania tego, co niemożliwe.

W kronikach mówi się dużo o szerzeniu wiary i o zdo-



Ryc. 18. „Świat, gdzie niemożliwe staje się faktem” (Goethe)

byczach, natomiast Indianki, chociaż stanowią tak wielką ponętę dla zwycięzców, usunięte zostały na drugi plan. Wstydlivi kronikarze, skąpiący na ogół przymiotników, mówią, że są one bardzo piękne, wesołe, ujmujące i chętnie opisują ich strój (często jest to tylko opaska albo, u młodych dziewcząt, kostium naszej pramatki Ewy). Trzeba sobie uświadomić, jaki urok miały te rajskie piękności dla mężczyzn, przeważnie młodych, którzy spędzili całe miesiące na morzu lub w dżungli, w klimacie działającym podniecająco, dla ludzi pochodzących ze społeczeństwa, gdzie tabu płci było bardzo silne. Przy tym ci Andaluzyjczycy i Estremadurczycy nie mieli żadnej predyspozycji do pederastii wojskowej, która była regułą w Grecji homeryckiej. Kłątwy Kościoła, a nawet pojęcie grzechu śmiertelnego, stanowiły wątlą zaporę, którą szybko obalał przemożny popęd biologiczny. Paragwaj rychło zyskał sobie nazwę „Raju Mahometa”; tam zrodziła się naiwna wizja białego, którego kołyszą w hamaku piękne Indianki „całe namaszczone wonnościami i liśćmi palmowymi chłodzą mu czoło”. Oto parę przykładów ilustrujących tę sytuację. Bernal Díaz del Castillo pisze, że niejaki Alvaro, żołnierz Cortesa, marynarz rodem z Palos, miał, „jak powiadają, w trzy lata trzydzieścioro dzieci z Indiankami z Meksyku”; kronikarz dodaje: „Indianie zabili go w czasie wyprawy do Las Hibueras”, gdyby nie to, nie wiadomo, ile by jeszcze splodził mieszańców! Urokowi Indianek ulegali nie tylko prości żołnierze, lecz także i najwyżsi dygnitarze. Ów „człowiek pewny, szanowny, wielkiej mądrości i wielkiego rozumu”, jak powiada Las Casas, ów mąż zaufania Króla Katolickiego (który zresztą rządził Indiami, jak mu się podobało), Miguel de Pasamonte we własnej osobie, miał na Hispanioli harem liczący około osiemdziesięciu Indianek.

Związki pomiędzy Zdobywcami a Indiankami przybierały bardzo różne formy; nieraz był to przelotny stosunek, czasem zwyczajny gwałt lub przypadkowe spotkanie. Ale dość często Hiszpanów i ich tubylcze metresy łączył węzeł względnie stały, mianowicie rodzaj oficjalnego konkubinatu (*barraganeria*). Kapitan generalny Paragwaju Martínez de Irala, zmarły w 1556 r., uznał w testamencie

swoich trzech synów i sześć córek, jakie miał z siedmiu różnymi Indiankami. Zapewne nie był to wypadek odosobniony. W początkach podboju Korona przychylnym okiem patrzyła na te mieszane związki. Poprzedzał je chrzest Indianki, a następnie małżeństwo pobłogosławione przez Kościół.

Hiszpanie poślubiali oczywiście córki kacyków indiańskich, co pozwalało, bez jawnej uzurpacji, zawładnąć ich majątkiem, gruntami i poddanymi. Zwyczaje indiańskie (przypominające dynastyczną politykę europejską w tym okresie) ułatwiały takie postępowanie. Kacyk ofiarowywał jedną z córek wodzowi wyprawy jako zakład wiernej przyjaźni — i aby mieć wnuki tak dzielne jak mężny cudzoziemiec. Podarki takie otrzymywali nawet zakonnicy i ze śmiechem odmawiali ich przyjęcia. Trzeba tu odróżnić czasowe ofiarowanie kobiety, oznakę gościnności, od trwałego daru na znak przymierza. Ale najciekawsze rozróżnienie to „Indianki od łoża” (*Indias de cama*) i „Indianki służebne” (...*de labor*). Podobnie jak w Afryce, kobieta w Nowym Świecie była jedną z głównych sił produkcyjnych; mężczyźni polowali, wojowali i prowadzili układy popijając *chicha* albo *pulque*, ale prymitywna uprawa roli była rzeczą kobiet, podobnie jak chałupnicze rękodzieło (choć zdarzały się wyjątki od takiego podziału pracy). W podarunku dawano kobiety obu tych kategorii. Lecz przesąd czystości krwi (*limpieza de sangre*) prędko wziął górę nad początkowym entuzjazmem i Hiszpanie już nie chcieli brać Indianek za żony. Chętnie powtórzymy za osiemnastowiecznym jezuitą meksykańskim Francisco Xavier Clavijero, że od tej chwili datuje się upadek kolonizacji hiszpańskiej w Ameryce. Zaznaczymy od razu, że „czystość krwi” nie była pojęciem rasistowskim w nowoczesnym pseudonaukowym znaczeniu tego słowa; „czystą krew” miał każdy, kto urodził się z rodziców katolickich, którzy sami byli dziećmi katolików. Fakt, że wśród przodków znalazł się heretyk skazany przez inkwizycję, wystarczał, aby krew była „splamiona”. Kto nie miał „czystej krwi”, nie mógł ubiegać się o urzędy, i dlatego tak drżano przed inkwizycją, która mogła spowodować ruinę całego rodu. Ale „czystość krwi” była przede wszystkim insty-

tucją społeczną antysemicką, skierowaną przeciw Żydom-konwertytom (*conversos*), świeżo zmuszonym, aby się nawrócili (albo poszli na wygnanie), którzy, chociaż sami już katolicy, pochodzili od rodziców i dziadków wyznających judaizm (mamy tu zatem do czynienia z systemem analogicznym do „klauszuli dziadka”, która pozwala na ograniczanie praw obywatelskich Murzynów na południu Stanów Zjednoczonych). Instynkt samozachowawczy rodzin hiszpańskich podziałał w analogiczny sposób w stosunku do Indian, a raczej Indianek, bo nie znamy właściwie wypadku, ażeby Hiszpanka poślubiła Indianina.

Jednokierunkowość tych stosunków, pomiędzy mężczyznami z Hiszpanii i kobietami z Nowego Świata, oraz ich występowanie prawie wyłącznie poza legalnym małżeństwem kościelnym — oto dwa rysy charakterystyczne owego krzyżowania ras i jego dwie zasadnicze słabości. Dowolne utrzymywanie stosunków z Indiankami „od łoża”, porzucanie ich albo ich dzieci stało się główną przyczyną braku równowagi w nowym społeczeństwie kolonialnym. Błędem jest przeciwstawianie braku przesądów rasowych u Zdobywców i u *encomenderos* destrukcyjnemu rasizmowi Anglosasów w Ameryce Północnej. Tam, gdzie Hiszpanie natrafili na opór podobny do oporu Indian z równin, np. w wypadku Araukanów (w Chile) i Chichimeków (w Meksyku), również odpowiedzieli gwałtem; Indianie z pampasów zostali wytępieni, tak samo jak ci z pogranicza. Różnica istnieje tu tylko w formie segregacji rasowej: była ona totalna u Anglosasów, społeczna u Hiszpanów i Portugalczyków. Hiszpan nie poślubił Indianki, ale stosunek z jedną czy wieloma tubylczymi kobietami był mu dozwolony. Szybkim rezultatem takiego stanu rzeczy była istotna mutacja biologiczna i pojawienie się anarchicznego tłumu Metysów-bastardów, upokorzonych i spragnionych odwetu. W 1553 r., trzydzieści lat po zdobyciu Meksyku przez Cortesa, wicekról Meksyku, don Luis de Velasco, pisze: „Kraj jest pełny Negrów i Metysów, którzy znacznie przewyższają liczbę Hiszpanów i bez wyjątku gotowi są przyłączyć się do wszelkich możliwych buntowników, zarówno hiszpańskich, jak indiańskich”. Wioski-schroniska, zakładane



Ryc. 19. Cortés, markiz del Valle i doña Marina, la Malinche

przez biskupa Vasco de Quiroga pod wpływem Tomasza More'a, oczywiście nie wystarczały, aby zapewnić pomoc i dać wychowanie tej niespokojnej ludności, będącej owocem podboju. Na szczęście, nie wszyscy Metysi błakali się samopas, jako *picaros* Nowego Świata (starano się zapobiec przenikaniu *picaros* z Hiszpanii do Indii, ale Ameryka bardzo szybko postarała się o własnych!) Z trwałego konkubinatu zrodziło się mnóstwo Metysów, którzy wychowywali się w ojcowskim domu (o ile pojęcie to miało jakieś znaczenie w społeczeństwie tak koczowniczym, gdzie całe miasta wyludniały się na wiadomość, że odkryto nowe Eldorado). Zasymilowali się oni ze społeczeństwem Zdobywców i kiedy Zdobywcy postarzelili się, oni zaczęli odgrywać pierwszoplanową nieraz rolę polityczną i kulturalną. Prawie wszyscy zrodzeni ze związków pomiędzy wodzami hiszpańskimi a księżniczkami indiańskimi, mogli wywierać wpływ podwójny i służyć za mediatorów pomiędzy Hiszpanami a Indianami. Najlepszym przykładem jest tutaj doña Marina, kochanka Cortesa, która była również jego tłumaczem i nieodłączną towarzyszką, tak że Indianie nazywali go od jej imienia: Malincin (od zniekształconego: Marina, plus zaszczytny sufiks „tzin”). Doña Marina pozostanie symbolem politycznej roli kobiet indiańskich w okresie podboju. Urok fizyczny był groźną bronią w tych walkach, gdzie przeciwnicy nie

znali wzajemnie swoich metod, dążeń i mowy. Z dożą Mariną miał Cortés syna imieniem Martin Cortés (tak samo nazywał się prawowity syn Zdobywcy, przywódca spisku, który wstrząsnął Meksykiem w 1566 r. i miał, w zamiarach swoich przywódców, doprowadzić do niepodległości).

Córka Inki Huascary, siostra Atahualpy, jako mała dziewczynka została przez ojca podarowana Francisco Pizarrowi, który ochrzcił ją „La Pizpita”, Pliszka. Później uczynił ją swoją żoną, na sposób Zdobywców, tzn. traktował ją jako prawowitą małżonkę, lecz ślubu z nią nie wziął. Po chrzcie nazywała się doña Inez i obdarzyła Pizarra dwójgiem dzieci. Ale zarówno Cortés, jak i Pizarro i ich współzawodnicy nie wahali się po długich latach pożycia darować faworyty podkomendnemu lub masztalerzowi. Taki właśnie los spotkał szlachetną Chimpu Ocello, po chrzcie noszącą imię doñi Izabel, nałożnicę kapitana Garcilaso de la Vega, matkę Inki Garcilaso, który stanowi wspaniały przykład Metysa-humanisty i jest jednym z największych autorów, jacy pisali w języku hiszpańskim. Ta lekkomyślność, aby nie użyć silniejszego wyrazu, cechująca stosunek najwybitniejszych nawet Zdobywców do ich tubylczych małżonek (bo trudno inaczej je nazywać), była na pewno przyczyną trwałych urazów u młodych Metysów, którzy rodzili się z takich związków. Zauważmy, że w tym przypadku chodzi tu o najbardziej pomyślne przypadki mieszania ras. Wychowani w duchu Zdobywców, ale w matczynej tradycji i potem wraz z matką odepchnięci, ludzie tacy, jak Gonzalo Pizarro, Diego de Almagro, Martin Cortés i im podobni, żywili oczywiście głęboką urazę do Hiszpanów. W ich oczach Hiszpania była przede wszystkim krajem ekskluzywnej szlachty o ciasnych horyzontach (była to kasta w całym tego słowa znaczeniu), krajem nie chcącym uznać ich szlachectwa i powierzać im wyższych godności, do których na mocy swego podwójnego dziedzictwa mogli pretendować w swej amerykańskiej ojczyźnie. Metyzacja we wszystkich swoich formach nosiła w zarodku (a nawet już ukształtowaną) przyszłą niezależność hiszpańskich kolonii w Ameryce i zapowiadała rozwój nowej, odrębnej cywilizacji. W dziedzinie artystycznej i religijnej akulturacja



Ryc. 20a. Księżniczka indiańska



Ryc. 20b. Księżniczka indiańska

nastąpiła natychmiast; obyczaje Półwyspu uległy w nowych warunkach przemianom; zdobnictwo miejscowe zaszczerpione zostało na architekturze Wieku Złotego, tańce indiańskie weszły w skład ceremonii chrześcijańskich itd. Aspekty metyzacji duchowej są tak liczne, że musimy tutaj poprzestać jedynie na wyliczeniu dziedzin, w których się dokonała. Chcemy przede wszystkim zaznaczyć, że metyzacja biologiczna nie była zjawiskiem odosobnionym i że jej intensywność dała asymilacji kulturalnej korzenie, których by jej w przeciwnym razie zabrakło. W historiografii Indii Metysi odegrali ważną rolę, np. Meksykanie Diego Muñoz Camargo, Fernando de Alva Ixtlilxochitl, którzy spisali przedkolumbijskie dzieje swojej ojczyzny, i historyk wojny w Peru, Gutiérrez de Santaclara, również urodzony w Meksyku. Ogólnie mówiąc, Zdobywcy właśnie przez swoje cielesne stosunki z Indiankami zadzierżgnęli najmocniejsze węzły z Nowym Światem. Ale nie wydaje się, aby tą drogą zyskali o nim głębszą wiedzę. W rzeczywistości była to tylko aneksja jednostek stojących nisko w hierarchii społecznej, kobiet, które Zdobywcy chcieli eksploatować nie starając się ich zrozumieć. Odwetem tych Indianek, które ich ojcowie darowywali obcemu wodzowi, ów zaś swojemu podwładnemu, i które często kończyły karierę w objęciach prostego żołnierza, ich wspaniałym odwetem było owo pokolenie Metysów, rozdartych pomiędzy dwie tradycje. Z tego rozdarcia narodziła się Ameryka; tak rozdarta odradza się w każdym pokoleniu, jak gdyby wiecznie miała nosić na sobie piętno gwałtu, jakim był Podbój.

Istotnie, niewielu Zdobywców nauczyło się rozumieć ludy Nowego Świata, choć tylu z nich zetknęło się z Indiankami. Zadowolili się tradycyjnym poglądem na tubylcze cywilizacje; Indianie to poganie i barbarzyńcy — oto było alibi wygodne, aby gnębić ich bez litości. Mówimy o większości Zdobywców, lecz trafiali się i tacy, którzy umieli bystro patrzeć i malowniczo opisywać miejscowe obyczaje. Ale i ci, z bronią w ręku, starali się poznać przede wszystkim taktykę i broń tubylców i jeszcze w czasach Valdivii uważali Indian za lichych żołnierzy: „Niezbýt liczono się z Indianami, miano ich za

ludzi, którzy nie umieją się bić i którym w walce brak odwagi" — pisze Gómara. Ale trudno oczekiwać, aby zbrojny najeźdźca odkrywał najtajniejsze i najbardziej wyrafinowane aspekty danej cywilizacji, toteż najlepszymi znawcami Indian stawali się Zdobywcy pokonani. Niedobitki wielkich *entradas* na Stałym Łądzie, zmuszeni nieraz przez wiele lat żyć samotnie wśród tubylców, za cenę ciężkich doświadczeń mogli nabyć prawdziwą, głęboką znajomość tubylczego świata. Tak było w przypadku Jeronima de Aguilara, rodem z Ecija, który przeżył katastrofę morską pomiędzy Darién a San Domingo w okresie zatargów pomiędzy Enciso a Valdivią, i uniknąwszy szczęśliwie śmierci w charakterze ofiary rytualnej, żył przez osiem lat wśród Indian z Cozumel. Dowiedziawszy się o wylądowaniu Cortesa w Meksyku, udał się do niego w pirodze, w otoczeniu sześciu Indian. Andrés de Tapia na ich widok kazał natychmiast zawiadomić Cortesa, „że siedmiu Indian z Cozumel przybyło właśnie łodzią”, a Bernal Díaz tak opowiada dalej: „Kiedy wyskoczyli na ziemię, Hiszpan (który wydawał się prawdziwym Indianinem) rzekł, wymawiając bardzo źle: — Bóg i Najświętsza Panna, i Sewilla — a wtedy Tapia natychmiast pobiegł go uściskać ... potem Tapia pospieszył z owym Hiszpanem na miejsce, gdzie znajdował się Cortés; i zanim doszli tam, gdzie był Cortés, Hiszpanie wypytывali Tapię o Hiszpana, chociaż ów siedł u jego boku, gdyż brali go za prawdziwego Indianina: był ciemny z natury i ostrzyżony na sposób niewolników indiańskich, i niósł wiosło na ramieniu; jeden stary sandał miał na nodze, drugi przymocowany u pasa ... Gdy go tak ujrzał Cortés, dał się omamić podobnie jak żołnierze i zapytał Tapię, co się dzieje z Hiszpanem. Hiszpan, gdy to usłyszał, przykucnął, jak czynią Indianie, i rzekł: — To ja nim jestem”. Ten człowiek na pewno mógłby napisać cenne rzeczy o Indianach z Cozumel, chociaż, wedle jego oświadczenia, „traktowany był jako niewolnik, nosił drzewo i wodę i uprawiał kukurydzę, a niosąc swoje brzemie nie przeszedł więcej jak cztery mile i nie mógł iść dalej, i rozchorował się”. Ale Aguilar zadowolił się przekazaniem swojej znajomości Indian Cortesowi;

doña Marina i Aguilar w dużej mierze przyczynili się do podbicia Meksyku bez użycia broni.

Aguilar miał towarzysza, drugiego ocalonego rozbitka z ich okrętu; był to Gonzalo Guerrero, którego przypadek jest jeszcze bardziej charakterystyczny. Aguilar powiedział Cortesowi, że „poszedł był go wezwać, ale ów nie chciał przyjść”. Na pytania dowódcy Aguilar opowiedział, że ów Guerrero „jest żonaty i ma troje dzieci, i że twarz ma tatuowaną, uszy i dolną wargę przedziurawione; że jest to marynarz rodem z Palos i że Indianie uważają go za dzielnego; że przed rokiem mniej więcej przybył jakiś oddział z trzema statkami na przylądek Cotoche (zdaje się, że to my przybiliśmy wtedy do brzegu z Francisco Hernandezem de Cordobą); on namawiał do wojny, którą nam wtedy wydano, i brał w niej udział jako dowódca u boku kacyka pewnej dużej wsi” ... Jest to najjaskrawszy ze znanych (cytowanych przez kronikarzy) przykładów asymilacji Hiszpana w środowisku indiańskim. Jeżeli Aguilar, po ośmiu latach, miał trudności w posługiwaniu się językiem hiszpańskim, Guerrero, który umarł w swej przybranej ojczyźnie, na pewno doszczętnie go zapomniał i tym bardziej zrozumiałe jest, że nie zostawił żadnej relacji o swojej indiańskiej egzystencji. Ta wstrzemięźliwość zmusza nas do sięgnięcia do przykładów asymilacji nie tak zupełnej, ale również daleko posuniętej.

Alvar Núñez

Alvar Núñez Cabeza de Vaca, którego wymienialiśmy już jako „skarbnika i *alguazil mayor*” wyprawy na Florydę pod dowództwem Narvaeza, był jednym z czterech ocalonych rozbitków. Po ośmiu latach koczowniczego życia wśród Indian z równin, od 1528 do 1536 r., Alvar Núñez, który początkowo wylądował w zatoce Tampa na Florydzie, odnalazł cywilizację hiszpańską (pod jej formą zdobywczą) w Nowej Galicji, w północnym Meksyku. Ten szlachcic, człowiek ambitny oraz wykształcony, dowódca, uważał za rzecz pożyteczną dla siebie i za swój obowiązek napisać krótką relację o swojej odysei, zwróconą do króla,

a zatytułowaną *Naufragios*. Opowiadanie to, pomimo swojej oschłości, jest jednym z najcenniejszych świadectw pozostawionych przez Zdobywców, a odnoszących się do świata tubylczego współczesnego podbojowi, nie skażonego jeszcze żadnym wpływem europejskim. Niektóre szczepy opisane przez Alvara Nuñeza zniknęły w kilkadziesiąt lat później z powierzchni ziemi, tak że znamy je tylko z *Naufragios*. W odróżnieniu od listów Cortesa, które są przede wszystkim dziełem dowódcy z okresu kampanii, opowiadania Alvara Nuñeza zdradzają znajomość Indian, wynikającą z konieczności, ale głęboką. W trakcie pisania budzi się w nim Zdobywca i Alvar Núñez wygłasza poglądy o metodach kolonizacji i o nawracaniu, o możliwościach eksploataowania poznanych terenów. I on również omal nie został wzięty za Indianina przez rycerzy Diego de Alcaraza. W opowiadaniu Alvara Nuñeza wiele trzeba złożyć na karb własnej apologii, np. zrzuca on z siebie odpowiedzialność za fiasko wyprawy, którą Narváez poprowadził wbrew jego radom. Lecz z punktu widzenia, jaki tutaj jest dla nas ważny, tzn. jeśli chodzi o obraz świata Indian skreślony przez hiszpańskiego zdobywcę, który długo w nim żył, *Naufragios* mają niezwykłą wartość.

Powitana strzałami przez wyborowych łuczników (*grandes flecheros*) Florydy, wyprawa Narvaeza przeżyła ciężkie chwile. Rozbicie się statku złamało butę Hiszpanów; mężnie zabierają się do budowy wielkich łodzi. Alvar Núñez obejmuje komendę nad jedną z nich, liczącą czterdziestu dziewięciu ludzi, i „kiedy załadowano zapasy żywności i odzieży, łodzie nie wynurzały się na więcej niż na dłoń z wody, a przy tym byliśmy tak stłoczeni, że trudno się było ruszyć”. Po trzydziestu dniach przybrzeżnej żeglugi Hiszpanie wylądowali na jakiejś wyspie. Zagrożeni tam wkrótce śmiercią z pragnienia, powrócili na łodzie i dobili do kontynentu, gdzie przyjęci z pozorną życzliwością, dali się zaskoczyć krajowcom, lecz raz jeszcze zdołali wypłynąć na morze. Burza zatopiła jedną łódź i Alvar Núñez znalazł się w swojej łodzi z towarzyszami (nie byli to już jego podkomendni); „leżeli na dnie, jedni na drugich, tak bliscy śmierci, że

niewielu zachowało przytomność, i spośród wszystkich nawet pięciu nie mogło utrzymać się na nogach, a gdy zapadła noc, pozostaliśmy już tylko dowódca i ja zdolni do prowadzenia łodzi i o drugiej nad ranem dowódca powiedział mi, żebym ja objął komendę, bo on czuje się chory i przeczuwa, że umrze w nocy". Dnia 6 listopada morze wyrzuca ich na brzeg. Nie są to już Zdobywcy dzielący się krajem, zanim go jeszcze posiadają, gotowi kłócić się o punkt honoru albo o podział zdobyczy. Zjedli swoje konie i z ich skóry zrobili bukłaki na słodką wodę. Z czterystu dobrze wyekwipowanych i zaopatrzonych w żywność ludzi, którzy wylądowali na Florydzie pod wodzą Narvaeza w Wielki Piątek, pozostało trzydziestu rozbitków, pragnących tylko ocalić życie. Jeden z nich, najsilniejszy, wspiał się na drzewo i stwierdził, że znajdują się na wyspie. Wyruszywszy na zwiady z dwoma towarzyszami, wraca prowadząc trzech Indian uzbrojonych w łuki i strzały, przednią straż „setki indiańskich łuczników, którzy, wysocy czy też nie wysocy, nam wydali się olbrzymami, gdyż w takim byliśmy strachu... Nie można było spodziewać się, że chociaż jeden z nas zdoła się bronić, gdyż z trudem znalazłoby się sześciu mogących się utrzymać na nogach". Szczerłość Alvara Nuñeza, który miał wielkie poczucie honoru, a tutaj nie waha się wyznać lęku przed Indianami, utwierdza nas w przekonaniu, że w kodeksie Zdobywców zaszła zmiana, że ich drogowskaz jak gdyby odwrócił się. Z krzepkich niewolników Indianie stali się dla nich przedmiotem strachu. Pożłaczony medal podboju często ukazywał Zdobywcom swą odwrotną stronę.

Znalazłszy się w sytuacji jednostki społecznie upośledzonej Alvar Núñez Cabeza de Vaca miał dać dowody wielkiej łatwości przystosowywania się. Ofiarowując Indianom szklane paciorki i grzechotki, potrafił ich ułagodzić i na znak przyjaźni dostał od nich strzały. Nazajutrz krajowcy przynieśli Hiszpanom ryby i jakieś jadalne bulwy. Następnie rozbitkowie usiłowali wyruszyć na morze, ku nieznanemu im Pánuco, lecz fala przewróciła łódź i musieli wpław wracać na brzeg, nadzy i ogołoceni ze wszystkiego, zziębnięci. Na szczęście udało im

się rozniecić wczorajsze ogniska. Indianie znowu przynieśli im żywność i, zgodnie ze swoim zwyczajem, długo biadali i płakali nad niedolą Hiszpanów. Alvar Núñez z przejęciem opisuje tę wzruszającą scenę. Jednakże wielkoduszność Indian nie natchnęła Alvara Nuñeza wielką dla nich wyrozumiałością; wielokrotnie nazywa ich „złodziejami, kłamcami, gdy to im jest wygodne” itd. Rozbitkowie zostają pospiesznie zaprowadzeni do wsi; drżą ze strachu, aby nie złożono ich w ofierze bogom, ale los okazuje się dla nich łaskawszy. Było ich zaledwie piętnastu; wyspę ową ochrzcili Malhado (zły los) i tak nazywa się ona do dzisiaj. Tymczasem wśród Indian zaczęła się szerzyć epidemia; skłonni ją byli uznać za czary Hiszpanów, ale imć Alvar Núñez (*alguazil mayor* został niewolnikiem) zdołał im to wyperswadować. I tak dzięki niespodzianej, ale dość naturalnej zmianie sytuacji, uznano Hiszpanów za dobrych czarowników, choć zrazu podejrzewano ich o czarną magię. „Chcieli uznać nas za lekarzy, nie każąc nam zdawać egzaminów ani nie pytając o dyplomy” — pisze żartobliwie Alvar Núñez i dodaje: „Śmieszyło nas to i mówiliśmy, że to żarty i że nie umiemy leczyć chorych; oni jednak odmawiali nam żywności, dopóki nie uczyniliśmy wedle ich woli”. Żeby nie głodować, Hiszpanie leczyli na sposób miejscowych szamanów, przez wysysanie, tchnienie, wkładanie rąk. Ponieważ nie wierzyli w skuteczność tych metod, dołączali do nich praktyki godne andaluzyjskich Cyganek: odmawiali Ojcie nasz i Zdrowaś, kreślili znak krzyża. Najdziwniejsze było, że „Bóg w miłosierdziu swoim sprawił, iż wszyscy, którymi zajmowaliśmy się, gdyśmy tylko przeżegnali ich znakiem krzyża, mówili innym, że czują się doskonale”. W ten sposób Alvar Núñez i jego towarzysze, którzy z początku stroili sobie żarty, nabrali przekonania, że Bóg czyni cuda, aby ich uratować (ich, a nie chorych Indian!). Następnie Bóg w swojej dobroci raczył za pośrednictwem Alvara Nuñeza przywrócić życie zmarłemu. Ale zdarzenie to za świadków miało tylko Indian (których Núñez nazywa przecież kłamcami). Bohater uznaje to za cud, nie zadając sobie trudu, aby go sprawdzić; taką samą opinię wyraża Gómara w swojej *Powszechnej historii Indian*.

Dzieło to, ogromnie popularne w XVI i XVII w. (mimo dwóch okolicznościowych interdyktów w 1553 i 1556 r.), rozgłosiło i pomnożyło cuda Alvara Nuñeza ustami sługębnej Famy, a poważni historycy z Towarzystwa Jezusowego akceptowali je w XVIII w. Alvar Núñez stał się, już w przekonaniu swoich współczesnych, Alvarem-Cudotwórcą i ta sława poprzedzała go i towarzyszyła mu podczas wyprawy do Peru. Nawet gdy spotykały go ciężkie niepowodzenia, uważano, że „osoba jego pozostaje pod szczególną opieką Nieba”. Jest to ciekawy przypadek zaszczepienia wierzeń pogańskich na wierzeniach chrześcijańskich. Hiszpanów (tzn. Alvara Nuñeza i jego trzech towarzyszy) Indianie wzięli za szamanów, ponieważ wędrowali oni ze wschodu na zachód, gnani wichrem, o którego istnieniu sami nie wiedzieli. W obu Amerykach rozpowszechnione było mniemanie, że od wschodu zjawiają się istoty nadludzkie, aby zawładnąć krajem i wprowadzić tam dobrobyt. Toteż żołnierze Nuño de Guzmána, jako przybyli z południowego zachodu, spotkali się z nieufnością: „Indianie mówili pomiędzy sobą, że chrześcijanie kłamią, bo myśmy przyszli od strony, gdzie słońce wschodzi, tamci zaś od zachodu”. Zależność pomiędzy geograficznym kierunkiem podbojów a metafizycznym i moralnym znaczeniem przypisywanym w filozofii Indian stronom świata i strefom przestrzeni, zrodziła te „cuda”. Oczywiście Kościół zgłosił zastrzeżenia co do objawień pochodzących z tych dwóch źródeł mesjanizmu; dwa dekrety Stolicy Apostolskiej, z 1625 i 1634 r., uznawały „za nie istniejące i nie zasługujące” wszelkie domniemane cuda podboju, których nie zbadał ordynariusz. Niemniej cuda te uzyskały prawo obywatelstwa w kronikach i dziełach historycznych.

O ile Indianie przypisywali Zdobywcom cechy, których ci nie posiadali, Hiszpanie odpłacali im pięknym za nadobne. Jak wiadomo, Indianie w całej niemal Ameryce golili sobie głowy, pozostawiając tylko jeden kosmyk, albo wianuszek włosów, na sposób franciszkanów, a to już wystarczyło, aby uznano, że Tomasz Apostoł był kiedyś w zachodnim Meksyku. Niektóre z tych nieporozumień, mających za źródło obopólną ciemnotę, dały po-

czątek nowym trwałym wierzeniom, a nawet zrodziły autonomistyczne prądy polityczne. Ale ograniczmy się do przykładu Alvara Nuñeza; ponieważ został wędrownym kupcem, nauczył się sześciu tubylczych języków i mógł obserwować życie różnych szczepów. Jego opisy są dla nowoczesnego etnologa bogatą kopalnią wiadomości. Należy żałować, że nie sporządził słownika, ale to nie przyszło mu do głowy. Na kraje, gdzie był niewolnikiem, wędrownym kupcem, a potem szamanem, nie przestaje patrzeć jak Zdobywca-kolonizator, którym znów pragnąłby zostać. Jego surowy sąd o zwyczajach tubylców będzie miał wielkie znaczenie: rodzące się kolonialne społeczeństwo znajdzie u tego wielkiego znawcy Indian potwierdzenie swoich anty-indiańskich przesądów, on bowiem przedstawił ich jako „złodziei; kłamców, sodomitów, zabobonników, okrutników”. Niestety chciało, że natrafił na najdziksze ludy Nowego Świata. Nie wszyscy jednak Zdobywcy tak surowo oceniali Indian.

To, co napisano o Rzymianach: pokonana Grecja pokonała swego dzikiego zwycięzcę (*Graecia capta ferum victorem cepit*), można by też powiedzieć o Hiszpanach w Meksyku i w Peru. Ci nowocześni Rzymianie nie wszyscy dali się zaślepić żądzy złota do tego stopnia, aby mieli obojętnie patrzeć na cuda odkrywające się przed ich oczyma. Bernal Díaz tak opisuje chwilę, gdy w drodze przez Sierra Madre nagle zobaczyli Mexico-Tenochtitlan wśród lagun, gdy objawiła się im aztecka stolica: „Staliśmy w podziw i mówiliśmy, że to podobne jest zaczarowanym siedzibom, o których czyta się w romansie o Amadisie ... a niektórzy z naszych żołnierzy powiadali, że wydaje się im to sennym widzeniem”. (Alfonso Reyes odtworzył ten podniosły moment w uroczej opowieści poetyckiej, *Wizja Anahuaca*). Nawet Hernán Cortés w swoich listach, które są raportami składanymi Karolowi V nie mógł się powstrzymać od wyrażenia podziwu dla arcydzieł tubylczej sztuki: „Montezuma miał apartamenty tak wielkie i tak wspaniałe, że niepodobieństwem prawie jest dla mnie je opisać”; co do drogich kamieni, piór, złota i srebra, „nie ma na świecie złotnika, który by je lepiej wypracował”. Jako okazy tej sztuki, Zdobywca



Ryc. 21. Sztuka Nazca (Peru)

posłał Karolowi V maskę Quezalcoatla (Węża Ozdobionego Piórami), dar Montezumy, i wielkie nakrycie głowy z różnobarwnych piór (*apanecayotl*); przedmioty te zrabowali korsarze francuscy, drugi z nich znajduje się dzisiaj w muzeum w Wiedniu. Wytwory sztuki zdobniczej Tolteków porównywano z najsztudniejnymi arcydziałami Quattrocento. Ogród botaniczny i zoologiczny Montezumy,

gdzie reprezentowana była cała flora i fauna kraju, były dla Europejczyków zupełną nowością. Czy więc świętokradzka decyzja, aby przetopić skarby króla Axayacatla i sprawiedliwie podzielić je w postaci sztab złota, upoważnia do oburzania się na barbarzyństwo przybyszów, jak to czynią dziś obrońcy kultury tubylczej?

Po której stronie byli prawdziwi barbarzyńcy? Ryzykując, że narazimy się wszystkim, odpowiemy stanowczo: po obu stronach. Ale cechy barbarzyństwa i wyrafinowania jednej i drugiej strony nie pokrywały się z sobą i to była przyczyna najgłębszego z nieporozumień, jakie zrodził podbój.

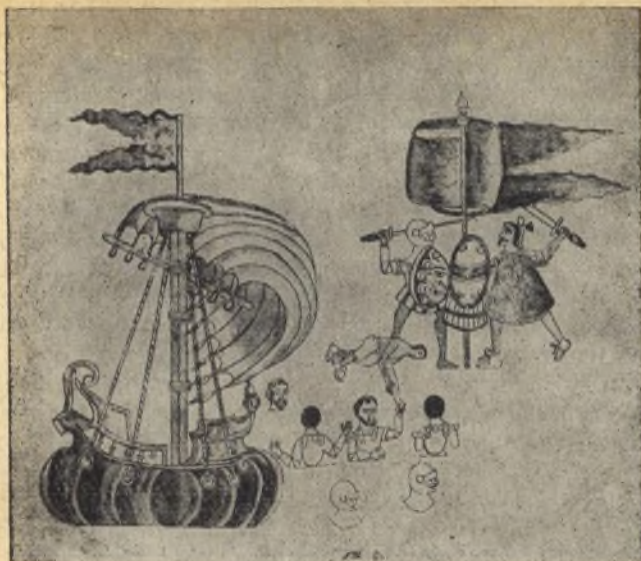
Dla Zdobywców barbarzyństwo Indian zamykało się w dwóch słowach: ludożerstwo i sodomia. Te dwie zbrodnie uważano za wynik podszeptów diabelskich i skutki pogaństwa. Jednakże pierwsze z tych zjawisk mocno wyolbrzymiano, a Zdobywcy czynili to albo ze strachu, albo z zemsty. Ludożerstwo rytualne miało podobne znaczenie symboliczne jak spożywanie poświęconej hostii u chrześcijan. Alvar Núñez wyliczył według nazwisk pięciu swoich towarzyszy-rozbitków, których głód pchnął do wzajemnego pożerania się, „aż pozostał tylko jeden, który będąc sam, nie mógł już przez nikogo zostać zjedzonym” — kończy w tonie pouczającym. Co należy myśleć o tym rodzaju ludożerstwa? U Indian nie jest ono usprawiedliwione, lecz stanowi część ich poglądów na świat: krwią ofiar żywią się bogowie, dzięki którym świeci słońce, pada deszcz i ludzie mogą żyć. Co do sodomii, która tak oburzała Hiszpanów, był to grzech ciężki, ale inny ciężki grzech, poligamię, wielu Zdobywców nader ochoczo przejęło od Indian — uprawiali ją nawet zakonnicy. Uważając się za narzędzie kary Bożej zesłanej na ludy Ameryki za ich fałszywą wiarę i grzechy, Zdobywcy wymyślili za sodomie karę, która swoją ohydą nie ustępuje najbardziej barbarzyńskim praktykom Indian. Tubylcy, którym dowiedziono homoseksualizmu, byli szczuci psami (*aperrear*, od *perro*, pies), całymi gromadami pożerani przez molosy. Egzekucja ta, przypominająca losy pierwszych męczenników chrześcijaństwa w Rzymie za Nerona, odbywała się publicznie, podobnie jak w tej epoce —

wieszanie i wbijanie na pal. Pizarro miał wiernego molosa, który, jak każdy dzielny żołnierz, otrzymywał swoją część łupu. Indianie bali się psów tak samo, jak koni i jak najdzielniejszych Zdobywców. Polowanie na człowieka, w które Podbój coraz bardziej się przeobrażał, polowanie na niewolnika budziło w Indianach przerażenie; znalazło ono wyraz w dziełach opiewających klęskę, pisanych w językach tubylczych lub w hiszpańskim.

6

Obraz zwyciężonych

Zdobywcy nie wiedzieli, że poprzedziły ich cuda i prorocтва, zwiastujące upadek społeczeństw tubylczych. Brodaci bogowie, przybywający ze wschodu, mieli za-
władnać Amerykę. Hiszpanie spełniali wszystkie warunki
potrzebne do odegrania tej roli. Przybyli ze wschodu
w pływających świątyniach (karawele były ogromne
w porównaniu z największymi nawet pirogami Indian),
władali piorunem i błyskawicą (bombardy i arkebuzy),
cerę mieli białą lub czerwoną jak słońce (Alvarado, pod-
komendny Cortesa, krwisty blondyn, zwany był Tonatiuh,
słońce), nosili brody i walczyli mieczami ostrzejszymi od
wszelkich krzemieni. Ludzie ci ważyli się patrzeć w twarz
wodzom indiańskim; mimo że tak nieliczni, pokonywali
wszelkie przeszkody. Byli też między nimi i Centaury, w
mianowicie jeźdźcy na koniach. Nie dziwmy się tak fan-
tastycznemu wizerunkowi Zdobywców, skoro oni sami do-
patrywali się wśród Indian Cyklopów i Amazonek. O ile
mity hiszpańskie przetrwały zwycięsko epokę odkryć
geograficznych, mity indiańskie wcześniej skonfrontowane
zostały z rzeczywistością. Kiedy Aztekom udało się
schwytać Hiszpana, opanowując lęk, zanurzali mu na
dobrą chwilę głowę do wody, ażeby się przekonać, czy
przybysz jest nieśmiertelny. Próba dodawała krajowcom
odwagi do stawiania oporu. Przekonali się również, że
konie i jeźdźcy nie tworzyli jednej całości i że w bitwie
należy celować do konia. Rżenie, które zrazu wydawało



Ryc. 22. 1519 r., I rok trzyciny, rocznica urodzin boga Quezalcoatl, przybycie Cortesa do Meksyku (*Codex Azcatitlan*)

się oznaką gniewu czworonożnego bóstwa, okazało się krzykiem właściwym tej odmianie jelenia (*venado*). Co do armat i arkebuzów, Montezuma oznajmił Cortesowi, że działają one na zasadzie tubylczych dmuchawek do wyrzucania pocisków. Indianie szybko zorientowali się, że na skutek wilgoci lonty arkebuzów nie zapalają się, Araukanie zaś, z pomocą zbiegłych Metysów, nauczyli się korzystać z saletry. Osiągnąwszy mistrzostwo w kradzieży koni i dosiadanu ich, Indianie stali się wzorem szybkich jeźdźców zarówno w pampasach, jak na równinach Ameryki Północnej. Zrazu więc przyjęli wobec najeźdźców postawę religijną, która czyniła z nich bezbronne ofiary, ale potem przekonali się, że ich mniemania były fałszywe. Zdobywcy natomiast wciąż widzieli w Indianach pogan, a nawet dzikie bestie.

Powoli prawda wyszła na jaw: byli to ludzie walczący przeciwko ludziom; nie było wśród nich ani bogów (*teules*), ani zwierząt (*bestias*). U Indian dominującym było na pewno uczucie, że są świadkami profanacji. Świątynie, do których oni wchodzili na klęczkach, zostały pogwałcone, święte wizerunki — podeptane lub przetopione. Świątokradztwem było również spojrzeć w twarz króla Montezumy, mówić do niego podniesionym głosem, nawet go dotykać. „Gdy przybyliśmy do miejsca, skąd inna wąska droga biegnie ku Coyoacan — pisze Bernal Díaz — zeszło się wielu dostojników i kacyków w bardzo bogatych płaszczach ... wysłał ich naprzód wielki król Montezuma na nasze spotkanie; i gdy stanęli przed Cortesem, mówili w swoim języku, że chętnie nas widzą i na znak pokoju dotykali ręką ziemi i tą samą ręką posyłał ziemi pocałunek”. Ów wschodni ceremoniał silnie kontrastował z hiszpańskim uściskiem (*abrazo*) i przyjacielskimi uderzeniami po plecach; Cortés, po wymianie grzeczności, ofiarował Montezumie naszyjnik, „zawiesił mu go i już miał uścisnąć Montezumę, gdy towarzyszący dostojnicy przytrzymali Cortesa za ramię, aby tego nie czynił, ponieważ oni uważają to za obrazę”. Ale etykieta była tylko jedną z licznych dziedzin życia, co do których Zdobywcy i Indianie nie mogli się porozumieć. Zuchwałe lekceważenie, z jakim przybywający coraz gromadniej z Flandrii i Włoch żołdacy odnosili się do skomplikowanego systemu indiańskich ceremonii, napędzało Indian trwogą. Poza tym tubylcy, jeżeli nawet nie zmierzylili w całej rozciągłości dramatu, który miał zburzyć życie fizyczne, ekonomiczne, społeczne i światopogląd ich amerykańsko-indiańskiego społeczeństwa, byli jednak świadomymi świadkami swojej klęski militarnej; dla nich przegrana była oznaką, że porzucili ich dawni bogowie. W tej sytuacji, wśród powszechnego chaosu, chrystianizm był dla nich deską ratunku, gdyż za cenę chrztu ofiarowywał im możliwość zbawienia. Włączeni w narzucony przez podbój nowy porządek dzięki przyjęciu nowej wiary, dali dowody rozpaczliwego zapału, którego najbardziej znanymi objawami jest rozwój i siła różnych kultów Matki Boskiej w Nowym Świecie. *La Virgencita*

stała się patronką Indian już pod koniec XVI w.; wspominaliśmy już zresztą o Najświętszej Pannie z Gwadelupy w Meksyku i z Copacabany w Peru.

Kronikarz Chile, Gonzales de Nájera, scharakteryzował w jednym groźnym zdaniu uczucia Indian wobec Zdobywców: „Nasi Hiszpanie są jadowitymi węzami dla Indian z Chile, którzy mówią, że sam nasz oddech lub tchnienie ich zabija”. Najstarszym literackim zabytkiem mówiącym o klęsce Indian jest zapewne poniższy wiersz w języku nahuatl, zdaniem A. M. Garibaya napisany w 1523 r., w dwa lata po zdobyciu Meksyku przez Cortesa i jego tlaxcalteckich sprzymierzeńców:

Skargę słyhać, w Tlatelolco łyż płyną.
Na wody jeziora Meksykanie odeszli;
Rzekłby kto: kobiety, to ucieczka powszechna.
Dokąd idziemy? Ach, przyjaciele, jest że to prawda?
Oto ci, co miasto Meksyk opuszczają;
Dym się podnosi, rozpościera się mgła...

Tęskny ten śpiew nie rozlega się samotnie; zmierzch pogańskich bogów zrodził jeszcze wiele innych lamentów. Dla dawnych Meksykanów „wojna kwiatów” była dziełem świętym, bo celem jej było chwywanie ofiar ludzkich i poświęcanie ich bogu Huitzilopochtli. Teraz klęska była zupełna, i to nie tylko w dziedzinie militarnej. Poezja epicka, która niedawno opiewała zwycięstwa azteckie, zwróciła się jak gdyby przeciw samej sobie, aby głosić kataklizm podboju dokonanego przez Hiszpanów. Można go porównać tylko z jakąś wielką katastrofą żywiołową: ludność została masowo wytępiona przez rzezie, epidemie, przymusową pracę. Przetrzebiona elita społeczna musiała w wielu wypadkach ustąpić miejsca Zdobywcom. Kapłani i wojownicy, którzy tworzyli klasę rządzącą, znikli z widowni. Jeśli chodzi o wojowników, było to następstwo klęski militarnej, a w wypadku kapłanów — wynik bezwzględного nawracania. Katolicyzm rozpow szechniały i narzucały zakony żebrzące. W Meksyku Dwunastu (franciszkanów) zgromadziło kapłanów starej religii, aby im wyłożyć naukę Chrystusa i skłonić do po-

rzucenia wierzeń pogańskich. Uczni azteccy odpowiedzieli z godnością, że raczej zginą, niż wyrzekną się wiary i tradycji, które przekazali im przodkowie i nad którymi oni sprawują straż.

Dramat klasy społecznej był też dramatem niektórych jednostek. Magnaci, np. Ixtlilxochitl, książę Texcoco, zapewne oszukany przez proroctwa, który głosiły bliski powrót Quetzalcoatl, i przez nadprzyrodzone zjawiska (meteory, orzeł spadający na zwierciadło itd.), uważane za zapowiedź nadejścia Hiszpanów, pozwolił się ochrzcić i przyjął Cortesa za chrzestnego ojca. Autor *Kodeksu Ramíreza* w takich słowach opisuje oburzenie matki księcia, gdy doszła do niej nowina: „Powiedziała mu, że chyba stracił rozum, skoro tak szybko dał się zwyciężyć garści takich barbarzyńców, jak ci chrześcijanie”. Widzimy stąd, że świat amerykańsko-indiański, w osobach przedstawicieli swojej elity, rozpaczliwie próbował utrzymać się przy życiu. W Meksyku błyskawiczna klęska Cuauhtemoc, a następnie jego niewola, wygnanie i śmierć miały zabić wszelką nadzieję. W Peru, w nowym państwie Inków Manco, Capac zdołał dłużej zachować duchową spuściznę, gdy zabrakło już bogactw. Instytucje fiskalne, podobnie jak pańszczyzna, utrzymały się, ale nowy duch przeniknął prawa, i niezrozumienia tych nowych wartości stało się jednym z ważnych aspektów duchowego wyobcowania Indian. Sytuację zaostrzyło pojawienie się inkwizycji; na przykład kacykom Texcoco i Yanhuitlan dowiedziono bałwochwalstwa i spalono ich na stosie. Ta akcja trwała na szczęście krótko; władze kościelne rozumiały, że trzeba by było oskarżyć zbyt wielu Indian. Zresztą Indianom nawet do głowy nie przychodziło, aby profanować przedmioty nowego kultu. Panteon meksykański przed podboju chętnie przyjmował nowych bogów, jeśli okazali się silni. Bogowie Hiszpanów, np. św. Jakub, Chrystus i Matka Boska (która przypominała Tonantzin, a także dziewiczą matkę Węża Ozdobionego Piórami) dali dowód swojej mocy obdarzając zwycięstwem Białych, było więc rzeczą wskazaną przyswoić ich sobie. Natomiast niezrozumiała dla Indian była nietolerancja tych bóstw, które domagały się, aby je czczono wyłącznie,

odrzucając wszystkie inne. Ale biegu historii nie podobna już było odwrócić; Kolumb przybijając do wysp Bahama nazначył niezatartym piętnem dzieje Ameryki; odtąd była ona hiszpańska. Toteż wysiłek pierwszego pokolenia Metysów zmierzał do wypracowania niemożliwej syntezy pomiędzy dwoma cywilizacjami, z zamiarem uratowania jak najwięcej z resztek tubylczego świata. Był to problem ocalenia moralnego i duchowego. Chodziło o oczyszczenie Ameryki z wciąż wytaczanych oskarżeń o barbarzyństwo i sodomie, o wybielenie jej przeszłości w oczach Europy.

Inka Garcilaso

Człowiekiem, który najdoskonalej wcielał ducha tej generacji Metysów w całym jego bogactwie, był niewątpliwie Inka Garcilaso de la Vega. Urodzony w Peru w 1539 r., wkrótce po podboju, z ojca-zdobywcy, kapitana Garcilaso de la Vegi, i inkaskiej księżniczki, Chimpú Ocllo, należał i do szlachty hiszpańskiej i do kasty rządzącej Inków. Ze strony ojca pochodził od bohatera Półwyspu Iberyjskiego, Garcii Pereza, i był blisko spokrewniony z wielkim hiszpańskim poetą, z którym miał wspólne imię i nazwisko, z Garcilaso de la Vegą. Wychowany w domu ojca, rósł w środowisku Zdobywców, przyjął więc ich zapatrywania, otrzymał wychowanie katolickie i poznał literaturę. Ale od matki i od dziadków z jej strony nauczył się rozumieć świat Inków, który w tym czasie nie był jeszcze martwy, jak to on sam o nim potem napisze. W dwudziestym roku życia opuścił Peru, udał się do Hiszpanii i nigdy już nie miał zobaczyć ojczyzny. Umarł w Andaluzji. Tłumacz Leona Hebrajczyka (słynne *Dialoghi d'amore*), wytrwały czytelnik Seneki, od nich obu zaczerpnął elementy swoich bardzo złożonych poglądów. Jednoczy się w nim neoplatonizm Renesansu włoskiego i neostoicyzm, który zajmie potem ważne miejsce w literaturze hiszpańskiej w początkach okresu dekadencji, w dziełach Quevedo i Graciana. Inka Garcilaso, jak sam pisze, czuł się jednak „do szpiku kości

Indianinem", i José Durand słusznie zauważył, iż swój stoicyzm zawdzięczał niewątpliwie w tej samej mierze indiańskim przodkom, co starożytnym Rzymianom. W najważniejszym ze swoich dzieł, *Komentarzach królewskich*, będących obszerną historią inkaskiego Peru, usiłował pogodzić dwie kultury i ocalić tradycję tubylczą. Zapewne pod wpływem św. Augustyna, natchnionym swym providencjalizmem objął Inków i Zdobywców. Święty Augustyn uważał, że powstanie i ekspansja Cesarstwa Rzymskiego były wynikiem zamiarów Opatrzności, która w ten sposób zapewniła szybsze rozpowszechnienie się chrześcijaństwa. Zjawisko to powtórzyło się w Nowym Świecie, tym razem w państwie Inków. Garcilaso nie nazywa Inków barbarzyńcami, jak to czynili inni kronikarze, lecz poganami, co jeszcze mocniej podkreśla analogię z Rzymianami. „Zauważono — pisze — że Indianie, których królowie Inka ujarzmili, poddali swej władzy i wykształcili, szybciej i z większą bystrością przyjmują Ewangelię niż ludy sąsiednie”. Kult boga Wirakoczy, religia bliska wielkim wierzeniom monoteistycznym, stanowiła bezspornie lepsze przygotowanie do chrystianizmu niż animizm koczowniczych szczepów znak górnej Amazonki. Inne cechy wysoko rozwiniętej cywilizacji Inków pozwalały na porównywanie jej ze starożytnością pogańską grecką i łacińską, której chrześcijaństwo tak wiele zawdzięczało. Czyż zresztą proroctwa Wirakoczy nie zwiastowały przybycia Zdobywców? Objawienia się Matki Boskiej miały dopełnić przeznaczenia Peru, któremu pisane było zbawienie. Nawet złoto, bajeczne skarby Peru, bogactwa Atahualpy, które olśniły Hiszpanów, napawały dumą Garcilaso i jego współziomków; jakże nie widzieć w nich środków finansowych, które miały uzbroić chrześcijan przeciwko heretykom w Europie i niewiernym w Afryce!

O poganach amerykańskich Garcilaso wyraża pochlebną opinię. Nie może odmówić sobie przeciwstawienia kar boskich, które spadają na okrutnych lub zdeprawowanych Zdobywców, cnotom, jakie zdobią Indian. Był to rodzaj odwetu, jaki brał żyjący w nim Indianin. Przypomnijmy, że widział, jak jego matkę oddano zwykłemu



Ryc. 23. Księżę Inków w stroju narodowym

masztalerzowi, gdy jego ojciec, kapitan Garcilaso, w trosce o „czystość krwi”, brał za żonę Hiszpankę szlacheckiego rodu. Inka, mimo że uznany za syna, nie był „starym chrześcijaninem”, miał na zawsze zostać indiańskim



Ryc. 24. Książę Inków w stroju hiszpańskim z okresu podboju

bastardem. Literacki sukces *Dialogów*, *Komentarzy królewskich* i *Florydy*, uznanie literackich kół na Półwyspie Iberyjskim nie mogły zasklepić jego rany i podobnych

mu Metysów. Ten humanista nie wahał się stawiać pogan, swoich przodków macierzystych, za przykład chrześcijanom. Inkowie nie szacowali zbyt wysoko szlachetnych metali i zakazywali połowu pereł, jako niebezpiecznego i sprzecznego z dobrem ich poddanych. Ta idylliczna wizja Tawautinsuyu (które w rzeczywistości poddane było srogiemu centralizmowi) łączyła się z religijną interpretacją najnowszej historii Peru. Garcilaso podszeptom szatana przypisywał wojny domowe (pomiędzy klanami pizarzystów i almagrystów, a potem przeciwko władzy królewskiej), kiedy to kraj od chwili podboju nieustannie pławił się we krwi. Garcilaso uważa, że jest to kara Boża. Wojny te pozbawiły podbój militarny jedyne owocu, który mógłby go usprawiedliwić, mianowicie podboju duchowego. Hiszpanie nie dotrzymali więc obietnicy, której wypełnienie przygotowali Inkowie. Orientując się w historii, Garcilaso był również inteligentnym obserwatorem. Rozumiał, że napływ bogactw z Peru spowodował drożyznę w Europie, sprowadzając głód na biednych i ułatwiając bogaczom zaspokajanie grzesznych namiętności. W tym gorzkim pesymizmie zawiera się jakby przekleństwo rzucone przez Metysa na wygnaniu, który widzi, jak wszystkie skarby macierzystej przeszłości obracają się w cuchnące błoto. Uwikłany w nieuniknione sprzeczności pomiędzy providencjalistyczną wizją historii a stoicką koncepcją życia, Inka próbuje jednak zszyć w jedną całość słoneczną purpurę Inków i biel płaszcza Matki Boskiej. Jak pogodzić indiańską mądrość i chrześcijański mesjanizm, odradzający się stoicyzm i kult bogactwa, jakim była cała historia Peru od chwili odkrycia go przez Pizarro? W Nowym Świecie Peru było obszarem najsilniej rozdzieranym pomiędzy cywilizację amerykańsko-indiańską i cywilizację Zdobywców; tam też najgłębszy był rozdzźwięk pomiędzy dążeniami duchowymi podboju a jego celami materialnymi. Wkrótce Peru miało stać się ziemią wybraną rewolucyjnych objawień, czego najlepszym przykładem jest Fray Francisco de la Cruz. Myśl, że chrześcijaństwo zostanie uratowane w Ameryce, po upadku Rzymu i jego klęsce w Europie, była dość rozpowszechniona w Nowym Świecie. Nowy



Ryc. 25. Chłop z plemienia Inków (Huaman Poma de Ayala)

Kościół naprawdę „ewangeliczny” miał być odpowiednikiem nowego chrześcijaństwa utworzonego przez Amerykanów, zarówno Indian, jak Metysów. Fray Francisco de la Cruz, prorok owego indiańskiego Kościoła, słyszał w duszy głos Boga, który wyznaczał go papieżem nowego Kościoła. W imię tych objawień mnich ów ekskomunikował Filipa II i groził samym inkwizytorom! Była to jedynie pierwsza wielka fala tych przeróżnych prądów

mesjanistycznych, jakie rozpętały się nad Ameryką. Garcilaso nie posuwa się tak daleko, lecz nie wyznana świadomość klęski, jaką poniósł jego eklektyczny humanizm, który miał uratować spuściznę Inków, jest może jedną z ważniejszych przyczyn jego ostatecznej goryczy. Inny historyk starego państwa Inków, czystej krwi Indianin Huaman Poma de Ayala, uznał i zaakceptował z dumnym stoicyzmem nieodwracalną ruinę cywilizacji Inków. W okresie gdy pisali Garcilaso i Huaman Poma (na przełomie XVI i XVII w.), zarówno Peru Inków, jak Peru Zdobywców należały już do przeszłości, pierwsze przeminęło wraz z Tupac Amaru, drugie — z Gonzalo Pizarro. Peru Metysów, którego pozwalały oczekiwać mieszane małżeństwa kapitanów Podboju z księżniczkami Inka, również było martwe. Peru, które teraz zaczęło żyć, coraz bardziej upodabniało się do kolonii, gdzie Zdobywcy, jako *encomenderos*, wzmocnieni liczebnie przez nowych imigrantów, mieli zdziesiątkować ludność tubylczą deportując ją do kopalń. Inka Garcilaso lśni jak spóźniona gwiazda na firmamencie, gdzie już nie miały wzejść inne gwiazdy. Przywrócenie tradycjom Indian godności duchowej, renesans żywej kultury indiańskiej, wszystkie te usiłowania podejmowane przez ruchy wyzwolenicze i niektóre rządy Ameryki hiszpańskiej nie wynagrodzą nigdy wieków poniżenia. Największe jeszcze możliwości w tej dziedzinie ma zapewne Peru, przede wszystkim dlatego, że zachowało swój język, kiczua, co zawdzięcza misjonarzom.

7

Zdobywcy duchowi

Paradoksem jest, że zdobywcy duchowi, to znaczy misjonarze katoliccy, których zadaniem było wytępienie wierzeń pogańskich i zatarcie ich śladów, że oni właśnie ocalili amerykańsko-indiańską tradycję. Mnisi, nie mogąc opanować licznych języków miejscowych, ze względów praktycznych posługiwali się językami państwowymi, jak kiczua w Peru i nahuatl w Meksyku. Dzięki temu głosiciele Ewangelii nie tylko ocalili od zatury żywe języki, które zostałyby wyparte przez język hiszpański, lecz także opracowali gramatyki i słowniki, których dotychczas nie było, a tym samym obdarzyli wspólnym językiem ludzi, którzy dotąd byli tej więzi pozbawieni. Zjawisko to można porównać do roli łaciny jako języka liturgicznego i języka ludzi wykształconych w Europie średniowiecznej. Obszar lingwistyczny kiczua i nahuatl rozszerzył się dzięki zakonom żebrzącym. Odwrotną stroną tej polityki była nieznanomość języka hiszpańskiego, w jakiej utrzymywali Indian ich duszpasterze, pragnąc ustrzec swe owieczki przed zgubnym wpływem środowiska Zdobywców. Te zbożne usiłowania miały potem, wbrew zamierzeniom zakonników, przyczynić się do pogłębienia segregacji społecznej. Odosobnieni i zepchnięci na tereny coraz uboższe, Indianie nie potrafili bronić swojej sprawy, byli obcy we własnym kraju, nie znając nawet jego urzędowego języka. Tworzone obecnie instytucje dla tubylców, zwłaszcza w Meksyku, mają właśnie

na celu ułatwienie asymilacji Indian w zakresie kulturalnym (są wśród nich i Metysi), zbliżenie ich do cywilizacji, od której trzymano ich dotąd z daleka. Ta segregacja zaczęła się nie w chwili podboju, ale ok. 1590 r., po upadku kolegiów dla Indian, zakładanych przez Towarzystwo Jezusowe i franciszkanów. Tak zwane „redukcje” jezuitów w Paragwaju, tworzone były w duchu segregacji, a raczej, powiedzmy, w duchu separacji. Organizowane na innych terenach, nie miały takiego powodzenia; ale Paragwaj właśnie dzięki nim jest dzisiaj jedynym krajem Ameryki Łacińskiej, w którym dwujęzyczność jest oficjalnie dozwolona. Hiszpański i guarani traktowane są równorzędnie w administracji i w armii.

Kościół wysłał kolejno trzy kategorie ludzi do Nowego Świata. Jako pierwsi wyruszyli ci, których można by nazwać kapelanami wojskowymi. Ksiądz Las Casas (zanim wstąpił do zakonu św. Dominika) w tym właśnie charakterze towarzyszył Panfilowi de Narvaez podczas jednej z wypraw na Kubę. Niekiedy (i to coraz częściej) do wypraw przyłączali się mnisi, aby wytyczać granice przyszłej prowincji swego zakonu w nowo zdobytym kraju. Niektórzy kapelani (bo tak ich nazywano), uczestnicząc w wyprawie, wywierali na załogę wpływ łagodzący; ale Las Casas nie zdołał zapobiec rzezi w Caonao na Kubie. Ojciec Olmedo, mercedariusz towarzyszący Cortesowi, walenie przyczynił się do jego zwycięstwa nad Narvaezem i umiał zręcznie powstrzymać gorliwość religijną kapitana, kiedy ów zamierzał, na przywitanie, zniszczyć bałwany pogańskie, narażając życie własne i swoich ludzi. Działalność tych zwiadowców, którzy nie wzbraniali się dzielić łupów ze Zdobywcami i przyjmować Indian w *encomienda*, była raczej dyplomatyczna, niż religijna. „Podbój duchowy” (określenie to stało się klasyczne dzięki książce Roberta Ricarda) był zadaniem zakonów żebrzących i jezuitów. Najwartościowsi ludzie tego pokolenia zabrali się z entuzjazmem do olbrzymiego dzieła, które zdawało się zapowiadać przyjście Królestwa Bożego. Przez pierwszych trzydzieści lat Podboju byli to bracia mniejsi, augustianie i dominikanie. Później pojawili się z kolei jezuita i inne zakony, rola ich jednak nie

była już tak wybitna. Wreszcie przybyło duchowieństwo świeckie; nieliczne z początku, z wolna wyparło zakony żebrzące w misjach indiańskich.

Dzieło nawrócenia Meksyku, zaczęte przez franciszkanów mniejszych (minorytów), którzy wylądowali w San Juan de Ulloa 13 maja 1524 r., w niespełna trzy lata po zdobyciu Tenochtitlan, stanowi szczególnie charakterystyczny przykład apostołstwa w Nowym Świecie. Przybycie Dwunastu (było ich dwunastu, jak apostołów) do Meksyku otoczono znamienym blaskiem. Kierując się albo szczerą gorliwością religijną, albo wyrachowaniem politycznym, a najpewniej obu tymi pobudkami jednocześnie, Cortés, pewien już zdobyczy, zażądał przysłania misjonarzy. Z klasztoru Matki Boskiej Anielskiej w Andaluzji wyruszyli ci nowi apostołowie, świadomi wielkiego znaczenia swojej misji; wsiedli na statek w San Lúcar de Barrameda, w dzień nawrócenia św. Pawła, co miało symboliczne znaczenie. Gdy przybyli do Meksyku (po dziesięciodniowym wypoczynku w San Juan Puerto Rico), odrzucili wszelkie środki transportu i pieszo udali się do Mexico. „Indianie szli za nimi i dziwili się, że mają odzież tak obdartą, tak różną od dumnej elegancji, jaką dotąd widzieli u żołnierzy hiszpańskich” — pisze Fray Gerónimo de Mendieta w swojej *Historii kościołów indiańskich*. „Nie są podobni do innych chrześcijan z Kastylii. I powtarzali do woli jeden wyraz w swoim języku: *motolinea*, *motolinea*. Jeden z ojców, imieniem Fray Toribio de Benavente, spytał pewnego Hiszpana, co znaczy ten wyraz tak często powtarzany, Hiszpan odrzekł: Mój ojciec, *motolinea* znaczy „biedny” lub „biedni”. A wtedy powiedział Fray Toribio: To będzie moje imię aż do śmierci, i odtąd już kazał się nazywać i podpisywał się nie inaczej jak tylko Fr. Toribio Motolinea”. Indianie doznali tego, co dziś nazwalibyśmy „wstrząsem psychicznym”; grunt był przygotowany. Postępowanie Cortesa, groźnego Zdobywcy, dopełniło budującego obrazu: „Z chwilą kiedy przybyli do Meksyku, gubernator, w otoczeniu wszystkich rycerzy hiszpańskich i dostojników indiańskich, którzy zgromadzili się z tej okazji, wyszedł naprzeciw nich i na klęczkach ucałował każdemu rękę,

zaś Don Pedro de Alvarado oraz inni kapitanowie i rycerze hiszpańscy uczynili podobnie. Ujrzawszy to Indianie poszli za przykładem Hiszpanów i również ucałowali ręce mnichom". I kronikarz zakonu konkluduje: "...ku wiecznej pamięci uczynku tak wiekopomnego, największego, jaki spełnił Cortés, nie jak człowiek zwyczajnie ludzki, ale jak człowiek anielski i przez Niebo zesłany, za którego pośrednictwem Duch Święty uczynił to, aby dać mocny fundament boskiemu Swemu Słowu". Widzimy więc, że Cortés zyskał sobie potężnych sprzymierzeńców, którzy odtąd głosili jego legendę. Przyczyną potępienia przez Kościół *Historii* franciszkanina może właśnie była legenda o Cortesie — wysłanniku Opatrzności (jak było w wypadku dzieła Gomary, potępianego wielokrotnie).

Był to dopiero początek dzieła apostolskiego. Mnisi, jak opowiada Fray Bernardino de Sahagún, zgromadzili panny i kacyków indiańskich, aby przedstawić im swoją misję i prosić o powierzenie im dzieci, które mogliby katechizować. Zakonnicy wykazali Indianom błędy, w których żyli, i jako główny cel wskazali im zbawienie duszy. Mendieta opisuje w idyllicznym tonie, który wprawia nas w zadumę, atmosferę tego pierwszego spotkania; posiadając obecnie relacje w języku nahuatl, mamy podstawy, aby wątpić, że sprawa poszła tak gładko. Mendieta pisze: „W tym to celu posyła nas ów Pan i Prałat powszechny... Toteż bracia moi umiłowani... jest rzeczą niezbędną, abyście oddali i powierzyli nam wasze dziatki, godzi się bowiem, aby one pierwsze zostały pouczone, zarówno dlatego, że cieszą się zupełną wolnością, a wy jesteście bardzo zatrudnieni rządząc waszymi wasalami i wypełniając obowiązki wobec waszych hiszpańskich braci, jak i z innych przyczyn, gdyż dzieci wasze, małe i w młodym wieku, pojmą z większą łatwością naukę, którą będziemy im głosić. A następnie oneż właśnie pomogą nam was wykształcić... Kacykowie i dostojnicy odpowiedzieli na to dziękując im za błogosławione ich przybycie i za to, że pragną ich dobra, i zgodzili się powierzyć im swoje dzieci, aby mogli czynić, co sobie zamierzali...” Jeżeli nawet sprawy nie ułożyły się tak łatwo, to, jak widzimy, metody szerzenia wiary (*de propaganda fide*),

na długo przed utworzeniem kongregacji rzymskiej tegoż imienia, były już bardzo udoskonalone.

Mendieta opowiada jeszcze, że rozmowa miała taki przebieg zapewne dzięki zręczności Jerónima de Aguilar, czy też innego z tłumaczy; byłoby rzeczą interesującą dociec, co z właściwej oracji doszło do uszu Indian i jak wyobrażali sobie oni Ojca Świętego. Młodzi Indianie przyjęli nową wiarę, czego można było się spodziewać po ich młodym wieku. Wielu z nich męczeństwem przypłaciło wzajemne oskarżenia o bałwochwalstwo, rzucane z młodzieńczą gorliwością. Co do chrztów, Dwunastu mnichów nie mało natrudziło się fizycznie, chrzcząc dziesiątki tysięcy indiańskich neofitów. Ale nie zawsze był to owoc dojrzałej decyzji i często Indianie powracali do pogaństwa, wobec czego apostołowie zaczęli działać z większą ostrożnością. Oczekiwano przybycia nowych misjonarzy, aby zaszczerpić wiarę na pewniejszym gruncie. Chrzt, bez katechizacji i bez innych sakramentów, okazał się słabym fundamentem. Tak więc przeszczepianie klasztorów na grunt amerykański odbywało się z niezwykłą gorliwością, toteż ok. 1570 r., a więc niespełna pięćdziesiąt lat po przybyciu Dwunastu, istniało blisko siedemdziesiąt klasztorów franciszkańskich, rozrzuconych po całej Nowej Hiszpanii. Dominikanie i augustianie łącznie mieli ich prawie tyle samo. Ale największym przedsięwzięciem, obok gorączki budowania, było gruntowne studiowanie języków tubylczych, któremu oddawała się większość misjonarzy. *Historia general de las cosas de Nueva España* Fray Bernardina de Sahaguna, wynik poszukiwań i studiów całego życia, pozostaje pod wieloma względami wzorem dla etnologów nowoczesnych. Pamiętniki oraz *Historia de los Indios de la Nueva España* Fray Toribio Motolinei, *Historia de los Indios de Nueva-España* dominikana Fray Diego Durana dają nam jasne pojęcie o podjętym dziele, jeśli chodzi o sam tylko Meksyk. Słownik hiszpańsko-nahuatl franciszkanina Fray Alonso de Moliny wydany został w Mexico w 1571 r. Książka ta była podręcznikiem nieodzownym dla misjonarzy w Nowej Hiszpanii. Wykłady wiary w językach tubylczych rozmnożyły się od czasu *Doktryny* Fray Juana de Zumárragi,

pierwszego biskupa i inkwizytora Meksyku. W 1525 r. zorganizowano wielkie *auto-da-fé* pogańskich bożków. Indianie widząc, z jaką radością zakonnicy palą bałwany, fabrykowali je nawet umyślnie w tym celu, kryjąc czasem pod ołtarzem Boga autentyczne święte bóstwa, odziedziczone po przodkach. W 1533 r. otwarto w Tlaltelolco kolegium dla synów tubylczych kacyków. W 1939 r. założono w Mexico drukarnię, która miała produkować przede wszystkim katechizmy w językach tubylczych, głównie w nahuatl. Około 1572 r. niedawno powstałe kolegium w Tlaltelolco wywołuje sprzeciw Hiszpanów: „Po co uczyć Indian łaciny? Chyba po to, aby parskali śmiechem, gdy proboszcz z Kastylii, odprawiając mszę, popęlni jakiś barbaryzm?” Do protestu, z jakim spotka się emancypacyjna akcja franciszkanów, a potem (w dziesięć lat później) — jezuitów, dołączy się obojętność Zdobywców-*encomenderos* wobec katechizacji podległych im Indian. Tymczasem sama już zasada *encomienda* nakładała na opiekuna-Hiszpana obowiązek uczenia wiary swoich „pupilów”. Dochodziło wtedy nieraz do smutnej parodii. Niejeden *encomendero* rozkazywał swoim Indianom odmawiać *Ave Maria*, zanim ich wysłał, z płuczką w rękę, na szukanie w rzece złotego piasku — a ci, w swojej naiwności, myśleli, że chodzi o modlitwę, która przynosi szczęście przy wydobywaniu grudek złota i mówili: „Śpiewamy *Ave Maria*, płóćki są niedaleko!” Inni, wnioskując z pobożnych praktyk, w których uczestniczyli, nabierali przekonania, że największym bogiem Hiszpanów jest św. Jakub. Franciszkanie oskarżali Zdobywców, że rujnują budowlę wiary, którą oni mieli wznosić w Ameryce: „Przybyliśmy tutaj, aby wykorzenie bałwochwalstwo, a wy popieracie nowe pogaństwo” — wołał ojciec Bustamante, superior klasztoru w Mexico.

Od czasów biskupa Moya de Contreras (1572 r.), który postanowił wyrugować zakonników z terenów misyjnych i zastąpić ich klerem świeckim, rozpetęła się zacięta walka już w łonie samego Kościoła. Nieprzychylnie insynuacje polityczne sprawiły, że rząd królewski obawiał się buntów Indian pod wodzą ich duchowych pasterzy. Prawdą jest, że zakonnicy byli jedyną ucieczką tubylców

przed agresją i gwałtami *encomenderos*. Wyrugowanie zakonów żebrzących przez kler świecki podkopało wkrótce fundamenty „Kościoła indiańskiego”, który ustąpił miejsca Kościołowi nazywanemu przez historyków „kontrereformacyjnym”. W odróżnieniu od pierwszego, naprawdę ewangelicznego, jaki założyli franciszkanie w oczekiwaniu na powtórne przyjście Chrystusa (paruzja), Kościół kreolski, który zajął jego miejsce, był w gruncie rzeczy przeniesieniem Kościoła ze Starego Świata, z wszystkimi jego wadami. Szczególnie dzięki wpływowi jezuitów i rozwojowi kultu maryjnego osiągnął on przepych mocno kontrastujący z ascetyzmem franciszkanów z pierwszego okresu. Architektura nabrała barokowych kształtów, kościoły rozgorzały od cennych kruszców; objawienia rozmnożyły się zwłaszcza od początku XVII w. Kler świecki najczęściej nie dbał o Indian, którzy, odsunięci od nowej cywilizacji, byli już tylko poddanymi obciążanymi bez ograniczeń pańszczyzną. Jednakże politykę protubyliczą Pawła III, zapoczątkowaną bullą *Sublimis Deus* w 1537 r., wprowadzono w życie i liczne ekskomuniki spadły na tych, którzy (a byli to zarówno duchowni, jak świeccy) handlowali niewolnikami indiańskimi. W swojej *Historia apologetica de las Indias* Fray Bartolomé de Las Casas na próżno przeprowadził groźny dowód, wedle którego na wieczne potępienie skazani byli i hiszpańscy kaci, i ich indiańskie ofiary. Przepowiedział on Hiszpanii, jako karę za jej zbrodnie w Nowym Świecie, los podobny do losu Sodomy. W dziele jego, jak u Inki Garcilaso, ale zaprawiona andaluzyjskim temperamentem i odwagą zakonnika i Hiszpana, deprecjacja wyników Podboju łączy się z apologią starych kultur tubyliczych. Jest więc wielkim fałszem twierdzenie, że podbój duchowy Indii stanowił tylko wygodny parawan dla podboju militarnego, który w gruncie rzeczy stawiał sobie cele ekonomiczne i polityczne. Dzieło nawracania prowadzono z godną uwagi gorliwością przez lat ok. trzydzieści (okres jednej generacji), ale ponieważ odbywało się ono na wielkim obszarze, brakowało mu większej spoistości. Niechęć młodej generacji kolonialnej, szybko skostniałej, i zmniejszenie się liczby kleru, segregacja,

której ofiarą padli Indianie, wszystko to doprowadziło do dziwnego synkretyzmu wiary chrześcijańskiej ze starymi wierzeniami. W nowoczesnej Ameryce dziś jeszcze obserwować możemy bardzo liczne zjawiska, które oparły się liberalizmowi, pozytywizmowi, marksizmowi i osobliwie zabarwiają głęboki materializm chłopstwa andyjskiego.

Załamanie się podboju duchowego w ostatnich trzydziestu latach XVI w. zasługuje, aby poświęcić mu więcej uwagi. Hiszpania wysyłała do Indii coraz więcej urzędników, a coraz mniej zakonników; chciwość gnała pierwszych, obojętność powstrzymywała drugich. Trzeba więc było na miejscu werbować Kreolów, którzy podzielali przesady swojej kasty w stosunku do Indian. Ta niesłusznie tzw. „tropikalizacja” kleru Indii była w gruncie rzeczy utratą wiary we własne posłannictwo, co obserwujemy u drugiej generacji apostołów chrześcijaństwa (z wyjątkiem, na ogół, jezuitów). Wioski-hospicja biskupa don Vasco de Quirogi nie wyszły poza stadium eksperymentalne i embrionalne, chociaż on pragnął, aby mnożyły się jak w *Utopiach*. W 1572 r. kolegium dla Indian w Tlal-telolco, jedyne, gdzie młodym Indianom udzielano nauki na wyższym stopniu, co gwarantowało im usamodzielnienie duchowe i asymilację społeczną, zaprzestało swej działalności. Przeznaczone dla synów kacyków, mogło być umożliwić stopienie się miejscowej arystokracji z nową szlachtą Zdobywców. Próbę kształcenia tubylczej elity społecznej podjęli na nowo jezuici; z zapałem propagował tę myśl Meksykanin, ojciec Juan de Tovar. Podobnie jak Sahagún, Motolinea i inni w zakonie franciszkanów, tak Tovar spotkał się ze sprzeciwem hierarchii kościelnej i Kreolów. Po próbach, które były, zdaje się, udane, prowincjał Towarzystwa Jezusowego napisze w 1595 r. do generała jezuitów: „Pierwszeństwo należy dać sprawom hiszpańskim, które są fundamentem (Kościoła Nowej Hiszpanii). Ale działalność została przerywana, Towarzystwo nie było ani dość liczne, ani dość bogate, aby prowadzić ją dalej wśród ogólnej wrogości, i młodzi jezuici, przybyli z Hiszpanii, „większe upodobanie znajdowali w środowisku hiszpańsko-kreolskim niż w pustyni”. Rok 1595 przynosi decydujący zwrot; porzu-



Ryc. 26. Wyzysk Indian (Huaman Poma de Ayala)

cono mianowicie myśl tworzenia kleru tubylczego, tj. budowania Kościoła indiańskiego, co było celem przybyłych w 1524 r. dwunastu franciszkanów i co miało jeszcze realny sens dla Mendiety, który swoją *Historię* ukończył w 1596 r. Narodził się kościół kreolski i rozkwitał obok nędzy Indian. Toteż redukcje jezuickie w Tarahumare, Kalifornii i Paragwaju stanowiły godne uwagi wyjątki na tle zaniedbania, w jakim pozostawiał tubylców kler

w epoce kolonialnej. Kształceni w wierze, organizowani w duchu reguł życia klasztornego, Indianie z redukcji (rezerw) tworzyli rodzaj kooperatyw produkcyjnych, którymi zarządzali jezuici aż do wypędzenia ich w 1767 r. Wyodrębnienie się rezerw w Paragwaju, które łącznie tworzyły obszerne państwo, łatwo wytłumaczyć tym, że miały one charakter azylu. Chronili się tam zbiegli niewolnicy. Pod egidą jezuitów Guarani zorganizowali oddziały milicji, które z bronią w ręku protestowały przeciw wtargnięciu (*entradas* i *bandeiras*) polujących na niewolników *bandeirantes* do sąsiedniej Brazylii. Trudno czasem rozróżnić obronę od agresji, zwłaszcza że sprawę umyślnie zaciemniano. Oskarżono jezuitów, że podburzają Indian przeciwko Hiszpanom, a zatem i monarchii hiszpańskiej. Walka Indian o życie zdaniem niektórych nabrała więc pozorów odwojowywania Ameryki przez Indian. W każdym razie można stwierdzić, że nawracanie tam tylko przeniknęło w głąb, gdzie położono tamę działalności Zdobywców i ich bezpośrednich następców, to znaczy awanturniczych łowców niewolników. Wypędzenie jezuitów, które było również okazją do obłowienia się ich bogactwem, uczyniło Indian z rezerw jeszcze bardziej bezbronnymi wobec świata hiszpańskiego, od którego byli całkowicie odseparowani. Historia polityczna Paragwaju aż do dnia dzisiejszego ujawnia słabość systemu brania w opiekę, który nie prowadził do usamodzielnienia. Jezuici, nawet tam, gdzie, jak się wydawało, odnosili sukcesy, nie bardziej emancypowali Indian niż zakony żebracze, a przede wszystkim nie zdołali stworzyć kleru tubylczego dość licznego i dość oświeconego, który — gdyby zaszła potrzeba — mógłby być ich zastąpić. Religia katolicka nie zapuściła głębszych korzeni w Ameryce w okresie kolonialnym (wbrew naprawdę sugestywnym pozorom), gdyż pozostała wiarą zwycięzców głoszoną przez Kościół panów. Ziarno Chrystusowe siano wśród kąkolu zabobonów, toteż kiełkowało ono w dziwacznej z nimi symbiozie. Współczesna anegdota dobrze charakteryzuje to zjawisko. Niedawno, skutkiem obsunięcia się jednej z dróg w Nowym Świecie, pewien proboszcz, który spełniał obowiązki kapłańskie w wielu wsiach, nie mógł od-

prawić mszy niedzielnej w miejscowości, gdzie oczekiwali go wierni. Wobec tej niespodzianej trudności zebrała się rada starców i postanowiła, że zamiast nieobecnego księdza nabożeństwo odprawi senior czarowników. *Tarahumaras* Antonina Artaude przynosi ciekawemu czytelnikowi zadziwiające uzupełnienie tego rozdziału.

8

Zmierzch Zdobywców

Ponieważ względną klęskę podboju duchowego częściowo spowodowała sprzeczność pomiędzy materialnymi interesami Zdobywców i duchowymi zamierzeniami Kościoła, czas już zestawić wyniki podboju militarnego z celami, jakie sobie wyznaczył. Sława, zaszczyty i dochody uzyskane przez Zdobywców nie równoważyły ryzyka, na jakie się narażali, i ofiar, jakie ponieśli. Stąd ich niezadowolnienie i gorycz, mimo piorunujących sukcesów militarnych. Pretensje ich zwrócone były przeciwko monarchii i jej urzędnikom, którzy odebrali Zdobywcom wszechwładzę, jaką cieszyli się w czasie wojny, i przeciwko zakonnikom, którzy usiłowali pozbawić ich największego bogactwa, pracy Indian w *encomienda*. Odwojowywanie Ameryki na Zdobywcach przybrało postać zbrojnego zataргу w Peru (przeciwko rebelii pizarrystów), na pozostałych zaś obszarach było walką utajoną. To, że *encomienda* objęła dwie generacje, a potem miała przeciągnąć się w nieskończoność, było wprawdzie zwycięstwem Zdobywców nad najbardziej skrajną partią Kościoła, ale większość godności i urzędów państwowych, zarówno w armii i administracji, jak w Kościele, przyznawano Hiszpanom z Hiszpanii, a nie z Ameryki. Mimo że wielu Zdobywców stało się panami Indian (*encomenderos*), a przynajmniej wielu z tych, którzy wyszli cało z walk i morskich katastrof (nie mówiąc o wojnach domowych), nie wszyscy posiadali wielkie fortuny. Thayer Ojeda obli-

czył, że 88% towarzyszy Valdivii żyło jako *encomenderos* w Chile. Ale jest to hojnie obliczony procent i przykład wątpliwy. W większości ludzie ci stracili swoich Indian na skutek powstań na południu. Poza tym Zdobywcy, którzy zyskali fortunę dzięki jakiemuś szaleńczemu czynowi, nieraz trwonili ją w równie szalony sposób. Jedni rujnowali się w grze, drudzy w hulankach lub przez przesadną szczodroblivość; inni odprzedawali swoje *encomiendas* za bezcen, aby wziąć udział w jakiejś nowej wyprawie po złoto, co jednak w Nowym Świecie zdarzało się już coraz rzadziej. W takich razach całe miasta wydłubniały się tracąc swoich obywateli (w sensie średnio-wiecznym, *vecinos*). *Latifundi*, które powstały powoli, przez łączenie się wielkich *encomiendas*, a ze szkodą dla wspólnot tubylczych, często były twórcami tych Hiszpanów, którzy zjawili się już po podboju. Jak się nieraz zdarza, bohaterowie, którzy umieli wygrać wojnę, nie potrafili zorganizować pokoju; nie zdołali się też sami do niego przystosować. I tutaj należy szukać przyczyny osobistych klęsk Zdobywców. Wyzuci najczęściej ze sławy, która przecież nie była uzurpowana, nie otrzymali zwykłej nagrody od monarchii feudalnej, szlachectwa, nie dostali też należytej rekompensaty ekonomicznej. Kopalnie, przy rabunkowej eksploatacji, w bardzo wielu wypadkach szybko się wyczerpały; indiańskiej siły roboczej, którą zdziesiątkowały deportacje i zbyt ciężka praca, było coraz mniej. Z zasobami naturalnymi i ludzkimi Ameryki stało się to, co dzieje się w lesie, gdy w jednym roku wytnie się wszystkie drzewa naraz; trzeba wtedy dwudziestu lat, aby las odrósł, i to jeżeli warunki są pomyślne, w przeciwnym razie bowiem nie stanie się to nigdy. Istotnie ludność tubylcza nie odrodziła się nigdy po tym ludobójstwie — choć wtedy jeszcze się to tak nie nazywało — dokonany raczej z nieumiejętności przewidywania niż ze świadomie zbrodniczej woli. Zdobywcy zmarnowali swoje szanse ekonomiczne z tym samym chaotycznym rozmachem, co szanse duchowe. Rzecz charakterystyczna: zaledwie trzydzieści lat po podboju zwracano się do króla z prośbami o przyznanie stypendiów na studia dla synów zrujnowanych Zdobywców (a było ich

wielu), groziło im bowiem, że powiększą szeregi *picaros*, najczęściej bezdomnych Metysów.

Ci niedawni bohaterowie z wiekiem stawali się również niezdolni do żołnierskiego rzemiosła. Gdy doszło do powstania Araukanów, posiadacze *encomiendas* (tzn. *lenn*) odmówili pomocy sąsiadom, co było dowodem, że podbój niczego ich nie nauczył i że kierowali się wciąż jeszcze starymi, nie przystosowanymi do nowych warunków zasadami feudalizmu europejskiego. To niezrozumienie przemian historycznych zatruło ich stosunki z monarchią, która za Cisnerosa i Karola V straciła wszelkie cechy instytucji feudalnej, wspartej na arystokracji, i stała się państwem scentralizowanym, wcielonym w jedną osobę, króla. *Lenna*, które sobie wywalczyli, przedstawiano Zdobywcom jako łaski królewskie: „Niech rycerze, którzy mają się za Zdobywców, ruszają na wojnę, gdyż jest to ich ojczyzna i oni ciągną korzyści z *lenn* zarówno w tych królestwach, jak i we wszystkich innych, jakie posiada Jego Królewska Mość, a te beneficja zostały im dane pod warunkiem, że będą pomagali swoją bronią i końmi w dziele zaprowadzenia pokoju”. Tak przemawiał kapitan generalny Chile w jednej z proklamacji. Zdobywcy niechętnie godzili się z rolą drobnych baronów marchii pogranicznych w Indiach; chcieli być nieograniczonymi panami w państwie zdobytym ich własnymi rękoma. *Ercilla*, poeta i Zdobywca, scharakteryzował ich krótko: „Zwycięstwo, sława i posiadłości, które zdobywali, wszystko to wbiło ich w taką dumę, w taką pychę, że na przestrzeni tysiąca mil dziesięciu ludziom było zbyt ciasno”. Spodziewali się co najmniej prytańców, a przysyłano im kontrolerów podatkowych i sędziów *de residencia* (*residencia* było to śledztwo odnośnie rządów danego człowieka w chwili, gdy dobiegały końca, a wymagały sądu; na przykład *Cortés* został postawiony przed taki sąd w parę lat po zdobyciu Meksyku). Nienawiść do *gachupin* albo *chapetón*, to znaczy Hiszpana z Hiszpanii, była odpowiedzią niedawnych Zdobywców na zarozumiałstwo nowo przybyłych, którzy z jednakową pogardą traktowali Kreolów, Metysów i Indian, obejmując ich nazwą Amerykanów. Rękawicę podniesiono bardzo rychło; przede wszystkim uczy-

nili to zakonnicy; dominikanin Diego Durán pisał w Meksyku, „aby osoby obce i świeżo przybyłe wyrzekły się złej i fałszywej opinii, w imię której potępiają barbarzyństwo, jakie przypisują tym ludziom”. Ci ludzie to Indianie, i oto synowie Zdobywców zaczęli bronić cywilizacji indiańskich, aby oczyścić się z oskarżenia o barbarzyństwo, o jakie pomawiano Metysów i Kreolów! Z tej obustronnej pogardy zrodził się patriotyzm amerykański. Jeśli chodzi o Zdobywców, rządy monarchiczne i wszelkiego rodzaju ograniczenia narzucone ich nieograniczonej zrazu władzy zadały cios ich mrzonkom. W Hiszpanii ich bogactwa, choć nie wszyscy je posiadali, budziły zazdrość, zaś ich szlachectwo i wielkie czyny wydawały się podejrzanym. Na scenach teatrów Peruwiańczyk (*Perulero*) albo Indianin (*Indiano*), bogaty i tępy, stał się wkrótce postacią klasyczną. *Perulero* pysznił się bogactwem i zdradzał komiczne pretensje do szlachectwa; zawsze padał ofiarą jakiejś drapieżnej madryckiej piękności, która doprowadzała go do ruiny. Dzieła Tirso de Moliny i Lope de Vegi zawierają parę soczystych typów *Peruleros*. Lope został zdradzony dla jednego z takich *Indianos* i nie mógł im tego wybaczyć. Mimo dzieł historycznych Gómara i Oviedo, mimo pięknej epopei *Araukania*, legenda Zdobywców, „których czyny przewyższają nawet legendy” (Gómara) wiele ucierpiała wskutek nieufności i chciwości Hiszpanów z Półwyspu. Podjęta w odpowiedzi na to akcja rehabilitowania Indian, była również, choć z innych względów, szkodliwa dla sławy Zdobywców. Takie utwory jak *Purén niepokonany* kapitana Alvareza de Toledo czy też *Araukania ujarzmiona* Lope de Vegi przedstawiają Indian jako dzielnych patriotów. Lope de Vega wkłada w usta Caupolicana słowa następujące:

Wolny się urodziłem,
Broniłem wolności
Ojczyzny mej i rządu,
Na waszą wolność nie dybałem.

Mimo woli nasuwa się porównanie tych słów „Feniksa Talentów” z postawą, jaką zajmują nowoczesne środowiska intelektualne wobec wojen kolonialnych.

Weterani podboju, w obliczu narzuconej im sytuacji moralnej i prawnej, stali się jak gdyby cichym stowarzyszeniem malkotentów. Ich niezadowolenie miało jedną wspólną przyczynę: była to gorycz dawnych kombatan-
tów, którym skradziono owoce ich zwycięstwa; przynaj-
mniej oni tak sądzili i o krzywdę swoją obwiniali władzę
królewską. Przemiana społeczna Zdobywców była w naj-
pomyślniejszych przypadkach adaptacją ekonomiczną, ale
najczęściej protestem, milczącym lub głośno wypowia-
danym, przeciwko dzieleniu się zyskami z podboju. Po-
między komicznym bohaterem, jakim na scenie był *Pe-
ruleró*, a homeryckim herosem opiewanym np. w *Corte-
siades*, Zdobywca nie umiał znaleźć sobie dogodnego
miejsca. Niezadowolenie jego, podsycane stałym upoka-
rzaniami, jakim było przysyłanie wicekrólów, gubernato-
rów i biskupów z Hiszpanii, kryło w sobie zarodek przy-
szłych ruchów wolnościowych XIX w. Niepodległość nie
miała jednak doprowadzić (przynajmniej na razie) do
emancypacji Indian, mogła ona stawać się w pewnych
wypadkach nawet ruchem wstecznym; była niepodległo-
ścią Kreolów; ci zaś, jako duchowi spadkobiercy (jeśli nie
potomkowie) Zdobywców, przejęli ich stosunek do insty-
tucji hiszpańskich, które sprzeciwiały się stale, choć nie-
zbyt skutecznie, uciskaniu Indian przez Kreolów i Me-
tysów.

Trwale zdobycze podboju

„W morzu Ameryki przepadł najpiękniejszy kwiat na-
szego wieku”. Epitafium Lope de Vega dla poety Mediny
Medinilli mogłoby posłużyć i tym spośród Zdobywców,
którzy byli misjonarzami albo żołnierzami. Ilu z nich zna-
lazło śmierć w falach Oceanu, Missisipi, Orinoko, ilu po-
chłonęła ziemia, jak głosi legenda araukańska o Valdivii.
Wykwintnym piórem opisze ogromny grób hiszpańskiej
młodzieży Góngora, wielki poeta z Kordowy. Historycy,
zwłaszcza począwszy od XVIII w., chętnie twierdzili, że
upadek polityczny i gospodarczy Hiszpanii od czasów Fi-
lipa II był następstwem napływu cennych metali z No-
wego Świata, co sparaliżowało przemysł. Za mało nato-



Ryc. 27. Poznaj sam siebie

miast podkreślali fakt, że najodważniejsi młodzieńcy i najbardziej ofiarni zakonnicy przez pół wieku wyruszyli do Indii Zachodnich. Podróż to była bez powrotu, gdyż albo ginęli, albo praca misyjna nie pozwalała im już zobaczyć Półwyspu. Wojny, epidemie, głód i pragnienie zabiły większość Zdobywców lub tych, którzy pragnąc nimi zostać, wyruszyli z Sewilli, Moguer albo San Lúcar de Barrameda. Rozpatrzyliśmy tylko jeden przypadek, co prawda bardzo charakterystyczny, mianowicie Florydę. Nie mając dość pewnych i obfitych danych liczbowych, trudno ustalić dokładną proporcję młodzieży,

która dotarła do Indii, a także liczbę Zdobywców, których spotkała przedwczesna śmierć. Ale pokolenie to, które zaludniło kontynent amerykański Metysami, pozbawiło ojczyznę jej sił żywotnych. Jeżeli do Zdobywców dodamy Hiszpanów poległych we Flandrii i w Niemczech w innej wojnie, również przedstawianej jako wyprawa krzyżowa, i ofiary wojen włoskich, trzeba to uznać za takie samo wykrwawienie się narodu, jakie we Francji spowodowały wojny Napoleońskie. Podbój Indii nie tylko nie wzbogacił Hiszpanii, lecz ponadto ogołocił ją z ludzi i sił produkcyjnych. Rozczarowanie, jakiego doznali weterani podboju, niepowodzenia misjonarzy, upadek metropolii iberyjskiej — oto bilans z narodowego hiszpańskiego punktu widzenia, pod każdym względem ujemny.

Jeżeli rozważymy sprawę z szerszej, ogólnoludzkiej perspektywy, to masakry Indian, epidemie, względne wyludnienie Nowego Świata i szukanie ratunku w handlu czarnymi niewolnikami z Afryki, aby uzupełnić miejscową wymierającą siłę roboczą, przedstawiają obraz jeszcze smutniejszy. Mimo to podbój Ameryki jest największą zbiorową przygodą, jaką kiedykolwiek przeżyła ludzkość; można ją będzie porównać chyba tylko z odkryciem innych zamieszkałych światów, o ile to kiedyś nastąpi. Mimo rozczarowań, jakie spotkały poszukiwaczy złota i łowców dusz, umiemy dziś ocenić prawdziwe podboje Zdobywców, te, o które oni sami niekiedy też się troszczyli. Bawełna, kukurydza, kakao, tytoń, kartofle, odkryte w Ameryce, stanowią dziś część naszego życia codziennego; produkty te oraz cenne metale umożliwiły (na dłuższą metę) koncentrację miejską i kapitalistyczną, bez której nie mógłby się rozwinąć w Starym Świecie przemysł ani nie doszłoby do rewolucyj burżuazyjnych w XIX w. i rewolucyj proletariackich w XX w. Europa z bronią w rękę zburzyła spokój całego kontynentu, który od tysiącleci milcząco leżał naprzeciwko niej; kontynent ten natomiast od XVI w. warunkował ewolucję Europy. Zamknięty i skończony świat wieków średnich nagle zachwiał się od potężnego wichru. Od razu wszystko wydało się możliwe: życie na Antypodach i Źródło Młodości, pałace króla na wyspie Thule i przyjsie Królestwa. Za-

dziwiające obyczaje, zioła lecznicze, piorunujące trucizny, zabiegi chirurgiczne i położnicze przybywały z Indii, jako dar innej ludzkości, różnej, a jednak podobnej. Geografię świata trzeba było ustalać na nowo; co więcej, tworzyła się ona z każdym dniem. Całe obszary naszego świata odsłaniały się w cudowny sposób, jak w teatrze. Tradycja biblijna po zetknięciu się z legendami Indian i ludami amerykańskimi wymagała nowej interpretacji. Okazało się, że Arystoteles mylnie wyobrażał sobie świat. Jedni w pośpiechu tam przenosili świat Machiavellego, inni budowali fundamenty Państwa Bożego, wszyscy wytyczali miasta o prostych liniach, wzorowane na *Polityce* Arystotelesa. Wszelkie nadzieje ziemskie i pozaziemskie przez pół wieku wydawały się uzasadnione, a chociaż wszystkie zawiodły, świat zyskał dzięki nim nową młodość, z której miały się narodzić czasy nowożytne, kończące się oto w naszych oczach, w przededniu nowej przygody w przestrzeniach międzyplanetarnych. Prawdziwym podbojem Ameryki jest podbój ludzkości, wreszcie całej, biorącej swój los we własne ręce. Świat, który uważano za skończony, i historia, którą uważano za napisaną, otrzymały impuls ostateczny, jak gdyby nieruchoma, płaska Ziemia, którą dopiero Galileusz uznał za kulistą i ruchomą, nagle ruszyła z miejsca. Ruch idei, rozpętany przez podbój, nosi imię Kartezjusza, Leibniza i wszystkich wielkich twórców filozofii i nauki o człowieku i naturze, które nadały nowoczesnej ludzkości jej oblicze.

Chronologia

rok

- 1491 Władcy Katoliccy na mocy kapitulacji w Santa Fe mianują Krzysztofa Kolumba „Admirałem Morza Oceanu”.
- 1492 Pierwsza wyprawa Kolumba, który odkrywa wyspy Bahama i Wielkie Antyle.
- 1493 Cztery bulle papieża Aleksandra VI rozgraniczają strefy wpływów Hiszpanii i Portugalii w Nowym Świecie. Kolumb podejmuje drugą wyprawę.
- 1494 Układ w Tordesillas modyfikuje bulle Aleksandra VI, Hiszpania i Portugalia wspólnie uzgadniają strefy swoich wpływów.
- 1495 Zakończenie drugiej wyprawy Kolumba, odkrycie Jamajki i Małych Antyli.
- 1498 Trzecia wyprawa Kolumba, który dociera do wyspy Trinidad i odkrywa wybrzeża Wenezueli od przylądka Vela do zatoki Paria.
- 1499 Pinzonowie odkrywają wybrzeża Gujany i Brazylii aż do ujścia Amazonki, nie lądują jednak, wrogo przyjęci przez Indian.
Juan Diaz de Solis odkrywa wybrzeża Hondurasu.
Alonso de Ojeda i Juan de la Cosa odkrywają wybrzeża Wenezueli.
- 1500 Izabela Katolicka rozkazuje uwolnić i repatriować tych Indian, których jako niewolników przywieziono do Hiszpanii. Alvarez Cabral odkrywa wybrzeża Brazylii.
- 1501 Amerigo Vespucci odkrywa wschodnie wybrzeża Ameryki Południowej aż do południowej Patagonii.
- 1502 Komandor de Lares, Nicolas de Ovando, zostaje gubernatorem wyspy Hispanioli (Haity). On pierwszy stosuje *repartimiento* Indian.

- 1503 Założenie banku *Casa de la Contratación* w Sewilli, który miał monopol handlu z Indiami i który będzie normować stosunki z Nowym Światem.
Sewilla staje się „portem Indii Zachodnich”.
Rodrigo de Bastidas odkrywa wybrzeże Darienu (Przesmyk Panamski).
- 1504 Śmierć Izabeli Katolickiej. Ostatnia wyprawa Kolumba, który odkrywa wybrzeża Panamy i Hondurasu.
- 1505 Śmierć admirała Krzysztofa Kolumba.
- 1508 Diego de Nicuesa ląduje w Veragua (Kolumbia).
- 1509 Juan Ponce de León kolonizuje Boriquen (San Juan de Puerto Rico).
- 1511 Kazanie dominikanina Montesinoso potępiające system brania Indian w *encomienda*. Nicuesa, po katastrofie na morzu koło Jamajki, dostaje się do niewoli u Indian z Jukatanu. Na San Domingo — pierwsza *Audiencia* amerykańska.
- 1512 Ogłoszenie *Praw z Burgos* dla Nowego Świata. Pierwszy duchowny, Bartolomé de Las Casas, wysłany zostaje do Indii (na Hispaniole).
Juan Ponce de León odkrywa Florydę.
- 1513 Núñez de Balboa przebywa Przesmyk Panamski i odkrywa Morze Południowe (Pacyfik). Zostaje mianowany *adelantado* Morza Południowego.
- 1514 Núñez de Balboa zostaje stracony na rozkaz Pedrarias Dávila, gubernatora Darienu.
- 1516 Umiera król Ferdynand Katolicki. Diez de Solís w poszukiwaniu „przejęcia południowo-zachodniego” odkrywa Río de la Plata.
- 1517 Umiera kardynał-regent królestwa Jimenez de Cisneros. Karol I (późniejszy cesarz Karol V) wstępuje na tron Kastylii. Francisco Hernandez de Córdoba odkrywa Jukatan.
- 1518 Juan de Grijalva dobiega do wybrzeży Meksyku, ale nie może się tam utrzymać wobec nieprzyjaznej postawy Indian.
- 1519 Hernán Cortés ląduje w Meksyku.
- 1520 Magellan przepływa cieśninę, która odtąd nosi jego imię. Ekspedycja karna Gonzála de Ocampo do Cumana przeciwko Indianom, którzy wymordowali Hiszpanów, zwłaszcza franciszkanów.
Las Casas podejmuje pokojową i rolniczą kolonizację tego obszaru.
- 1521 Śmierć Magellana. Powstanie Cuauhtemoca przeciwko Hernanowi Cortesowi w Meksyku. Hiszpanie zdobywają Mexico. Juan Ponce de León ląduje na Florydzie, ale wrogo przyjęty przez Indian, nie może się tam utrzymać.
- 1522 Gil Gonzales Dávila kolonizuje Nikaragwę.

- 1523 Francisco de Garay odkrywa Panuco (Meksyk), ale nie udaje mu się tam utrzymać. J. Castellón zbrojnie odzyskuje Cumana.
- Pedro de Alvarado wkracza do Gwatemali.
- 1524 Utworzenie Królewskiej Rady Indii jako najwyższej odtąd instancji we wszystkich sprawach dotyczących Nowego Świata. Rodrigo de Bastidas kolonizuje Santa Marta (Wenezuela); ginie z ręki swoich podkomendnych. Cortes przyjmuje w Mexico Dwunastu (pierwszych misjonarzy franciszkańskich).
- 1525 Pizarro i Almagro, wyruszywszy z Panamy, na próżno wielokrotnie usiłują lądować. Cuauhtemoc zostaje powieszony na rozkaz Cortesa, który wkracza do Campeche w Meksyku.
- 1526 *Historia naturalna Indii* Gonzala Fernandez de Oviedo. Hernán Cortés wkracza do Hondurasu. Francisco de Montejo przebywa Jukatan i Tabasco (Meksyk). Cristobal de Olid zostaje stracony w Hondurasie na rozkaz Gila Gonzalesa Dávila.
- 1527 Francisco Pizarro odkrywa państwo Inków. Nuño de Guzman zostaje gubernatorem Panuco.
- 1528 Pánfilo de Narvaez ląduje na Florydzie; uczestnicy jego wyprawy giną. Huascar buntuje się przeciwko Atahualpie.
- 1531 Diego de Ordaz, były kapitan Cortesa, umiera w drodze do Maragnon. Pedro de Heredia kolonizuje okolice Kartageny Indyjskiej (Kolumbia). Nuño de Guzmán zdobywa Jalisco (Meksyk).
- 1532 Pizarro bierze do niewoli Inkę Atahualpę.
- 1533 Na rozkaz Atahualpy ginie Huascar. Hiszpanie zdobywają Cuzco (Peru). Hiszpanie, otrzymawszy okup od Atahualpy, mordują go. Franciszkanie (bracia mniejsi) zakładają kolegium dla Indian z Tlaltelolco (Meksyk).
- 1535 Pedro de Alvarado, były oficer Cortesa, wyruszywszy z Nikaragui na statkach ukradzionych Pizarrowi, ląduje w Ekwadorze. Almagro, wysłany przeciwko niemu, kupuje od niego flotę.
- 1536 Pedro de Mendoza walczy z przeciwnościami nad Río de la Plata i w Paranie. Felipe Gutierrez ląduje w Veragua (Kolumbia); ekspedycja jego zostaje wytopiona. Manco Capac organizuje powstanie przeciwko Hiszpanom w Peru. Almagro wkracza do Chile, ale nie może się tam utrzymać. Almagro opanowuje Cuzco i bierze do niewoli Hernanda Pizarro.
- 1537 W Vera Paz (Gwatemala) powstaje z inicjatywy Las Casasa misja dominikanów. Śmierć Hernana Cortesa.
- 1539 *Wykłady o Indiach* Vitorii na uniwersytecie w Salamance. Hernando de Soto ląduje na Florydzie i kolonizuje ją.
- 1540 Alvar Núñez Cabeza de Vaca wyrusza do Río de la Plata i Paragwaju na pomoc Mendozie. Valdivia wkracza do Chile

mimo oporu Indian. Hernando Pizarro rozkazuje udusić w więzieniu Almagra.

- 1541 Śmierć Pedro de Alvarado. Francisco Pizarro ginie zamordowany przez stronników Almagra młodszego. Wicekról Nowej Hiszpanii (Meksyk) odkrywa Cíbola i Quivira (Teksas i Nowy Meksyk).
- 1542 *Nowe Prawa* (zamiast *Praw z Burgos* uchwalonych w 1512 r.) jako podstawa rządzenia Indiani. Diego de Almagro, pokonany w Chupas (Peru), ginie na rozkaz Vaca de Castro.
- 1543 Kapitan Orellana, na czele pizarrystów-odstępców, wyrusza nad górną Amazonkę.
- 1544 Początek buntu pizarrystów w Peru. Wicekról Blasco Núñez Vela ginie pod Quito (Ekwador), pokonany przez pizarrystów. Galeon biskupa Piłaceny przebywa Cieśninę po raz pierwszy od czasu Magellana.
- 1545 Manco Capac, nowy Inka, ginie zamordowany przez Hiszpanów.
- 1548 Gonzalo Pizarro, pobity pod Xaquixaguana przez Pedra de la Gasca, zostaje wzięty do niewoli i stracony.
- 1550 Zgromadzenie w Valladolid. Spór pomiędzy Las Casasem i Sepúlvedą na temat traktowania Indian i praw Hiszpanii.
- 1551 Założenie Uniwersytetu Królewskiego i Papieskiego w Meksico, pierwszego w Nowym Świecie.
- 1552 Ogłoszenie w Sewilli najważniejszych dzieł dominikanina de Las Casas oskarżającego zdobywców i system brania Indian w *encomienda*.
- 1553 Araukanie w Chile zabijają Valdivię.
- 1556 Instrukcje królewskie nakazują zastąpić używane dotąd wyrazy *conquista* (podbój) i *conquistador* (zdobywca) wyrazami *descubrimiento* (odkrycie) i *poblador* (kolonista). Karol V (Karol I w Kastylii) abdykuje i usuwa się do klasztoru w Yuste. Tron po nim obejmuje Filip II.

Wymienione wyżej fakty zamykają okres nietrwałych podbojów i efemerycznych najazdów. Po śmierci G. Pizarra w Peru nastaje okres pokoju. Spisek Martina Cortesa w Meksyku w 1566 r. zostanie stłumiony w zarodku. Stałe buntury Indian, poza powstaniem w Chile w 1598 r., nie były groźne dla Hiszpanów.

Spis treści

1. Narodziny Nowego Świata	5
2. Ameryka przed podbojem	17
3. Zasoby materialne podboju	37
4. Wodzowie	67
Hernán Cortés	68
Wojny domowe w Peru	86
Valdivia	92
5. Ludzie	105
Alvar Núñez	117
6. Obraz zwyciężonych	126
Inka Garcilaso	131
7. Zdobywcy duchowi	138
8. Zmierzch zdobywców	149
Trwałe zdobycze podboju	153
Chronologia	157

„OMEGA”

ukazały się:

- A. Sauvy *Granice życia ludzkiego*
- E. Borel *Prawdopodobieństwo i pewność*
- Z. Semerau-Siemianowski *Krew tętni w maszynach*
- S. Haduch i P. Czerski *Problemy medycyny kosmicznej*
- R. Perelman *Perspektywy lotów galaktycznych*
- W. Karczewski *Zjawiska elektryczne w organizmie*
 1. L. Woolley *W poszukiwaniu przeszłości*
 2. W. Michajłow *Ewolucjonizm a parazytologia*
 3. D. G. Fink i D. M. Lutyens *Fizyka telewizji*
 4. W. Stęślicka *Rodowód człowieka uzupełniony*
 5. H. Melville *Duże cząsteczki*
 6. J. Carles *Zapłodnienie*
 7. I. Sachs *Drogi i manowce Świata „B”*
 8. Z. Pawlak *Maszyna i język*
 9. F. Zawielski *Czas i jego pomiary*
10. P. Lépine *Wirusy*
11. J. S. Bruner *Proces kształcenia*
12. Z. Jaworowski *Radioaktywność a zdrowie ludzkie*
13. J. Niegowski i W. Rydygier *Handel zagraniczny w gospodarce narodowej*
14. J. Rostand *Biologia twórcza*
15. J. Hadamard *Psychologia odkryć matematycznych*
16. J. Jaroszyński *Współczesne poglądy na choroby psychiczne*
17. D. Finkelsztejn *Gazy szlachetne*
18. J. Malec-Olecha *Izotopy w służbie biologii*
19. J. Chadwick *Odczytanie pisma linearnego B*
20. J. D. Williams *Strateg doskonały. Wprowadzenie do teorii gier*
21. C. M. Cipolla *Historia gospodarcza ludności świata*
22. L. S. Penrose *Wstęp do genetyki człowieka*
23. L. Bazyłow *Historia Rosji XIX i XX wieku (do 1917 r.)*
24. W. Zonn *Astronomia dziś i wczoraj*
25. J. Sabliński *Przeszczepianie tkanek*
26. J. Szczepański *Zagadnienia socjologii współczesnej*
27. H. A. R. Gibb *Mahometanizm*
28. J. Szajewski *Miażdżycza*
29. O. Lange *Człowiek i technika w produkcji*
30. E. Skrzypczak *Fizyka wielkich energii*
31. J. Machowski *Paragrafy dla kosmosu*
32. E. Schreider *Biometria*
33. S. Albinowski *Handel światowy*
34. E. Asratian i P. Simonow *Niezawodność mózgu*
35. F. M. Burnet *Nienaruszalność żywego organizmu*
36. E. Whittaker *Od Euklidesa do Einsteina*
37. A. Schaff *Marksizm a jednostka ludzka*
38. D. Solia Price *Węzłowe problemy historii nauki*
39. P. J. Le Thomas *Metalurgia*
40. M. I. Finley *Grecy*
41. Cz. Bobrowski *Planowanie gospodarcze. Problemy podstawowe*
42. R. Tocquet *Życie na planetach*
43. E. Rosset *Polska r. 1985 — wizja demograficzna*
44. H. Read *Sens sztuki*

„OMEGA“ 1966

ukazały się:

- | | |
|--|--|
| 45. J. Goryński <i>Urbanizacja, urbanistyka i architektura</i> | 53. J. Wagner <i>Problemy elektroenergetyki</i> |
| 46—47. R. Chauvin <i>Życie i obyczaje owadów</i> | 54. R. J. C. Harris <i>Rak</i> |
| 48. W. Droszcz <i>Alergia</i> | 55. W. Telakowska i T. Reindl <i>Problemy wzornictwa przemysłowego</i> |
| 49. W. Gajewski, A. Paszewski i S. Surzycki <i>W poszukiwaniu istoty dziedziczenia</i> | 56. B. i J. Lovell <i>Odkrywanie dalekiego Wszechświata</i> |
| 50. L. Kołakowski <i>Filozofia pozytywistyczna (Od Hume'a do Koła Wiedeńskiego)</i> | 57. M. Kaufman <i>Pierwszy wiek tworzyw sztucznych</i> |
| 51. J. Gernet <i>Chiny starożytne</i> | 58. A. S. Kompaniejec <i>Co to jest mechanika kwantowa?</i> |
| 52. E. Nagel i J. R. Newman <i>Twierdzenie Gödla</i> | |

w przygotowaniu:

- | | |
|---|--|
| 60. M. G. Rutten <i>Powstanie życia na Ziemi a świadectwa geologiczne</i> | 64. J. Brophy <i>Półprzewodniki</i> |
| 61. A. Leroi-Gourhan <i>Religie prehistoryczne</i> | 65. J. Piaget <i>Studia z psychologii dziecka</i> |
| 62. P. G. Merrill <i>Chemia Kosmosu</i> | 66. L. Kosiński <i>Obraz demograficzny Europy</i> |
| 63. M. Schlauch <i>Najnowsze zdobycze współczesnego językoznawstwa</i> | 67. V. Sachs <i>Wstęp do literatury amerykańskiej</i> |
| | 68. M. Porębski <i>Kubizm. Wstęp do sztuki nowoczesnej</i> |

Następna pozycja „Omegi”

M. G. Rutten

Powstanie życia na Ziemi a świadectwa geologiczne

Do ożywionych badań nad powstaniem życia na Ziemi przyłączyli się geolodzy. Profesor Rutten, wybitny uczony holenderski, przedstawia dorobek swoich osiągnięć w tej dziedzinie, ilustrując wykład najstarszymi wykopaliskami i znaleziskami pochodzenia ożywionego, opisem doświadczeń nad „samoistną” syntezą aminokwasów w warunkach, jakie wg geologów panowały w dawnych epokach na ziemi. Na szczególne podkreślenie zasługuje fakt, że autor rozpatruje zjawiska sprzed trzech miliardów lat, co stanowi wyjątek w literaturze tego typu ograniczającej się do opisu epok sprzed kilku et tysięcy lat.

Cena w subskrypcji zł 10,—

PANSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE

Pw